

PRZE KRÓJ

NUMER 11/2908

18 MARCA 2001 r.

Cena 3 zł 50 gr (w tym 7% VAT)



str. 30

**Nowy „Przekrój”
w każdą środę**

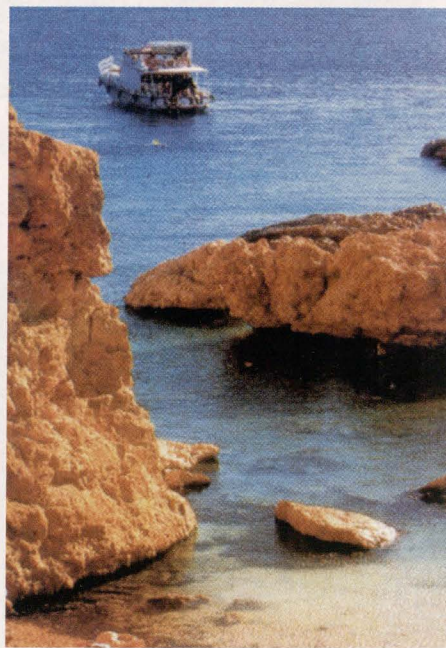
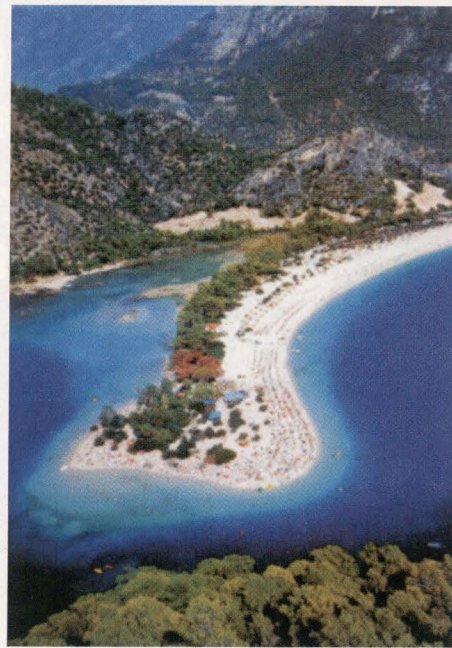
**Telewizyjna dynastia
Mariusza Waltera**

**Jak w szkole uczą
dzieci o diable**

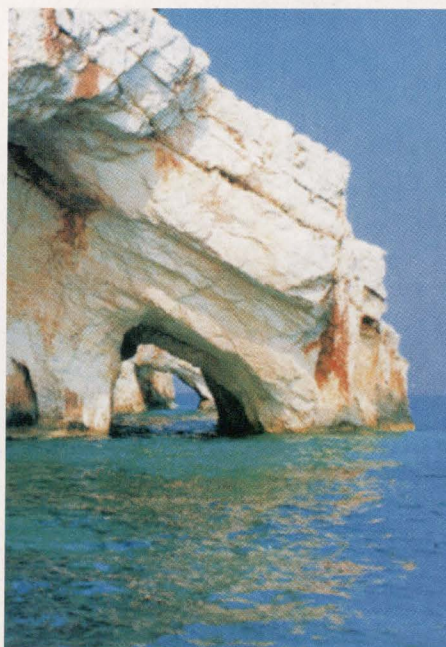


CZY KARA ŚMIERCI JEST ZBRODNIĄ?





Nowy katalog z ofertą Sigmy Travel już w najlepszych biurach turystycznych na terenie całego kraju oraz w Internecie www.sigma-travel.com.pl
Bardzo bogata oferta imprez objazdowych i pobytowych (samolotami czarterowymi, rejsowymi oraz komfortowymi autokarami).



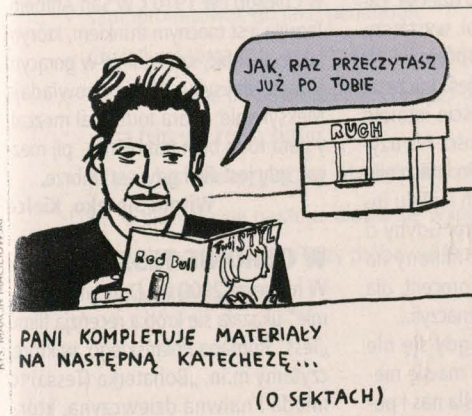
SUPERHITY:

JORDANIA + SYRIA + LIBAN – 11 DNI, SAMOLOTEM; HOTELE 3 i 4*;
WYŻYWIENIE – BUFET, ZWIEDZANIE – **CENA 2630 ZŁ**
EGIPT – PIRAMIDY, KAIR, LUXOR, REJS PO NILU; HOTELE 3 i 4*; 15 DNI, SAMOLOTEM – **CENA 2500 ZŁ**
GRECJA – 12 DNI, ZWIEDZANIE, SAMOLOTEM – **CENA 1990 ZŁ**
PRAGA – 5 DNI, AUTOKAREM – **CENA 420 ZŁ**



16 MARIUSZ I Z DYNASTII WALTERÓW.

– Nie mamy misji publicznej. Mamy misję biznesową. Musimy się utrzymać, zarobić, rozwijać stację, kupować i produkować – tłumaczy szef TVN MARIUSZ WALTER w rozmowie z KAZIMIERZEM TARGOSZEM.



PANI KOMPLETUJE MATERIAŁY
NA NASTĘPNĄ KATECHEZĘ...
(O SEKTACH)

26 SZÓSTKI ZA DIABŁA.

– Diabeł to odwieczny wróg Boga; Bóg go strącił do piekieł, bo mu się sprzeciwił. Stamtąd stara się sprowadzić każdego człowieka na złe drogi – zaczęła katechetka. W klasie cisza. – Wystawia nas na liczne pokusy – kontynuowała. – Najgorszy z diabłów to szatan. Inne demony mu usługują. Nazywają się: Mamona, Pycha, Lenistwo, Taniec, Gry i Piwo. Co współczesne dzieci wiedzą o diable? – **BOGNA BALICKA.**

38

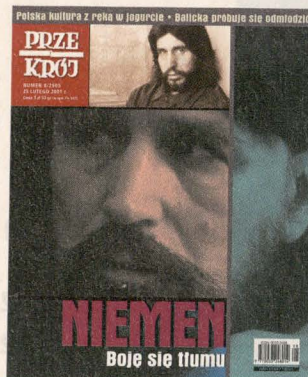
**GALERIA:
DUCH SPORTU.**

Ruszyła liga piłki nożnej. A wraz z nią kibole, dla których każdy mecz jest okazją do wyrażania nienawiści.

Zdjęcia: **ADAM GOLEC**
Tekst: **LESZEK MAZAN**



Listy	4
Od redakcji i CZECHOT w „Przekroju”	5
Przekrój tygodnia	6
Jerzy Piekarczyk Za i przeciw karze śmierci	10
Krzysztof Skiba Relacja weterana talk-show	22
Łoża – KYDRYŃSKI	29
Lawrence Weschler O małych przywódcach Armii Boga	30
Wojtek Kocołowski Nazywa się Oresundsbron i łączy Danię ze Szwecją	32
Mieszanka firmowa	36
Bikont grzebie w starych „Przekrojach”	46
ADAMA WIEDEMANN Dziennik duszy	49
HOFF o modzie	50
Klub smakosza – PIÓRO, BIKONT I MAKŁOWICZ	52
Piotr Trybalski Jak Piotr Pustelnik chce zdobyć 28 szczytów	55
Internet – AGNIESZKA WRZESIEŃ radzi, jak nakarmić pajacyka i pomóc dzieciom	58
Zdrowie TERESA BĘTKOWSKA przestrzega przed lotami samolotem	60
Sport ŁUKASZ DZIATKIEWICZ przedstawia mistrza trików bilardowych	62
Instrukcja obsługi telewizora	64
Jacek Ziemek Reklama ma podwójne oblicze	66
Film ANDRZEJ PITRUS uważa, że kino walki może być rodzajem medytacji	68
Teatr ŁUKASZ DREWNIAK przyznaje, że mylił się w ocenie KRZYSZTOFA WARLIKOWSKIEGO	70
Sztuka 300 słów ZBIGNIEWA LIBERY	73
Muzyka JOWITA DZIEDZIC o wybitnej włoskiej pieśniarce – MILVIE	74
Książki MARCIN BARAN zadaje trudne pytania MARCINOWI ŚWIETLIKIEMU	76
Kwestionariusz Prusa Odpowiada ZYGMUNT KAŁUŻYŃSKI	78
Szatnia – PAWLAK	79
Krzyżówki	80
Co Pan na to, Panie LEM	82
Rozmaitości	84



DZIĘKUJEMY ZA NIEMENA!

Red. Izabella Bodnar przeprowadziła niekonwencjonalny wywiad z Czesławem Niemenem („P” 2905). Dziękuję jej gorąco za to. Pomimo otaczającej artystę legendy i wybitnego dorobku, nie wiedzieć czemu pan Czesław bojkotowany jest przez telewizję i nie tylko. Raczej nie ustrój, tylko „polskie bagienko” próbuje marginalizować wszelkie indywidualności (vide Ewa Demarczyk) wyrastające ponad środowisko.

Warto się zastanowić nad postrzeganiem rzeczywistości przez Niemena. Przebijające tu i ówdzie rozgoryczenie może doprowadzić genialnego piosenkarza i muzyka do artystycznego milczenia. Byłoby to niepowetowaną szkodą dla naszej kultury. Nie ukrywam, że moja fascynacja Czesławem Niemenem trwa od początków jego kariery i wiem, że nigdy nie doznałem „przesytu” podczas słuchania jego piosenek, tak w radio, TVP czy na coraz rzadszych – niestety – koncertach.

Czy tak być musi? Pozostają na szczęście płyty, których artysta jednak skąpi. Wciąż nie można doczekać się antologii z lat 1962–80, a także wielokrotnie zapowiadanej twórczości audiowizualnej. Cóż, los fana też ma ciemne strony, ale na razie proszę więc, aby wzmiankowany wywiad artysty nie był jego ostatnim, by pamiętać o nas – jak my o nim.

Maciej Świątalski, Zielona Góra,
<mike@post.pl>

WYJĄTKOWY WYWIAD

Od kilku lat zbieram wywiady z ciekawymi ludźmi, ale ten jest wyjątkowy. Bardzo mi przykro z tego powodu, że jest to ostatni wywiad Czesława Niemena. Panie Czesławie, tylko nie to. Są jeszcze ludzie, którzy myślą podobnie jak pan. Wśród gromady wron znajdzie się jeszcze wiele orłów w tym kraju. Żyją samotnie, powtarzają stare zaklęcia ludzkości i nie chcieliby stracić wiary w człowieka. Zdaję sobie sprawę z tego, że jest pan zmęczony, jak każdy samotny wilk, ale my nie chcemy, by pan zamilkł. Czekamy na nową płytę „Spod chmury kapelusza” z nadzieją, że jeszcze pan do nas przemówi.

Jolanta Sochala,
<jolsoc@wp.pl>

CHWAŁĘ WAS

Abonuję „P” od lat co najmniej dziesięciu, a dziadkowie i rodzice od niepamiętnych (dla mnie) czasów. Nowa forma pisma bardzo mi się podoba – nic nie uwłaczając seniorom, bo, jak zawsze, są wspaniali. Zabieg odświe-

żający zrobił wam świetnie. W dodatku „P” w nowej formule udoskonala się z numeru na numer. Coraz więcej polityki, muzyki, teatru i filmu. Genialne: Lem, „Szatnia”, portrety, galerie. I – nowe czasy! Nawet „Internet” muszę ścierpieć, choć jako artystka nie lubię tego medium, ale może się czegoś nauczę.

Maryla Pawłowska-Gopikian,
Paryż

„DZIEŁO MOCNE MIŁOŚCIĄ”

W „P” 2903, na str. 75 przeczytałam: „Złoto Midasa traci blask wobec milionów dolarów wydanych z okazji ślubu Michaela Douglasa i Catherine Zety-Jones...”. I zrobiło mi się bardzo smutno. Podzielenie się tym smutkiem z Czytelnikami uważam za swój moralny obowiązek. Ale ad rem.

Sto osiemdziesiąt dolarów rocznie wystarczy na bardzo skromne utrzymanie i naukę ruandyjskiego dziecka. Łatwo obliczyć, że 1800 dol. wystarczy, by zostać rodzicem adopcyjnym 10 sierot. Mogą skromnie zjeść i uczęszczać do szkoły. Oczywiście istnieje mnóstwo innych możliwości. Ale trzymajmy się tego wesela. Po latach nikt nie będzie pamiętał tych i wielu innych nazwisk, zdarzeń itp. Gdyby ci małżonkowie, wydając miliony na przyjęcie, tylko znikomy procent, dla nich bez znaczenia, przeznaczili...

Można mieć dużo, ale gdy się nie umie dawać, naprawdę ma się niewiele. Każdy wybór określa nas i pokazuje, kim jesteśmy. Jakże to szczęście dawać, to znaczy pożyczać Panu

Bogu. Odnaleźć radość dawania. Tylko to zatrzymujemy kosztującymi palcami, cośmy dali innym.

Katarzyna Buczyk, Jarosław

BYŁEM W TEQUILI

Tequila to nie tylko alkohol („P” 2001), ale i 30-tysięczne miasteczko położone około 60 km na północny zachód od Guadalajary – stolicy stanu Jalisco. To właśnie tutaj pod koniec XIX w. z agawy błękitnej otrzymano alkohol, jakiego do dziś gdzie indziej nie uzyskano. Za „ojca” tego meksykańskiego alkoholu uważany jest Cenobio Sausa.

Każdy meksykański samogon pędzony z agawy to mezcál. Nazwa tequila zastrzeżona jest dla alkoholu z gorzelnii z Tequili i Tepatitlen. Międzynarodowa kariera tequili zaczęła się na przełomie XIX i XX w., kiedy to mezcál z okolic Tequili otrzymał nagrodę na światowych wystawach w 1893 r. w Chicago i w 1910 r. w San Antonio. Tequila jest mocnym trunkiem, którym łatwo się upić, szczególnie w gorącym słońcu Meksyku. Ale, jak powiadają Meksykanie: „Para todo mal mezcál, y para todo bien tambiën” – pij mezcál, gdy jest źle i gdy jest dobrze.

Witold Sieczko, Kielce

W OBRONIE TESSY

W numerze 2900 w „Dobrym programie” ukazała się krótka recenzja filmu „Tess” Romana Polańskiego, w której czytamy m.in. „Bohaterka (Tessa) to młoda i naiwna dziewczyna, która padła ofiarą niecných knoń przedstawieli płci odmiennej. Stąd podtytuł samej powieści – historia kobiety u p a d ł e j”. Otóż poprawnie tytuł powieści Hardy’ego brzmi: „Tess of the d’Urbervilles: a pure woman”. Są i inne wersje, ale zawsze autor określa Tessę jako kobietę c z y s t ą. Po polsku czytałam ją w latach 50., pt. „Tessa D’Urbervilles: historia kobiety czystej”.

Pozorny paradoks sytuacji przedstawionej przez pisarza ma głębokie uzasadnienie: wskazuje na przepaść, jaka dzieli powierzchowność osądu prowadzącego do potępienia oraz wnikliwe spojrzenie na istotę sprawy. To właśnie ocena sytuacji, w której znalazła się bohaterka, z pozycji głęboko pojętego humanitaryzmu pozwoliły Hardy’emu określić tę tragiczną postać jako czystą.

Rena A. Lamparska,
Cambridge, USA

PRZYWOŁYWANIE ANIOŁA

Nie zabijaj. Tak brzmi fundamentalne prawo żywych. Podstawa dekalogu. Boskie prawo. Żądanie stryczka dla mordercy, to nie tylko zgoda na dalsze zabijanie, to jest wprost zamiar zabójstwa. Politycy dyskutują, a diabeł się śmieje.

Diabeł kusi, diabeł zwodzi, diabeł pali w starym piecu, gdzie nie może, babę pośle, bogatemu dzieci niańczy. Diabli biorą. Diabli nadali. Do diabła. Aby krnąbrną młodzież za pomocą strachu uchronić przed zepsuciem, katecheci przywołują diabła, który wszelako taką ma naturę, że raz wypuszczony z butelki, niechętnie wchodzi tam z powrotem. Za to z ochotą obraca się przeciw swojemu wybawcy, aby np., jak w reportażu Balickiej, skompromitować go jako pedagoga.

Chciałbym teraz usłyszeć, co katecheci mówią na temat anioła. Ba, ale oni w tej sprawie nie mają wiele do powiedzenia. Zresztą i dla dzieci z aniołami wszystko jest raczej jasne, poza tym, jak robią siusiu.

Szatan jest niebezpieczny, ale jednak znacznie bardziej atrakcyjny. Z diabłem się zmagają, z diabłem się paktują, diabła się wypędza, poluje się na czarownice. A czy kto kiedy paktował z aniołem? Czy próbował kto łowić anioły w sieci?

Chyba tylko poeci.

PIOTR BIKONT



FOT. IGOR OMALECKI

Założył w Krakowie Marian Eile

WYDAWNICTWO „PRZEKRÓJ” Sp. z o.o.

ADRES: 31-012 Kraków, ul. Reformacka 3
lub 30-960 Kraków I, skrytka pocztowa 533,
e-mail: prze_red@przekroj.pl;
TELEFONY – łączą centrala: (012) 422-18-33,
422-18-72, 422-59-54, 422-18-92, 421-91-37
fax (012) 421-49-29, 422-70-61

PREZES ZARZĄDU I DYREKTOR: Leopold Stefański

REDAKTOR NACZELNY: Maciej Piotr Prus

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO: Piotr Bikont

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: Bożena Kalinowska

SEKRETARZ REDAKCJI: Marcin Baran

SEKRETARIAT ODPOWIEDZIALNY: Mirosław Chomko,

Józef Lubiński, Andrzej Ruchałowski

DZIAŁY:

Kultura: Benjamin Lazar, Tomasz Przybyłkiewicz,
Dobrosław Rodziewicz, Jacek Ziemek (p.o. kierownika)

Ludzie i obyczaje: Izabella Bodnar,
Wojciech Czuchnowski (kierownik), Barbara Pajchert,
Justyna Tawicka

Nauka i zdrowie: Teresa Bętkowska,
Janusz Marcjan (kierownik), Leszek Peters

Formy: Marcin Fedisz (kierownik), Wojciech
Kocotowski, Stefan Rokita, Agnieszka Wrzesień,
Bogna Wernichowska

Publicyści: Ludwik Jerzy Kern, Leszek Mazan,
Jerzy Piekarczyk, Kazimierz Targosz

Pracownia graficzno-komputerowa:
Piotr Gidlewski (grafika), Maria Klich,
Joanna Sroka (kierownik)

Dział fotograficzny: Joanna Dyzek, Marcin
Kędryna (fotoedytor), Bogdan Kręzel, Jan Zych

Korekta: Anna Rudnicka, Małgorzata Strakowska-
Szczurek, Barbara Wojtanowicz (kierownik)

Produkcja: Michał Kędryna, Andrzej Laurisz

WYDAWNICTWO: gł. księgowia – Halina Zięba,
kolportaż – Barbara Bagińska (kierownik)

DZIAŁ PROMOCJI: Anna Korwin (kierownik),
Włodzisław Kaczmarski („Złoty Grosz”)

DZIAŁ REKLAMY:

Biuro w Warszawie – ul. Wolska 45 A,
tel./fax (022) 631-46-68, 631-35-62,
Halina Sułkowska

Biuro w Krakowie – ul. Reformacka 3,
tel. (012) 422-70-61, Marzena Kiedacz

NASZE KONTO: Bank Pekao SA – I O/Kraków
nr 12401431-7010439-2700-401112-001

DRUK: Winkowski Sp. z o.o. Okrzei 5,
64-920 Piła, tel. (0-67) 210-84-00

PRENUMERATA – krajowa: terenowe oddziały
Ruch SA, wszystkie urzędy pocztowe oraz redakcja;
zagraniczna: Ruch SA, Oddział Krajowej Dystrybucji
Prasy, 00-958 Warszawa, ul. Jana Kazimierza 31/33
Konto: Pekao SA IV O/Warszawa, nr 12401053-
40060347-2700-457872-001,
tel. +48(22) 5328-731,

fax +48(22)5328-732 oraz redakcja
(wpłata na podane wyżej konto bankowe)
Artykułów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótów
w nadesłanych artykułach i listach.

Nakład: 80 000 egz.

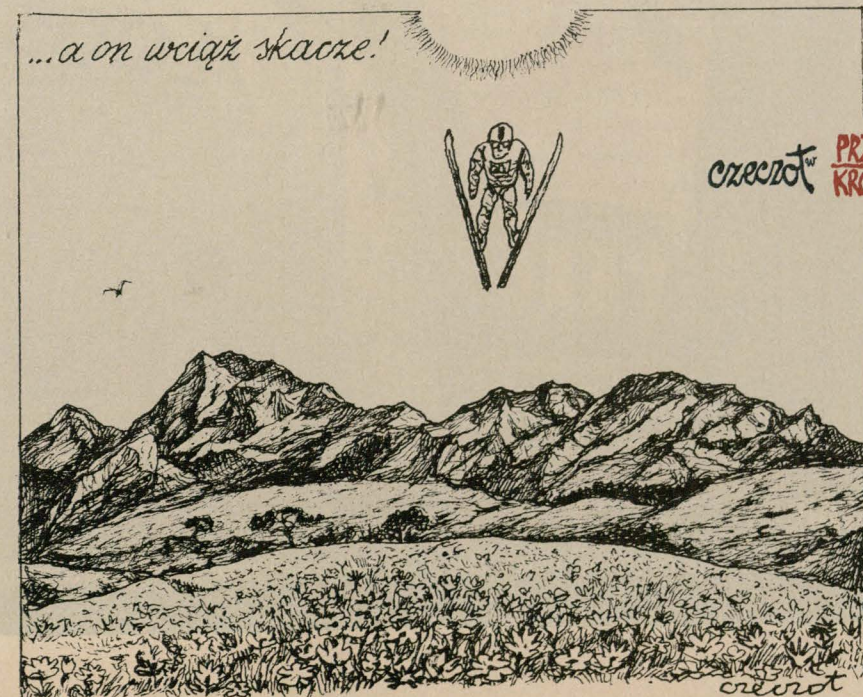
CZY KTOŚ SIĘ ROZPOZNA?

Piszemy z węgierskiego miasta Győr. Jesteśmy Polakami
zrzeszonymi w tutejszym Stowarzyszeniu Kulturalnym
im. Jana III Sobieskiego, pod opiekuńczymi skrzydłami Sa-
morządu Mniejszości Polskiej w Győr.

We wrześniu 2000 r. obchodziliśmy kolejną rocznicę wy-
buchu II wojny światowej, składając kwiaty pod pomnikiem
wystawionym przez mieszkańców Győr polskim żołnierzom
poległym w tym kraju w czasie ostatniej wojny oraz na
kwaterach polskich żołnierzy znajdujących się na tutejszym

cmentarzu. Przyjacieli naszego narodu, pan Saghegyi Elemér, pokazał nam wtedy zdjęcia ze znajdującego się
tutaj w czasie wojny obozu jenieckiego dla polskich żołnierzy. Pan ten był zatrudniony w obozie i pragnie
bardzo odnaleźć żyjących jeszcze jego byłych jeńców. Może ktoś rozpozna siebie? Jeżeli tak, prosimy, aby na-
wiązał kontakt z Samorządem Polskiej Mniejszości, 9024 Győr, Baross Gabor u.29.

Pomarankiné Pataky Gabriella, <patak@rette.net>





ADAM MAŁYSZ SUPER STAR

Po raz pierwszy Puchar Świata w skokach narciarskich zdobył Polak. Liczył się tylko on i zawodnik niemiecki Martin Schmid. Wyciężył lepszy, ale obaj byli wspaniali.

LEKCJA HISTORII

Prezydent zapowiedział, że „w imieniu całego narodu” przeprosi Żydów za mord w Jedwabnem. Prymas Polski i premier przyznali, że zbrodnia popełniona przez Polaków w 1941 r. jest niezaprzeczalna, jednak nie należy na tej podstawie budować uogólnień. Mieszkańcy Jedwabnego, zainspirowani przez postać ZChN, powołali komitet obrony dobrego imienia miasta.

MOSKAL WIE LEPIEJ

Między posłem Antonim Macierewiczem a prezesem Kongresu Polonii Amerykańskiej, Edwardem Moskałem, pojawiły się rozbieżności. Pierwszy twierdzi, że w Jedwabnem zbrodni dokonali Niemcy, drugi oświadczył, że to wszystko przez Żydów, którzy „postanowili, by Polska nie była Polską, tylko wyglądała na przedmieście Izraela”.

CHICAGO NA WOLI

W prasie pojawił się portret pamięciowy jednego ze sprawców napadu na filię Kredyt Banku na warszawskiej Woli. Nagroda (230 tys. zł.) świadczy o determinacji z jaką poszukuje się bandytów, którzy zastrzelili czworo pracowników banku. O skuteczności prawa decyduje szybkość i nieuchronność kary, ale chcąc wymierzyć karę, należy najpierw schwycić przestępców. Podobno sprawcy napadu byli amatorami. Wkrótce się okaże, czy ścigają ich profesjonalści.

FRONTEM DO PAŃ

Konferencja na temat roli kobiet w polityce odbyła się w łódzkim Teatrze Wielkim. Mówiąc ściślej, dotyczyła roli kobiet w Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Utworzono Forum Równych Szans i Praw Kobiet oraz Akademię Wyborczą Kobiet. Ma być z tego szeroki ruch przeciw dyskryminacji kobiet, ale nie seksmisja.

PRAWO NAD TAMIZĄ

Nowe brytyjskie prawo antyterrorystyczne zakazuje nawet noszenia koszulek z logo grupy terrorystycznej, a pojęcie terroryzmu rozszerza m.in. na hakerów komputerowych. Na listę organizacji zakazanych przez prawo, mimo nacisków Rosji, nie trafiły ugrupowania czeczeńskie.



Szef Komisji Europejskiej, Romano Prodi, zapewnił premiera Jerzego Buzka: „Kiedy wy będziecie gotowi, my też będziemy gotowi”. Zakończenie negocjacji z Unią w tym roku, wykracza jednak poza granice polskiego realizmu.



Kukła symbolizuje afgańskich talibów. W ten sposób zareagowano w Indiach na niszczenie w Afganistanie zabytkowych rzeźb i pomników buddyjskich.



Zaduma posła Bronisława Geremka. Odrzucając poprawkę Senatu, posłowie przyznali prawo do reptrywizacji tylko osobom, które 31 grudnia 1999 r. miały polskie obywatelstwo. Prezydent pewnie zawetuje.



Nowy premier Izraela, Ariel Szaron (z lewej), przejął władzę z rąk Ehuda Baraka. Powiedział, że wyciąga rękę do Palestyńczyków, ale nie zamierza respektować ustaleń swego poprzednika. Po zamachach terrorystycznych najpierw musi powrócić pokój.



Niedawne współczucie dla losu kosowskich Albańczyków zastąpił strach przed albańskim ekstremizmem. NATO zezwoliło na powrót wojsk jugosłowiańskich do strefy buforowej. Teren, na którym działają rebelianci, graniczy z amerykańską strefą odpowiedzialności w Kosowie.

NOWY POCZĄTEK BRACI

Jarosław Kaczyński zapowiedział powołanie nowej formacji politycznej. Z przemówienia wynikało, że główną rolę w nowym ruchu odegra jego brat, Lech Kaczyński – obecny na konferencji minister sprawiedliwości. W ten sposób prawica ma pokazać „całkiem nową i przekonującą twarz”.

PUTIN W INTERNECIE

Rosyjski prezydent po raz pierwszy spotkał się z internautami. Nadeszło 16 tysięcy pytań z całego świata. Władimir Putin zdołał odpowiedzieć na 20. „Kiedyś, w dalszej przyszłości, pewnie staniemy się częścią zjednoczonej Europy” – powiedział.

WOLĄ WŁASNY SER

Szwajcarzy należą do eurosceptyków i na razie nie mają ochoty przystępować do Unii Europejskiej. 77 proc. głosujących w referendum nie chce rozmawiać z Brukselą, uważając – za swoim rządem – że Szwajcaria wstąpi do Unii w czasie, który uzna za najbardziej odpowiedni dla siebie.

BÓL NA EKSPORT

Amnesty International apeluje o wstrzymanie międzynarodowego handlu narzędziami tortur. W produkcji aparatury elektrowstrząsowej przodują Chiny, Tajwan i Korea Płd. Dołączyły przedsiębiorstwa polskie, rosyjskie i czeskie.

RADOŚĆ WIELKIEGO BRATA

Najczęściej oglądanymi przez dzieci (4–15 lat) programami są „Świat według Kiepskich” i „Miodowe lata”. Podczas dyskusji w Senacie na temat telewizji zauważono, że dobry gust zdominowany został przez wskaźniki oglądalności, co doprowadzi szybko widzów do „Wielkiego Brata”.



MYŚL TYGODNIA

Kobieta to obywatel

Leszek Miller
– przewodniczący SLD



Niedaleko Mekki mułmańscy pielgrzymi kamienowali, jak co roku, kolumnę symbolizującą szatana. Uczestniczący w ceremonii tłum stratował 35 osób.



Anda Rottenberg odchodzi z warszawskiej Zachęty. „Nie jest to moja decyzja, tylko pani dyrektor” – zastrzegł się minister kultury, który w ten sposób ma z głowy kłopotliwy problem artystyczno-polityczny.



Runął most, spinający brzozi Duero. Zginęło 70 osób. Portugalski minister robót publicznych podał się do dymisji, ponieważ most miał 116 lat i stan odpowiedni do wieku.



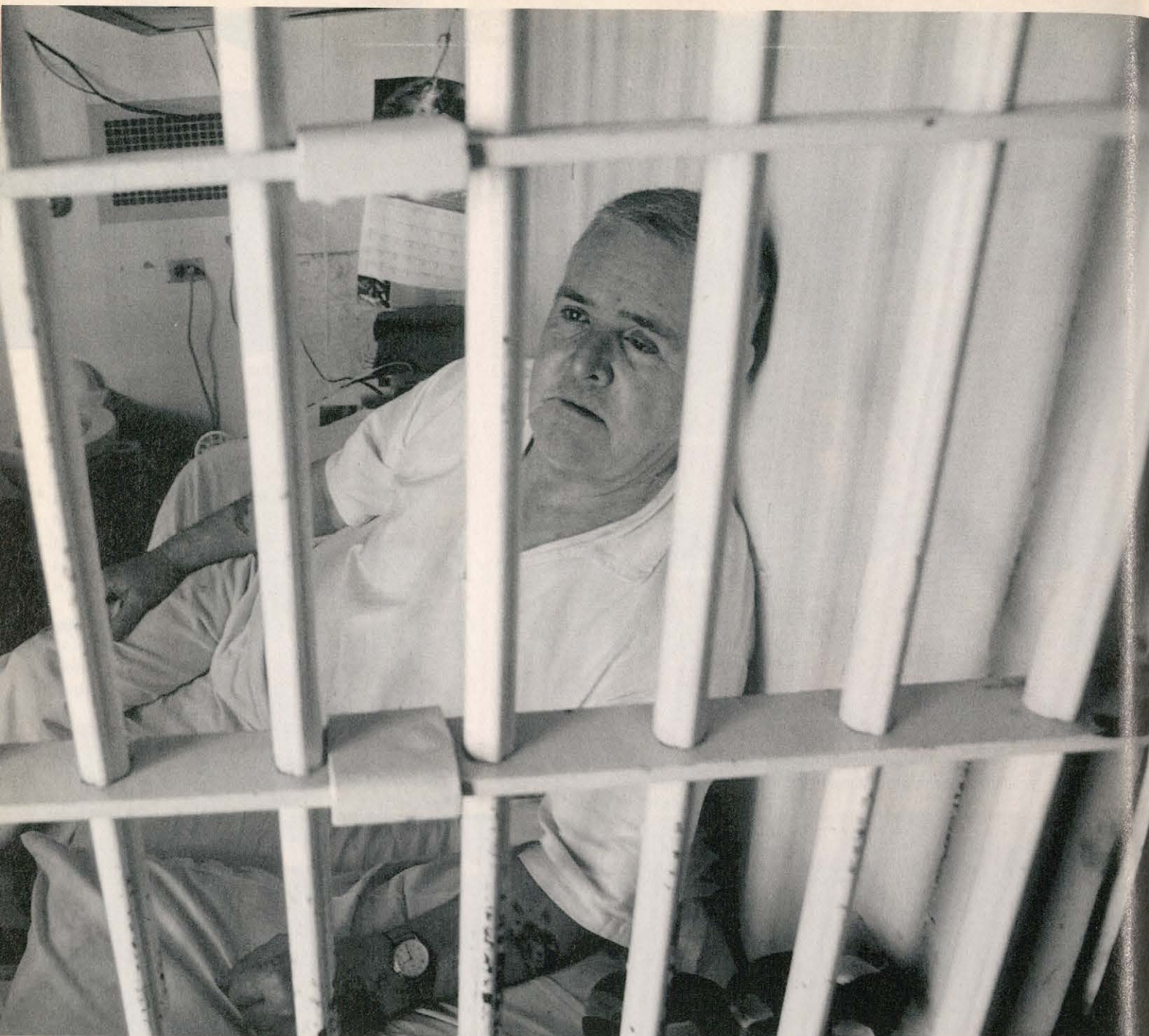
Korea Południowa pod falą demonstracji pracowników zwolnionych z koncernu samochodowego Daewoo. Mimo protestów, główny zakład koncernu został otwarty po restrukturyzacji.



Miss International w wadze lekkiej została Kanadyjka Dayana Cadeau. Wybory w Columbus (USA) zaszczylił Arnold Schwarzenegger, ale to nie jego widzimy na zdjęciu.



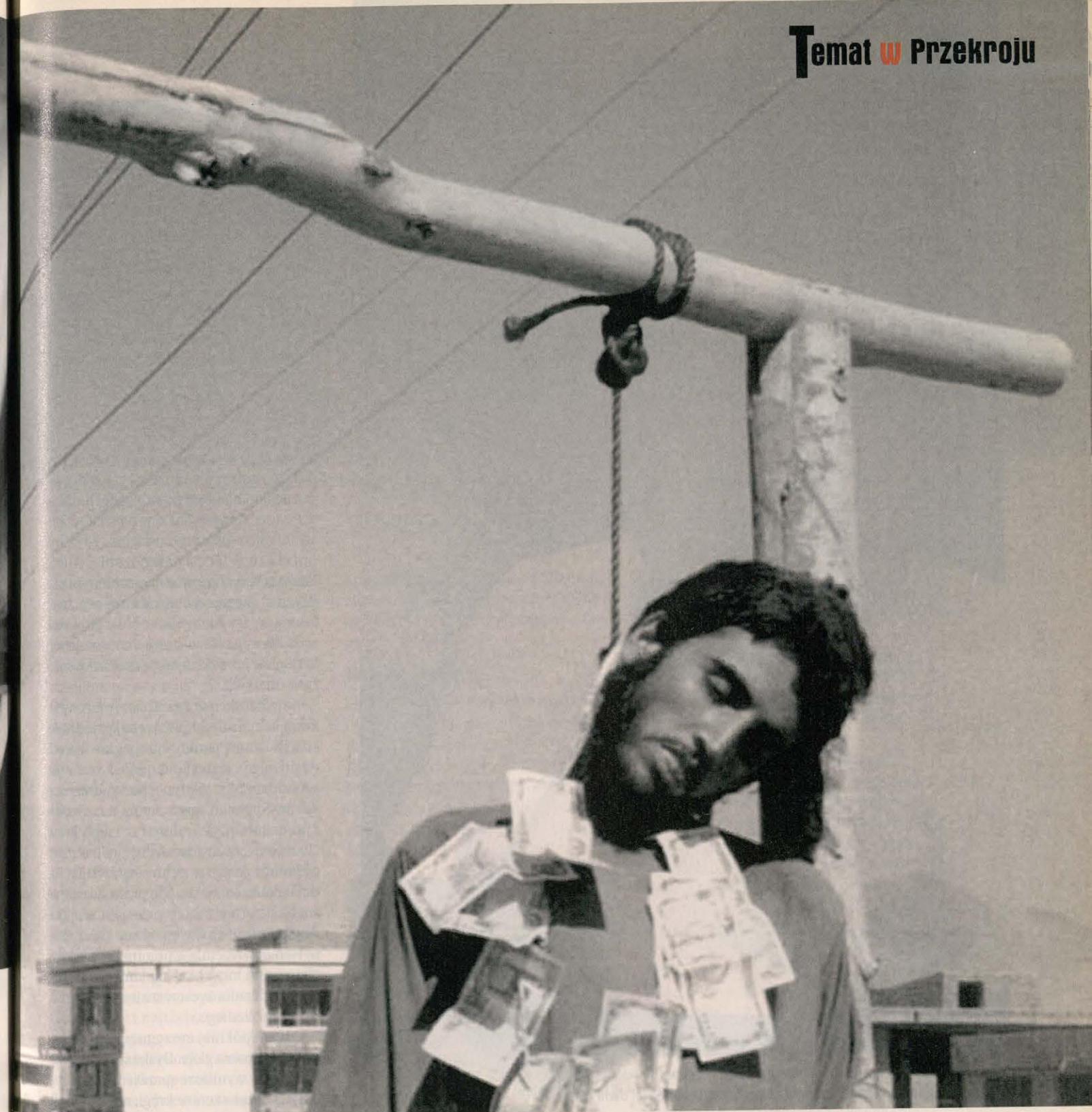
Walka z pryszczycą kosztuje brytyjskich hodowców 72 mln funtów tygodniowo. Strach, co prawda, ogarnął ludzi, ale i tak najgorzej na tym wszystkim wychodzą masowo likwidowane zwierzęta.



Gdyby w orzecznictwie karnym trzymano się rachunku ekonomicznego, karanie śmiercią byłoby najbardziej opłacalną metodą pozbywania się przestępców.

JERZY PIEKARCZYK

SIEDZIEĆ CZY WISIEĆ?





Allen Lee Davis po egzekucji na krześle elektrycznym w Orlando na Florydzie w lipcu 1999 r. Siedemnaście lat wcześniej zamordował ciężarną kobietę i jej dwie córki.

**Wprowadzenie kary śmierci
niewątpliwie zadowala społeczeństwo,
ale przestępcy rodzą się niezależnie
od jej istnienia.**

Gdy w 1995 r. Sejm przegłosował pięcioletnie moratorium na wykonywanie kary śmierci (nieformalnie istniejące od siedmiu lat), 60 proc. Polaków było temu przeciwnych. Po zniesieniu w 1998 r. w Polsce kary głównej, jako sprzecznej z ustawodawstwem Unii Europejskiej, większość społeczeństwa wciąż uważa, że najskuteczniejszym środkiem chroniącym przed zbrodniarzami jest stryżek.

O karze śmierci napisano w Polsce dwie rozprawy doktorskie: w połowie ubiegłego stulecia na Uniwersytecie Jagiellońskim i przed 23 laty na Uniwersytecie im. M. Kopernika w Toruniu.

Autor pierwszej, Mikołaj Kański, zakładał, że „prawo nie może się powodować uczuciami niejasno pojmowanej ludzkości”, a sędziowie, skazując na śmierć, powinni mieć spokojne sumienie, gdyż nie oni skazują, lecz ustawa. Z kolei Alicja Grześkowiak patrzyła na problem przez pryzmat ciągnącego się od lat sporu zwolenników i przeciwników kary głównej, nie ukrywając, że w czasach normalnych i pokojowych widzi swoje miejsce wśród tych ostatnich.

Gdy Kański rozprawiał się z przeciwnikami kary śmierci, wzdychając jednak: „daj Boże, aby narody europejskie nie widziały nigdy jej wykonania”, skazańców prowadzono na gilotynę, pod szubienicę lub przed pluton egzekucyjny, a nawet łamano kołem. W obszarze wpływów chrześcijaństwa widoczny był jednak zdecydowany postęp w technice wysyłania ludzi na tamten świat. Nie praktykowano wszak ćwiartowania, palenia na stosie, obdzierania ze skóry, wbijania na pal, zakopywania żywcem, rwania rozżarzonymi obcęgami i innych wyszukanych sposobów odbierania życia w majestacie prawa i miłości bliźniego.

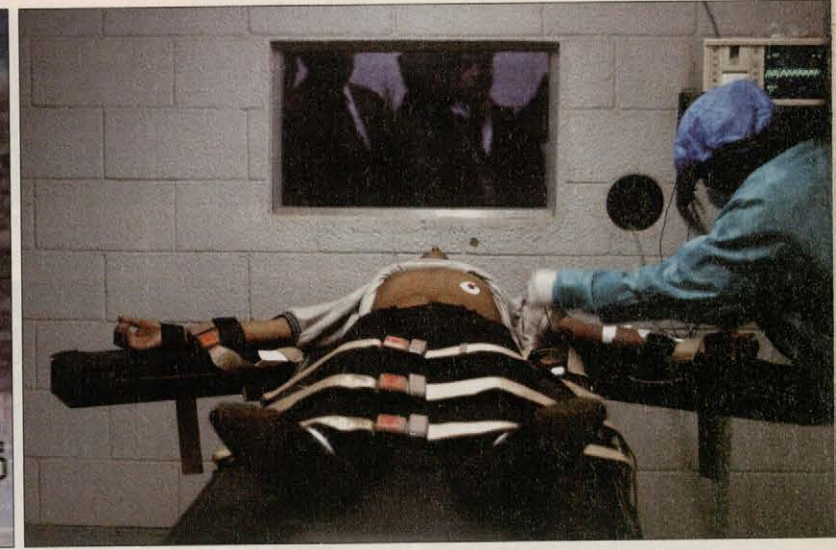
130 lat później zrezygnowano w Europie z ucinania głów. Dyskusja wokół roli sznura w wymiarze sprawiedliwości zataczała coraz szersze kręgi, a w Stanach Zjednoczonych rozważano, co jest bardziej humanitarną formą uśmiercania: krzesło elektryczne, trucizna w strzykawce czy komora gazowa – ta ostatnia nazbyt kojarząca się w Europie z metodami masowej zagłady z lat wojny.

Cena dożywocia

Ci, którzy uważali, że cechą kary głównej nie jest męczenie człowieka, lecz zadośćuczynienie prawu, mogą się rzeczywiście pochwalić znacznym postępem w sposo-



Rozstrzelanie Palestyńczyka oskarżonego o kolaborację z siłami izraelskimi. Gaza 13 stycznia 2001 r.



Odłączenie aparatury, którą wstrzyknięto truciznę Amilcarowi Perezowi – członkowi gangu porwaczy w Gwatemali.

bie eliminowania jednostek, których społeczeństwo nie chce izolować na swój koszt. Dziś wystarczy podać, że średni koszt pobytu więźnia w zakładzie karnym wynosi 1700 zł miesięcznie i zaraz pojawi się dramatyczny tytuł: „Więzień droższy od strażnika”. W następnej kolejności przyjdzie czas na szybką kalkulację, jak kosztowne dla społeczeństwa będzie wprowadzenie dożywocia. Gdyby w orzecznictwie karnym trzymano się rachunku ekonomicznego, niewątpliwie karanie śmiercią byłoby najbardziej opłacalną metodą pozbywania się przestępców.

W dyskusji o tym, co jest, a co nie jest bezbolesnym zadawaniem śmierci, ścierają się różne argumenty. Z wiadomych przyczyn nie da się tylko wysłuchać opinii bezpośrednio zainteresowanych. Nie mogą więc zaświadczyć, czy rażenie prądem można uznać za sposób uśmiercania najszybszy i najłżejszy dla skazanego, skoro znane są przypadki kilkakrotnego powtarzania egzekucji. Przekonanie o powieszeniu jako sposobie „stosunkowo bezbolesnym, choć nie zawsze szybkim” też należy do sfery domysłów. Nikt nie potrafi opowiedzieć, jak to jest rzeczywistość. Dystans dzielący miejsce egzekucji od społeczeństwa domagającego się najwyższego wymiaru kary w sposób zasadniczy wpływa na temperaturę emocji. Co innego bowiem domagać się kary śmierci w listach do ministra sprawiedliwości, co innego podpisać wyrok, co innego wreszcie być świadkiem uruchomienia zapadni. Kieślowski w „Krótkim filmie o zabijaniu” pokazał zbrodnię oraz karę,

która w formie niewiele się różniła od zbrodni. Nie znam ludzi, którzy scenę finałową oglądali z przyjemnością, choć pewnie są i tacy.

Rozum i emocje

Polskie prawo wykonawcze nie przewidywało przy egzekucji obecności sędziego, co mogłoby zwiększać poczucie jego odpowiedzialności za wyrok. Ale też nie dopuszczało, aby z egzekucji, jak w Ameryce, robić makabryczne widowisko z udziałem rodziny i dziennikarzy.



Człowiek na krześle elektrycznym – zabawka dla dzieci, która, zasilana baterią, daje interesujące efekty wizualne.

Zanim wprowadzono moratorium na wykonywanie kary śmierci, tajemnicę ostatnich minut „tryumfu sprawiedliwości” dzielili między siebie – oprócz wykonawcy wyroku – prokurator, naczelnik więzienia i lekarz, do których na życzenie skazańca, mogli dołączyć duchowny i obrońca.

Kto brał kiedykolwiek udział w egzekucji, nie chce o tym mówić. Jakkolwiek nazwać wykonanie wyroku, uczestniczyć się w zabójstwie dokonanym w majestacie prawa, z bezwzględny, upiornym ceremoniałem, który być może mógłby odstraszać, gdyby nie to, że skazaniec, zdobywając takie doświadczenie, nie może już z niego skorzystać.

Sięgający czasów oświecenia historyczny spór abolicjonistów z retencjonistami – przeciwników i zwolenników, z jednej strony dotyczy odstrasżającego wpływu kary śmierci, z drugiej – kwestii etyczno-moralnej. Nikt nie powie, że pod szubienicą mamy do czynienia z absolutnym dobrem. Czy można czynić zło w imię uniknięcia zła jeszcze większego, jakim będzie ponowna zbrodnia? Gdzie jest miejsce na uszlachetniającą moc prawa, jeśli z jednej strony mówi się „nie zabijaj”, a z drugiej – czyni to w jego majestacie.

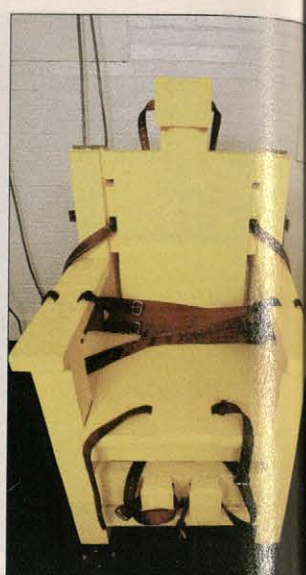
Prawo zobowiązywało służbę więzienną nie tylko do zapewnienia skazanemu opieki duchowej, ale również bezpieczeństwa, najlepszego odżywiania i opieki lekarskiej, aby nie znalazł ucieczki w śmierć inną niż ta, którą przewidziano dla niego w wyroku. Całe to zatroskanie zdawało się świadczyć, że nie ochrona społeczeństwa przed nieprawym przestępcą jest najważniejszym motywem kary, ale odwet, w którym jednak pozostawiano margines na „ostatnie życzenie”, byleby nie naruszało zasad moralności, przyzwoitości i powagi chwili.



Cela śmierci w łódzkim więzieniu.



Blok śmierci w jednym z teksaskich więzień. Krzesła dla świadków egzekucji.



„Żółta Mama” – krzesło elektryczne w więzieniu Altmore w stanie Alabama.

Pracownik więziennictwa przyznaje, że przez 20 lat pracy spotkał się z przestępcami, których wyeliminowałby bez żalu.

– Miałem z tymi ludźmi do czynienia na co dzień. Gdyby było referendum w sprawie przywrócenia kary śmierci, choć uważam urządzenie głosowania w takiej sprawie za nonsens, powiedziałbym: tak.

Dla niego kara główna to forma stanu wyższej konieczności. Jak na wojnie, gdzie zabijanie jest usprawiedliwione wyższymi racjami. Tu wyższą racją może być chęć ratowania społeczeństwa przed bandytyzmem. Były naczelnik zakładu karnego, z 30-letnim doświadczeniem penitencjarnym, zapytany o sens kary śmierci, zastanawia się dłużej.

– Jako „więziennik” myślę, że być powinna, pod warunkiem że się jej nie orzeka. Jako człowiek pytam sam siebie:

dłaczego mamy nawiązywać do krajów azjatyckich?

Wśród więźniów kara śmierci jest tematem tabu.

Ludziom się wydaje, że bandytów jest tak dużo, ponieważ się kata nie boją. Kiedy więc media donoszą o kolejnym przypadku bandytyzmu, nagle wszystkich ogarnia głęboka wiara w odstraszącą moc kary śmierci, a minister sprawiedliwości zdobywa popularność, wymachując pętlą i przekonuje zdjęte strachem społeczeństwo, że będzie spokój, jeśli zacznie się wieszać złoczyńców.

Statystyka jednak dowodzi, że zniesienie kary śmierci wcale nie zwiększa liczby zagrożonych nią przestępstw, a przywrócenie – tej liczby nie zmniejsza. I wcale nie jest tak, że człowiek, zanim stanie się zbrodniarzem, trzeźwo kalkuluje, czy potem będzie wisiał, czy tylko sobie posiedzi.

W XVIII-wiecznej Anglii, kiedy za złodziejstwo karano śmiercią, najczęściej kradzieży zdarzało się podczas publicznych egzekucji. Gawiedź tak pochłonięta była oczekiwaniem, kiedy skazaniec zawiśnie na szubienicy, że nie zwracała uwagi na złodziei, którzy w tłumie obrabiali widzom sakiewki. Ten przykład przywołuje się często, dowodząc, ile jest racji w argumentach o odstraszącym oddziaływaniu kary śmierci.

Wiara w iluzję

W trwającym wiele lat sporze o to, czy wolno przestępcę pozbawić życia, jeśli w ten sposób powstrzyma się innych potencjalnych sprawców, padały różne argumenty. Trudno obronić tezę o istnieniu zależności między karą śmierci a liczbą najcięższych przestępstw. Już w XVII w. zaczęto uznawać, że egzekucje publiczne nie działają odstrasząco. Dzisiaj nie dostrzega się związku między liczbą najcięższych przestępstw a karą śmierci.

Ale nie jest to argument dla polityka dbającego o głosy wyborców, którzy chcą świat widzieć w czarno-białych kolorach. Ks. Jan Sikorski, krajowy duszpasterz więziennictwa, wypowiadając się w 1997 r. na łamach „Gazety Wyborczej”, mówił: „Wprowadzenie kary śmierci jest zabiegiem narkotycznym, sztucznym uspokojeniem powodującym przekonanie, że akt zemsty wyrówna doznane krzywdy. Nie odstrasza, a ponadto jest kolejną zbrodnią dodaną do tej, którą popełnił przestępca. Wprowa-

dzenie kary śmierci niewątpliwie satysfakcjonuje społeczeństwo, ale przestępcy rodzą się niezależnie od jej istnienia”.

Według Amnesty International iluzją jest wiara, że kara śmierci może zapewnić społeczeństwu większe bezpieczeństwo. Wręcz przeciwnie. Zabijanie, nawet zgodnie z prawem, prowadzi do brutalizacji norm publicznych i podważa ideę nienaruszalności życia ludzkiego, a angażowanie ludzi w proceder zabijania, nawet jeśli działają na podstawie wyroku, narusza ich godność i człowieczeństwo.

Przeciętny obywatel, zbulwersowany doniesieniami, które krzyczą z czołówek gazet, domaga się eksterminacji przestępców w imię własnego, dobrze pojętego bezpieczeństwa. Uważa, że etyczne skrupuły przed stosowaniem kary śmierci to akademickie dyskusje. Groźnych przestępców trzeba eliminować, a nadstawianie drugiego policzka jest opowieścią z zupełnie innej bajki.

Przekonanie, że kara śmierci ma wyeliminować przestępcę, a wraz z nim zagrożenia, jakie może stanowić w przyszłości, bierze się z nie dość udokumentowanego założenia, że zbrodniarza trzeba ukarać śmiercią, gdyż inaczej wyjdzie na wolność i będzie dalej mordować. Pozostaje otwartą kwestia, za jakie czyny należałoby sprawcę uśmiercać. Wykonanie wyroku śmierci w tzw. aferze mięsnej sprzed lat, wówczas uzasadniane „słusznym gniewem ludu”, dziś wywołuje zażenowanie. Przynajmniej w sprawach gospodarczych nikt nie wierzy w uzdrawiającą moc sznura.

„Karę śmierci z reguły znoszono wbrew woli większości – pisał prof. Leszek Kołakowski, wypowiadając się kiedyś na ten temat – nie jest to jednak dobrym argumentem za karą główną, gdyż podobnie, wbrew woli większości, zniesiono polowania na czarownicę”.

Pasjans wyborczy

Dla polityków katolickich problem przestał być dyskusyjny, odkąd papież Jan Paweł II sprzeciwił się karze śmierci. Był to znaczący moment w historii Kościoła, który nie zajmował nigdy postawy jednoznacznej i nawet wysyłając heretyków na tamten świat, wołał korzystać z pośrednictwa jurysdykcji świeckiej.

Mimo to w społeczeństwie polskim, które w 90 proc. deklaruje się jako katolickie, większość nie ma wątpliwości, czym należałoby odpłacać za zbrodnie. Niewielkie wrażenie robi to, że u zarania swoich dziejów społeczność chrześcijańska od-

rzucała tych, którzy biorą czynny udział w karaniu śmiercią, a Prymas Tysiąclecia, kardynał Stefan Wyszyński, zadawał wprost pytanie, czy w ogóle społeczność państwowa ma prawo skazywać kogokolwiek na śmierć?

Gdyby nie zobowiązania wobec Rady Europy, nie jest wykluczone, że przywrócenie kary śmierci znalazłoby się wśród haseł zbliżającej się kampanii wyborczej, godząc nawet przeciwników politycznych zasłuchanych w „vox populi”. Leszek Miller – lider SLD, od lat nie kryje, że jego zdaniem kara śmierci działa odstrasząco i będzie popierał jej przywrócenie, choć w 1997 r. głosował za usunięciem jej z kodeksu. W swoim ugrupowaniu znajdzie jednak takich polityków, jak były minister sprawiedliwości Włodzisław Cimoszewicz, który karę śmierci nazywa barbarzyństwem, mimo że w 1997 r. jego koledzy klubowi podpisywali petycję w sprawie jej przywrócenia. Reagowali wtedy na śmierć warszawskiego licealisty zamordowanego przez młodocianych bandytów. Zachowali się inaczej niż minister sprawiedliwości, prof. Leszek Kubicki, który powtarzał, że „nawet najokrutniejsze zabójstwo nie może zniekształcać oceny sytuacji”.

Kiedy sprawujący ten sam urząd Lech Kaczyński rozpoczął antyabolicyjną krucjatę, nikogo specjalnie nie zaskoczył. Poszedł tą samą drogą, co jego brat, Jarosław, też prawnik, który jako lider prawnicowego Porozumienia Centrum wywalał w 1994 r. do uchylenia nieformalnego moratorium i domagał się egzekucji na skazańcach czekających na wykonanie wyroku. Zaniechanie kary uważał za niemoralne.

„Usankcjonowane prawem morderstwo” – to był częsty zarzut pojawiający się, gdy do głosu dochodziły emocje przeciwników kary śmierci. Mieczysław Szerer nazywał karę śmierci „przepyszny kwiatem nowoczesnego barbarzyństwa”. Emocje retencjonistów dają znać o sobie, ilekroć społeczeństwo ogarnia strach przed terroryzmem lub rosnącą liczbą szczególnie drastycznych zabójstw, ilekroć widać, że kara nie jest ani szybka, ani nieuchronna, a za wzrostem przestępczości nie nadąża nie tylko ślepa, ale i kulawa Temida. Z taką sytuacją mamy do czynienia obecnie. Zniesiono bowiem karę śmierci, ale panujące nastroje wciąż są wyrazem bezsilności społeczeństwa wobec szerzącego się bandytyzmu.



PROF. DR HAB. TADEUSZ HANAUSEK

Katedra Kryminalistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego

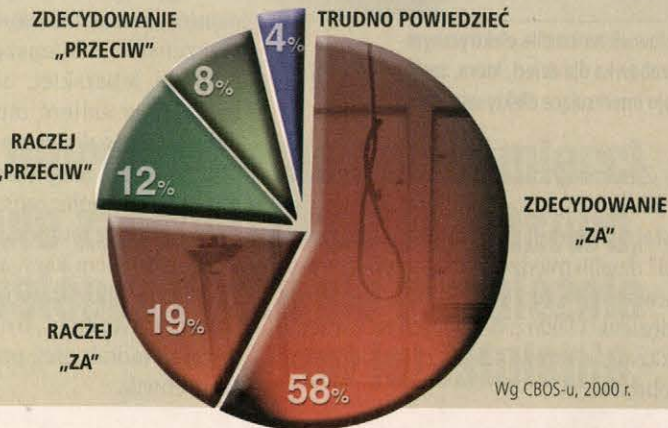
NIE WIEM I NIE ROZUMIEM

Każdy z nas ma wątpliwości. Z jednej strony makabryczne zbrodnie, z drugiej – znaki zapytania. Nie wysokości, lecz szybkość i nieuchronność kary – pisał Monteskiusz. Na ogół sprawca myśli, że mu się uda. A zatem nie myśli w kategoriach: kara śmierci czy 25 lat. Gdyby dokonał przestępstwa, wiedząc, że dostanie „czapę” – byłby samobójcą. Kara śmierci ma charakter nieodwracalny, a przecież zdarzają się zmiany ocen. Nie wiem, co stwierdzi nauka za pięć, dziesięć lat. W średniowieczu skazywano na śmierć chorych umysłowo. W końcu XIX w. przestępstwo popełnione w stanie nietrzeźwym było okolicznością łagodzącą. Istnieje pogląd, że odchylenia seksualne są chorobą, i pogląd, że chorobą nie są, ale co jest prawdą, nie rozstrzygniemy dzisiaj. Dla mnie kluczowym argumentem przemawiającym przeciwko karze śmierci są znaki zapytania, wynikające z naszej niewiedzy i stanu nauki. Mówię: nie wiem, a to nie stawia mnie wśród przeciwników. Rozumiem emocje i zwykłe ludzkie poczucie sprawiedliwości, bazujące na odwecie. Za karą śmierci przemawia również argument o potrzebie eliminacji przestępczych jednostek, ale nie wiem, czy ci, którzy to mówią, mają rację. Jeżeli są tacy ludzie, którzy wszystko wiedzą, nie mają czego szukać w nauce.

Rozumiem argumenty jednych i drugich. Kto ma rację? – nie wiem. Są kraje, które życie ludzkie traktują w sposób dla mnie niezrozumiały. Myślę o byłym ZSRR i USA. Nie rozumiem, jak można w niektórych stanach oglądać przez szybę egzekucję. Nie znaczy, że mam rację. Nie rozumiem. Niektóre sposoby zadawania śmierci w imieniu prawa są tak odrażające, że zastanawiam się, jak taki kraj może coś podobnego stosować. Jak można dopuścić, aby na wykonanie wyroku śmierci człowiek czekał latami? Moje wątpliwości nie znaczą, że mam rację. Po prostu – nie rozumiem. Byłoby źle, gdybyśmy w sprawach, w których chodzi o ludzkie życie, nigdy nie mieli wątpliwości.

TĘSKNOTA ZA KARĄ GŁÓWNĄ

W Polsce w ciągu ostatnich 14 lat zwolennicy kary śmierci mieli zawsze przewagę nad jej przeciwnikami. W latach 90. liczba zwolenników rosla. Ale to nie my stawialiśmy się coraz bardziej bezwzględni, lecz świat wokół nas.



MARIUSZ WALTER

– urodzony w 1937 r. we Lwowie. Absolwent Politechniki Śląskiej w Gliwicach. Pracował blisko 25 lat w TVP. Autor kilkudziesięciu filmów. Nagrody w Oberhausen, Prix Italia i na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie. Współzałożyciel koncernu medialnego ITI. Od 1997 r. prezes TVN. Żona Bożena, była gwiazda TVP, dwoje dzieci: Sandra i Piotr. Jego pasją jest dom, tenis i kino.

ROZMAWIA KAZIMIERZ TARGOSZ
ZDJĘCIA WOJCIECH STEIN/REPORTER

MARIUSZ I z dynastii WALTERÓW

Nie mamy misji publicznej.
Mamy misję biznesową.
Musimy się utrzymać, zarobić, rozwijać stację,
kupować i produkować.

Stale powracają plotki o pana odejściu z TVN. Mam nadzieję, że rozmawiam z aktualnym, a nie byłym prezesem?

To nie do końca są plotki, to jest pewna prawidłowość. W holdingu ITI, a TVN do niego należy, mamy taką zasadę, że każde ważne stanowisko jest zdublowane. W telewizji pracuję właściwie całe życie, mam życiorys wypchany godzinami nadliczbowymi i coś się należy nie tylko mnie, ale także mojej żonie.

A więc coś jest na rzeczy, ale czy to ewentualne odejście wynika tylko z rotacji stanowisk w ITI i względów osobistych, czy może z tego, że amerykański partner się tego domaga, bo nie jest zadowolony z wyników TVN?

Po pierwsze, nasz nowy partner nie ma możliwości zmieniania nikogo w zarządzie, ani też nie ma potrzeby. Po drugie, jestem jednym ze współwłaścicieli holdingu, więc trudno by mi było się samemu zwolnić. A Jan Wejchert i Bruno Valsangiacomo też nie mają takich planów. Jeśli idzie

o wyniki TVN, to są one bardzo satysfakcjonujące. W ub. roku nasze wpływy z reklam stanowiły blisko jedną czwartą polskiego rynku telewizyjnego. Jan Wejchert, szef ITI, którego aktywność nie wygaśnie chyba jeszcze przez „30 parę lat”, ma w najbliższym zapleczu swojego syna Łukasza i córki. Ja mam w zapleczu syna i córkę. Nie jest wielką tajemnicą, że myślimy w holdingu, by był moim sukcesorem. Jest do tego przygotowywany przez ostatnie dziesięć lat. Kiedy podejmiemy taką decyzję, wrócę do Holdingu ITI i będę dalej zajmować się mediami. Będę również w Radzie Nadzorczej TVN. Kiedy to nastąpi, jeszcze nie wiemy. Jedno jest pewne – nigdy nie spuszczę TVN ani kanału informacyjnego TVN24 z oka i nigdy nie zamierzam być typowym emerytem.

Zadawała pana wielkość widowni?

Nie. Startowaliśmy na rynku telewizyjnym zapełnionym po brzegi. Nie mogliśmy więc wyjść z programem uniwersalnym, czyli takim, który każdemu powi-

nien się podobać. Takie możliwości ma na przykład telewizja publiczna czy Polsat, bo mają kilka kanałów. My mamy jeden. Zdecydowaliśmy się świadomie na grupę odbiorców, którą można nazwać rodzajem się polskim mieszczaństwem. Uważamy, że ta grupa będzie się rozwijać, a po drugie nasze nadajniki mamy ulokowane wyłącznie w miastach. Polsat, Jedynka i Dwójka mają pełne pokrycie kraju, my zbliżamy się do 70 proc.

Komu TVN odbiera widzów?

Komu się da. Kiedy byliśmy jedyną stacją, która wprowadzała nowe programy kupowane za granicą, jak „Milionerzy”, „Wybacz mi”, „Ananasy z naszej klasy”, czy też produkcje TVN-owskie: „Ale plama”, „Pod napięciem”, to mieliśmy znamiona oryginalności i wyraźną twarz programową. Ale aniśmy się obejrzeni, jak Polsat zaczął bezwzględnie kopiować naszą produkcję. Teraz słyszymy, że zapowiada drugie wydanie „Big Brother”. Będziemy musieli zareagować na nieuczciwą konkurencję.



Ile razy zmieniał pan ramówkę? Pamiętam, że pierwszy raz zmienił pan na mniej ambitną i tak zostało.

Nie mogę się zgodzić z tym, że jest ona mniej ambitna. Ci, którzy tak mówią, nie biorą pod uwagę tego, co naprawdę Polacy chcą oglądać. My nie mamy udziału w abonamentach, nie mamy misji publicznej. My mamy misję biznesową, musimy się utrzymać, zarobić, rozwijać stację, kupować, produkować. Nie możemy brać na siebie ambitnego zadania kształtowania swojego widza, narzucania mu tego, co powinien oglądać. Musimy być wobec niego pokorni. W starej ramówce było ponad miarę programów, których widz nie chciał oglądać.



Nie ma pan ambicji kształtowania gustów widzów?

Mam, ale nie z takim rozmachem, jak rozpoczęliśmy, bo był on śmiertelny z punktu widzenia ekonomicznego.

„Zaczęłam robić telewizję dla ludzi, którzy mają aspiracje – chcą lepiej żyć, więcej wiedzieć, nosić lepsze buty, pić lepszą kawę” – to pana słowa. A może te aspiracje to raczej wygrać w „Milionerach” albo skłonności ekshibicjonistyczne, zaspokajane przez takie programy jak „Wybacz mi” czy „Big Brother”?

Uporajmy się po kolei z pana wątpliwościami. Próbowaliśmy kiedyś grać jednocześnie z zawodnikami w „Milionerach”?

Czasami.

Ja próbuję i okazuje się, że mam spore luki. A każdego, który twierdzi, że doszedłby do miliona, bo to jest gra dla idiotów, serdecznie zapraszam do udziału.

Ostatnio mogłem się dowiedzieć fundamentalnej rzeczy, że kajzerka ma pięć, a nie cztery nacięcia, jak zawsze mi się wydawało.

Dobrze, zdarzają się takie niewydarzone czy podchwytliwe pytania, ale są tysiące innych. Jest to teleturniej, z którego może się pan dowiedzieć, kim był Verdi, kto namalował ten czy inny obraz, czy Goya był malarzem, czy piłkarzem. Wiemy na sto procent, że wbrew temu, co sądzą krytykanci tego programu, ogólna wiedza Polaków i wykształcenie nie są tak wysokie, by z lekceważeniem oceniać ten program. A jest on robiony perfekcyjnie, zawodowo, ma emocje, nie jest głupim spędzaniem czasu i każdemu, kto mówi, że to jest głupi teleturniej, odpowiadam, że by skontrolował swój iloraz inteligencji. A jeśli chodzi o te – jak pan mówi – skłonności ekshibicjonistyczne – strasznie trudno powiedzieć w życiu jedno słowo: przepraszam. Czy nie sądzi pan, że opinie o bardzo wielu programach w tym kraju kształtują ludzie, którzy chodzą wyłącznie na filmy tak przeintelektualizowane, że trzeba się napocić, by coś zrozumieć, na których się nie płacze ani nie śmieje. Ci ludzie wstydzą się prostych uczuć, w gruncie rzeczy mają w pogardzie ludzi prostych, niewykształconych, w których odżywają najprostsze instynkty, jak ten, że noszą w sobie kłamstwo, że bardzo chcieliby przeprosić i – to prawda – bardzo chcieliby pokazać się w telewizji. To jest ekshibicjonizm?

Właśnie, to jest sfera intymna, osobista i niekoniecznie nadaje się do tego, żeby epatować nią kilka milionów widzów.

Są różne potrzeby. Uważam, że niektóre opinie i oceny o tym programie pozostają w głębokiej sprzeczności z tym, co ludzie chcieliby oglądać. Są one często przejawem arogancji w stosunku do sporej części Polaków. Należy się liczyć z tym, co oni chcą oglądać. Uważają, że w ten sposób przeżywają coś istotnego dla nich. Nic nie oczyszcza tak jak szczere łzy. To jest może nie do zaakceptowania, ale to nie jest szkodliwe. Wszystko jest rzeczą gustu.

Ale z gustami bywa tak, że jeden lubi homary, a drugi kaszanke.

Wolałbym już takie określenie, że jeden lubi homary, a drugiemu wilgotnieją oczy, gdy patrzy na swoje podłe życie i zdecydował się o nim opowiedzieć pu-

blicznie. Dlaczego nie zauważa pan, ile ta stacja dobrego zrobiła? Za naszą sprawą pojawiła się konkurencja w informacji, reportaże publicystyczne jako materiał komercyjny. Za naszą sprawą pojawiło się czy odrodziło coś takiego jak artystyczna wartość scenografii, sposobu ubierania się ludzi, ich język. Czy widział pan reportera TVN w dżinsach, przepoconym podkoszulku, podchodzącego do premiera? Narzuciliśmy pewne standardy.

Skoro wspomnieli pan o informacji, co dla pana jest newsem?

Bardzo trudne pytanie, bo jednoznaczna definicja jest niemożliwa. Odpowiem tak: wszystko, co jest wydarzeniem ważnym lub niezwykle ciekawym, dającym naszemu widzowi dalszy ciąg wiedzy albo pierwszą informację o nim, albo opis zdarzenia, które jest ciekawą codziennością. Staramy się opisać to, co dzieje się w Polsce w danym dniu.

Fachowcy uważają, że trzy pierwsze informacje w głównych dziennikach różnych telewizji powinny być takie same lub zbliżone, a jeśli nie są, to ktoś popełnia błąd.

U nas często nie są, bo jeśli nie ma najwyższej rangi wydarzeń politycznych, a jednocześnie zdarzył się np. wypadek z autobusem wiozącym dzieci do Austrii na wakacje zimowe, to na pewno zaczniemy od tego drugiego. Wydaje się, że taka jest ciekawość widzów. Takie wydarzenia mają w sobie naturalną dramaturgię.

U was takie wiadomości jak ta albo podobne, np. że pies pogryzł dziecko, zawsze są na pierwszym miejscu, i co gorsze – przejmują to od was telewizja publiczna. Polska widziana w TVN jawi mi się jako kraj cholernie zaściankowy. Przypomina mi się dziennik telewizyjny w PRL, który zdominowany był przez tematy drugorzędne, ale swojskie, natrętnie sugerujące, że są ważne, bo prości ludzie nimi żyją i tego oczekują. Na świecie takie wiadomości są w lokalnych dziennikach.

W całości odrzucam te zarzuty. Ze wszystkich badań wynika, że widz polski zainteresowany jest tym, co dzieje się w jego kraju, w jego mieście, a najlepiej jak najbliżej jego ulicy. To już nie jest globalna wioska. Teza McLuhana już nie obowiązuje, powszechnie uważa się, że lokalność, koncentrowanie się na problemach własnego kraju, to jest jedna z głównych wartości informacyjnych dzienników telewizyjnych. A jeśli pan się z tym nie zgadza, to pańska sprawa. My to wiemy, bo mamy to zbadane, nie pracujemy na oślep.

Nasz widz, nasz pan?

Nie do końca. Nasz widz, nasz drogowskaz.



Nie narzucamy widzowi tego, co powinien oglądać. Musimy być wobec niego pokorni.

Kiedy startowaliście w 1997 r. robiliście to z przechwałkami, że będziecie najlepsi, że wasze gwiazdy pobiją gwiazdy TVP. I tak się stało. Proszę mi powiedzieć, czy Hubert Urbański, który bije wszelkie rekordy popularności i zbiera nagrody, nie jest taką gwiazdą? A Ewa Drzyżga i jej program „Rozmowy w toku”, Anna Maruszczko, a Marcin Wrona, a Edward Miszczak, a Tomek Sekielski – człowiek, który wejdzie do każdego gabinetu i nie będzie wyrzucony, Roman Młodkowski, nie mówiąc o Monice Olejnik czy Tomasz Lisie. **Gdy czytam wywiady z panem, to mogę się dowiedzieć, jakie garnitury pan nosi – szare, brązowe, granatowe, jakich koszul**

nie nosi – wzorzystych, jakich krawatów nie zakłada – pstrokatych, dowiaduję się też, że nie do twarzy panu w czapkach, że kolekcjonuje pan buty jak Imelda Marcos, że jeździ pan jaguarem itp., itd. Znacznie mniej natomiast dowiaduję się o tym, jaka jest pana wizja TVN, przyszłość mediów elektronicznych albo np. jakie są relacje między telewizjami komercyjnymi a telewizją państwową, o której powiedział pan, że: „Powinna się posunąć na ławce medialnej”. Co to znaczy?

Najpierw o butach. Odpowiadam na pytania stawiane przez dziennikarzy. Staram się być uprzejmy. W sprawie „ławki” – TVP jest monopolistą – trzy kanały

ogólnopolskie plus sieć, plus 12 ośrodków, ciągle apetyty na nowe ośrodki, nowe częstotliwości, a to dobro, jakimi są częstotliwości przyznawane przez Krajową Radę, jest ograniczone. Mówiąc o posunięciu się na ławce medialnej, myślę o tym, żeby dać konkurentom, np. takim jak TVN, szansę dotarcia do podobnej liczby widzów. Telewizja publiczna ma równoprawny dostęp do rynku reklam, żyje w dużej części z pieniędzy podatników, my tylko z tego, co zarobimy. Nie ma jasnej, klarownej, uczciwej sytuacji podziału rynku na telewizję publiczną i komercyjną, z takimi samymi prawami i obowiązkami. To jest ze szkodą także





Każdemu, kto mówi, że „Milionerzy” to głupi teleturniej, radzę, żeby skontrolował swój iloraz inteligencji.

dla telewizji publicznej. To nie jest uczciwa konkurencja.

Jaka jest przyszłość telewizji? Czy będzie tak – jak powiadają fachowcy – że w miejsce tradycyjnej telewizji wejdą przedsiębiorcy multimedialni z telefonią, Internetem i wszystko będzie oferowane w całościowym pakiecie propozycji, które można sprzedać jednym przewodem i odebrać na jednym telewizorze, zintegrowanym z ekranem komputera?

Tak jak kiedyś w bogatych domach były biblioteki, pokoje do nauki, tak z całą pewnością architekci będą projektować mieszkania, w których będzie pokój medialny i w którym na ekranie jednego wielkiego telewizora będzie można zobaczyć zarówno wszystkie programy dostępne na świecie, jak i przetłumaczyć sobie z automatycznego tłumacza na dowolny język, w którym film został wyprodukowany, zobaczyć, kto dzwoni w czasie filmu do naszych drzwi, czy też wejść na stronę Internetu, najlepiej Onetu, który ma całą stronę na temat słynnej sceny w filmie, który jest właśnie pokazywany itp., itd.

Czy TVN daleko do tej wizji?

W sensie fizycznym, czyli zaistnienia tego, daleko. Z mojej perspektywy, człowiek po sześćdziesiątce, to bardzo daleko. My już od paru lat staramy się kształtować cały holding medialny ITI tak, żeby był przystosowany do wszelkich form rozpowszechniania informacji.

A co nowego w najbliższym czasie?

Na przełomie maja i czerwca wejdzie nowy kanał informacyjny. Z pewną megalomanią mogę powiedzieć, że będzie to małe polskie CNN.

CNN ma poważne kłopoty.

My mamy ciągle kłopoty, które się zamieniają w sukcesy.

Od jak dawna specjalizuje się pan w zarabianiu pieniędzy?

Od dziecka. Już w Krakowie sprzątałem kościoły, pomagałem matce w szatni Starożytności, zarabiałem, nosząc kwiaty gwiazdom teatralnym, przenosiłem „zielone papierki” między Floriańską a Grodzką. Podczas studiów na Politechnice w Gliwicach zarabiałem, ucząc starsze panie gry w tenisa.

Przed chwilą odebrał pan telefon od jakiegoś ministra, który prosił o spotkanie. Czy nie ma pan ambicji politycznych?

Pewno bym miał, ale myślę, że tak długo pracowałem w tamtych latach, że – choć uważam, że mam czyste konto – powinienem zająć się wyłącznie tym, co dziś robię. Polityka musi być uprawiana przez ludzi z innej półki wiekowej. Ta mądrość, którą dało życie, doświadczenie jest dziś może potrzebne, ale jest też być może nazbyt konserwatywne. Dziś potrzebna jest bezkompromisowa odwaga myślenia o przyszłości. To domena młodych.

Uważa się pan za skrajnego konserwatyście. 35 lat z tą samą żoną, jeśli sztuka – to Grottger, Malczewski, Makowski, a literatura, film, muzyka?

Pamiętniki, Kapuściński, literatura faktu. Ostatni film, na którym byłem, to był „Gladiator”, ale moje ukochane kino, to pierwsze filmy oglądane w kinie „Sztuka” w Krakowie. Wspaniałe czarno-białe obrazy: „Mściwy jastrząb”, „Nasz okręt”. W muzyce nie lubię niczego, co jest Warszawską Jesienią. Uwielbiam Glenna Millera. Mogę przez 400 km słuchać w samochodzie „Księżycowej serenady” albo „Chattanooga Choo-choo”.

Uchodzi pan za arbitra elegancji. Jan Weichert, pana przyjaciel, powiada ponadto, że najważniejszą pana cechą jest: „wewnętrzne ciepło i ogromna opiekuńczość”. Czy można elegancko robić interesy, skoro obiegowa opinia głosi, że pierwszy milion trzeba ukraść.

Myślę, że my, czyli Jan Weichert, Bruno Valsangiacomo i ja, bardzo elegancko prowadzimy interesy. Mam szczęście, że stworzyliśmy trójkę, która przetrwała ze sobą kilkanaście lat, zaczynając od zera.

To zgoda jakiś dziwny tercet egzotyczny!

Brawo, świetna nazwa. Gdyby mnie pan spytał, co mnie najbardziej szczęśliwego spotkało w życiu, to obok spraw osobistych – małżeństwa, dzieci, właśnie to, że ta trójka się spotkała i jest razem. Cóż to za luksus, żeby móc zostawić stos papierów, weksli in blanco i mieć pewność, że nic złego nie może się zdarzyć.

Clint Eastwood, który jest starszy od pana o pięć lat, wyznał, że jedno piwo dziennie i jeden numer z dziewczyną to wszystko, co wytrzymuje jego serce. Ile wytrzymuje pana serce?

Piwa nie piję, a z drugiego wykipię się tak: mimo całej rozwiązłości mojej wyobraźni nigdy w tych sprawach nie byłem megalomanem, nie opowiadałem więcej, niż mogłem.

GDAŃSKIE WYDAWNICTWO PSYCHOLOGICZNE
proponuje:

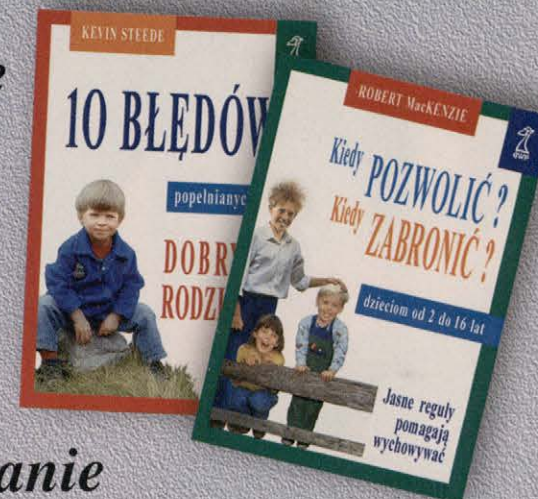
NOWE SERIE

INTERESUJĄCE TEMATY

ZNAKOMITE NAZWISKA



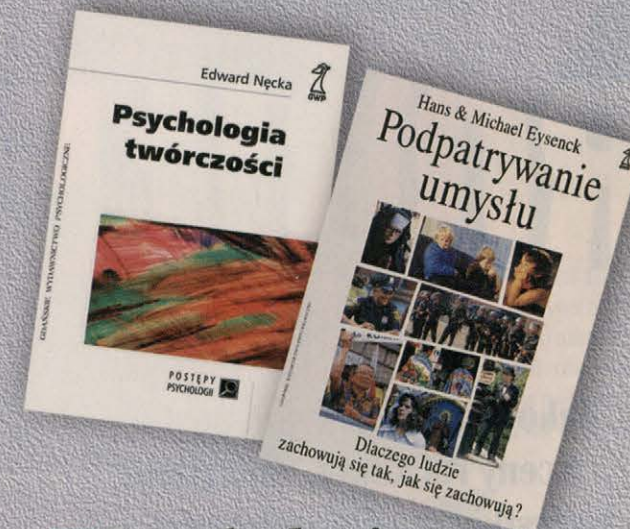
Wychowanie dzieci



NLP programowanie neurolingwistyczne



Prezentacje



Psychologia akademicka

Zamów książki u źródła! Z tym kuponem uzyskasz 15% rabatu:

„10 błędów popełnianych przez dobrych rodziców”	14.60	12.00 PLN	egz.
„Kiedy pozwolić? Kiedy zabronić? Jasne reguły pomagają wychowywać”	31.90	27.00 PLN	egz.
„Know How. Jak rozwiązać codzienne i niecodzienne problemy”	25.30	22.00 PLN	egz.
„Ku harmonii w miłości. Jak pogłębić to, co w życiu najpiękniejsze”	26.60	23.00 PLN	egz.
„Podpatrywanie umysłu. Dlaczego ludzie zachowują się tak, jak się zachowują”	34.60	29.00 PLN	egz.
„Przygoda z komunikacją. Bateson, Perls, Satir, Erickson. Początki NLP”	26.60	23.00 PLN	egz.
„Psychologia twórczości”	31.90	27.00 PLN	egz.
„Serce umysłu. Jak przezwyciężyć trudności, z którymi borykamy się na co dzień”	29.30	25.00 PLN	egz.
„W cztery oczy. Rozmowy z twórcami terapii rodzin. Haley, Erickson, Szasz, Minuchin, Maturana, Madanes, Satir”	26.60	23.00 PLN	egz.
„W niewoli uczuć. Jak wzbogacić własne życie emocjonalne”	26.60	23.00 PLN	egz.
„Z żab w księżniczki. Jak za pomocą słowa przeobrazić siebie i swoje życie”	24.00	20.00 PLN	egz.

*Wypełniony formularz wyślij na poniższy adres. Oferta ważna do 20 kwietnia 2001

81-753 Sopot, ul. Bema 4/1A, tel./fax: (0-58) 551-61-04, 551-11-01, e-mail: gwp@gwp.gda.pl, www.gwp.gda.pl



za matpe

KRZYSZTOF SKIBA

Jako kontrowersyjna postać sceny rockowej, zaliczyłem wszystkie możliwe widowiska typu talk show nadawane w polskich stacjach telewizyjnych i nie miałem najmniejszych oporów, aby pojawić się w tych programach, w których dobrze czuć się może tylko duchowy ekshibicjonista.

Uchodzę za faceta z niewyparzoną gębą, który w opinii producentów telewizyjnych zawsze powie coś na tyle śmiesznego i kontrowersyjnego, że warto to pokazać. Zasada w takich programach jest prosta jak stylisko od łopaty – można mówić wszystko, byleby zwało z nóg. Jeżeli powie się coś zbyt mocnego, to nie szkodzi. Żaden program nie idzie na żywo i wszystkie są montowane. Jeżeli gość programu jest nudny, wycina się dłużyzny (tak jest głównie, gdy gośćmi są jakieś serialowe ćwierćgwiazdy lub znane modelki, które lepiej wyglądają, niż mówią). Jeżeli gość programu jest zbyt ciekawy i wyszczekany, wycina mu się zbyt ostre powiedzonka (pewnej znane gwiazdki estrady wycięto wypowiedź o preferencjach seksualnych narzeczonej, która w łóżku uwielbia kajdanki i lanie po pysku).

Gospodarz talk show jest centralną postacią tego (cokolwiek by mówić) głupkowatego widowiska, które polega na robieniu ciekawego gadu-gadu. Każdy program tego typu nastawiony jest na kreowanie swojego „wywiadowcy”. To on jest gwiazdą i chlebodawcą dla pozostałych, którzy grają w jego orkiestrze.

Wampir zaprasza

W programie u Wojtka Jagielskiego pojawiłem się w czasach, gdy był jeszcze „wampirem” w RTL 7. W „Dwójce” Jagielski wyraźnie złagodniał i stał się bardziej elegancki i ugodzony. W RTL 7 był prawdziwym wampirem wysysającym krew ze swoich rozmówców. W Polskę poszła fama, że jest wreszcie pierwszy krajowy talk show, w którym facet, przeprowadzający wywiady, nie

ocięka wazeliną jak mistrzyni pudru Alicja Resich-Modlińska.

Zaproszenie do programu wygląda zwyczajowo tak: dzwonią producenci i namawiają. Do mnie wydzwaniały zawsze kobiety o miłych głoskach. Jak masz opory, to kuszą cię finansowo. Następnie dzwonią do twoich dalszych lub bliższych znajomych i proszą, aby ujawnili jakieś tajemnice czy świństwa na twój temat (np. że śpisz zawsze w różowych skarpetkach). Jednym słowem, wszelkimi sposobami szukają na swojego gościa haków. Jagielski ma to później wszystko w papierach i próbuje podczas rozmowy wykorzystać, zaskakując gościa posiadanymi informacjami.

Rozmowy nagrywa się taśmowo, by zaoszczędzić na studiu i kamerach. Re-kordzistą był Krzysztof Ibisz, który nagrywał po siedmiu gości dziennie. Jak sam mi wyznał, pod koniec dnia już nie miał pojęcia, z kim rozmawia i czy jest to kobieta, czy mężczyzna. U Jagielskiego byłem w dobrym towarzystwie. Przede mną nagrywała Maryla Rodowicz, a po mnie Krzysztof Zanussi. Oboje mocno przestraszeni.

Nim wlałem do studia, załapałem się na jakąś przerwę w nagrywaniu i dostałem służbowy obiad. Zupę ogórkową podawał mi Zanussi. Stwierdziłem, że szkoda, iż nikt nie zrobił mu zdjęcia, jak obsługuje Skibę. Zanussi zrewanżował się opowieścią o podobnym zdarzeniu, z tym że jemu na jakimś festiwalu filmowym talerz z kotletem podał Robert De Niro. Tuż przed nagraniem pociągnął mnie za rękaw producent programu Maciej Chmiel i powiedział, abym się nie przejmował atakami wampira, bo to jest taka formuła programu i żeby sam go mocno atakował. Talk show to po prostu typ programu, w którym zadaje się nieprzyjemne pytania. Po takim wstępie spodziewałem się wybuchu bomby atomowej.

Niestety, haki Jagielskiego okazały się łagodne i do żadnej superostrej wymiany zdań nie doszło. Wpadka pojawiła się w najmniej oczekiwanym momencie. Wojtek Jagielski w każdym programie ma dla swojego gościa jakąś niespodziankę – rekwiizyt. W moim wypadku była to zapalniczka i butelka z naftą kosmetyczną. Ponieważ w trakcie koncertów Big Cyca czasami „zieję” ogniem, miałem publicznie pokazać, jak to się robi.

Wszystko byłoby OK, gdyby dano mi zapaloną pochodnię. Dmuchanie naftą na



Wojciech Jagielski był kiedyś wampirem, a jego programy nie ociękały wazeliną.



Krzysztof Ibisz nagrywał po siedmiu gości dziennie. Pod koniec dnia nie miał pojęcia, z kim rozmawia.



W programie Mariusza Szczęgła wszystko jest jak u Orwella. Totalna manipulacja.

zapalniczkę z góry skazane było na klęskę. Wiedząc, że nie ma to najmniejszego sensu i że płomień z zapalniczki jest zbyt mały, aby zionąć niczym smok wawelski, podjąłem heroiczną próbę, która zakończyła się niepowodzeniem, czyli opluciem Jagielskiego naftą. „Zianie” polega na rozpraszaniu nafty ustami pod odpowiednim kątem. Opluta przeze mnie zapalniczka zgasała, a wampir poprosił obsługę o chusteczki.

Ciekawą pułapkę na Jagielskiego zastawiła Anna Dymna, która odmówiła udziału w programie, przeczuwając, że co drugie pytanie będzie dotyczyło jej bujnych piersi. Sama natomiast zaprosiła Jagielskiego na swój benefis telewizyjny do Krakowa. Tam w gronie krakowskich znajomych i przyjaciół Anny Dymnej Jagielski nie był już tak drapieżny, tym bardziej że barwny opis urody pierwszej damy Krakowa wygłosił do mikrofonu mocno podchmielony Kazimierz Kutz. To się nazywa wybieg.

Mariusz wciąż brzuch

Najbardziej sztuczny i oszukany twór, w jakim brałem udział, to „Na każdy temat” Mariusza Szczygła. Talk show Wojtka Jagielskiego nagrywany jest z publicznością i w konwencji „na żywo”, tzn. bez

raz byli zasłuchani, raz zadziwieni, parę razy uśmiechali się na kilka sposobów, klaskali, wiwatowali i gwizdali. Wszystkie te reakcje nagrano, a następnie wmontowywano w program.

Szczygieł był kiedyś niezłym reporterem. Jeszcze jako małolat pracujący kilkanaście lat temu w harcerskim „Na przełaj” przychodził na moje happeningi i robił reportaże. Byłem przekonany, że jest inteligentny i wygadany. Tymczasem podczas programu klepał językiem jak analfabeta i nie potrafił sensownie skleić po polsku dwóch zdań. Wszystkie pytania do mnie albo ja sam mu wymyślałem, albo czuwający nad wszystkim reżyser Orzechowski. O graniu bez przerw nie mogło być mowy. Prócz uwag merytorycznych reżyser często stopował kamerę i zwracał mu uwagę, aby wciągnął brzuch lub przesunął podbródek. Wszystko oczywiście po to, by jak najlepiej wypadł na ekranie. Było to tak śmieszne, że sądziłem, iż są to jakieś jaja, aby mnie zdezorientować.

Jak się jednak okazało, program Szczygła oglądają głównie panie w średnim wieku z głębokiej prowincji, a tam źle wciągnięty brzuch czy słabo oświetlony podbródek to rzeczy tak ważne jak lądowanie Balcerowicza na Księżycu. Mimo tych wszystkich zabiegów okazało się, że pro-

Do udziału w programie przekonały mnie dwa argumenty. Pierwszy taki, że nie tylko dewianci, bo była też Sophia Loren. A drugi, że dzięki temu programowi będę mógł ujawnić szczegóły związane z akcją „dupa”, o których nie raczyła napisać prasa. Zależało mi, aby ujawnić fakt, o którym nikt po happeningu nie napisał, czyli że akcję błada pupa poprzedziło głosowanie wśród publiczności. Głosowanie precyzyjnie określało, co mam premierowi pokazać i na pokazanie czego premier, zdaniem publiczności, sobie zasłużył. Nie moja wina, że publiczność uznała, że premier zasłużył na to, co musiałem mu pokazać. Szczygieł uczciwie całą wypowiedź dotyczącą tej kwestii w swoim talk show puścił.

Zmanipulowanie polegało na tym, iż po rozmowie dograł gwizdy przywiezionej do studia publiczności. Takimi metodami montażu, jaki stosuje się w „Na każdy temat”, można zrobić idiotę z każdego.

Ibisz przełyka ślinę

Krzysztof Ibisz miał ambicję prowadzenia najostrzejszego, najbardziej wścibskiego i złośliwego talk show w Polsce. Jagielski już smakował swą pozycję gwiazdora pieprzonych wywiadów, a Ibisz zaplanował przebić go w „Ibisekcji” do potęgi. Wszyscy podkreślali, że Ibisz naśladuje Jagielskiego i stara się być jeszcze dokuczliwszy niż wampir.

Diana International, gwiazda muzyki pop z Izraela, rozdrażniona pytaniami Ibisza wyszła w trakcie nagrywania rozmowy ze studia. Renata Przemyk, którą Ibisz rozpytywał jedynie o sprawy osobiste, zniesmaczona rozmową, zagroziła wytoczeniem procesu, gdyby doszło do emisji programu z jej udziałem. Te fakty zapowiadały niezłe spotkanie. „Ibisekcja” podobnie jak program Jagielskiego nagrywana była z udziałem prawdziwej publiczności. Samo nagranie leciało na tzw. sto procent, czyli bez zatrzymań i powtórek. Wcześniej spotkałem się z Ibiszem na kawie. Ujawnił, że dzisiaj ma spokojny dzień, bo oprócz mnie nagrywa tylko jakieś dwie aktorki i mistrzynię boksu kobiecego.

Gdy rozpoczęło się nagranie, Ibisz dowcipnie mnie zapowiedział, rozległy się brawa, a ja usiadłem na kanapce. Kanapka to, jak wiadomo, podstawowy rekwizyt w każdym szanującym się talk show. Prowadzący z uśmiechem zaczął bombardować mnie pytaniami. Spodziewałem się, że ówczesną gwiazdę

Gośćmi u Szczygła są na ogół jacyś dewianci. Facet, któremu wyrosła żarówka na czole. Osobnik, który uważa się za yeti i prowadzi dyskusje z własną lodówką.

przerw. Jagielski zwykle nagrywa więcej, niż potrzebuje, żeby mieć z czego wybierać. Nagrywanie z żywą publicznością w studiu jest o tyle cenne, że jej reakcje są prawdziwe, a uczestnicy programu bardziej naturalni.

U Szczygła wszystko jest jak u Orwella. Totalna manipulacja. W programie z moim udziałem publiczność dogrywało na końcu, już po przeprowadzonej rozmowie. W studiu mijałem się z grupą osób przywiezioną mikrobusem. Ludzie ci prawdopodobnie za pieniądze udawali publiczność, nie słuchając rozmowy ze mną. Co więcej, brali udział w „dyskusji” prowadzonej przez Mariusza Szczygła. Reżyser kazał grać im przed kamerą -

gram z moim udziałem miał największą oglądalność ze wszystkich dotychczasowych wydań. Zasługa nie tyle w mojej osobie, co w poruszonym temacie. A tematem był słynny happening z pokazaniem gołego tyłka premierowi dwa lata temu. Wówczas był to bardzo gorący temat.

Mariusza znam od dawna, ale oczywiście umówiliśmy się, że będzie mnie „atakował”, bo tego wymaga dramaturgia rozmowy. Początkowo w ogóle nie chciałem się zgodzić na udział w programie. Gośćmi u Szczygła są na ogół jacyś dewianci. Kobieta z penisem na plecach, facet, któremu wyrosła żarówka na czole, czy osobnik, który uważa się za yeti i prowadzi dyskusje z własną lodówką.



Prowadzący, orkiestra i kolejna ofiara...

TVN-u będzie interesował mój tyłek wypięty na premiera.

Opowiadałem więc barwnie całą historię, mocno gestykulując i dowcipkując. Gdy jednak padło dwudzieste pytanie związane z tym samym tematem, uznałem, że to przesada i że czas przejść do kontrataku. Zapytałem Ibisza, czy z nim wszystko w porządku i czy nie ma jakichś problemów w domu. Złośliwie zacząłem sugerować nawet, czy przypadkiem nie woli chłopców od dziewczynek, skoro tak mój tyłek go bardzo interesuje. Ibisz jest zwierzęciem telewizyjnym i wszystko sływa po nim jak po kaczce, ale w tym momencie zauważyłem, że nerwowo przełyka ślinę.

To była tylko chwila. W kilka sekund później odzyskał równowagę i wrócił szybko do swojego ulubionego tematu. Pobyt w „Ibisekcji” wspominał jednak mile. Ibisz, mimo że mnie mocno atakował, zachował się rzetelnie i uczciwie. Z całego programu wyciął tylko jedną moją wypowiedź, w której opowiadałem, że zespół Big Cyc często robi sobie z nie-

go żarty, mówiąc ze sceny, że jest naszym wielkim fanem i jeździ z nami na wszystkie koncerty, chowając się w bagażniku i oddając mocz do naszych wzmacniaczy gitarowych.

Majtki z golfem

Nie jest tajemnicą, że wszyscy uczestnicy talk show otrzymują pieniądze. Stawki (przynajmniej w moim przypadku) nie były oszałamiające i przypominały normalne stawki za dzień zdjęciowy czy za koncert.

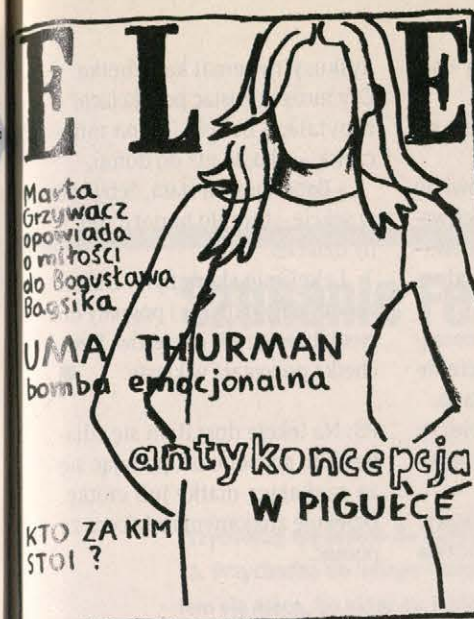
Oprócz opisanych programów brałem udział w całej masie pomniejszych lokalnych talk show nadawanych przez lokalne telewizje. Programem, w którym autor nie stosuje cenzury i powiedzieć można wszystko, jest „Wykrzyknik” Mariusza Puciły w Telewizji Gdańsk, jednak program, w którym zadano mi najbardziej zaskakujące pytanie, to młodzieżowo-dziecięcy talk show nadawany w Telewizji Wrocław.

Nigdzie tak się nie namęczyłem jak w programie, w którym pytania zadawały dzieci. Dzieciaki nie mają najmniejszych

zahaman i pytają o sprawy, o które dorosli krępowaliby się zapytać. Musiałem się niezłe gimnastykować, bo jak inteligentnie odpowiedzieć na pytanie zadane przez dziesięciolatka: „Czy pańska żona jest ładna?”. Albo: „Czy nosi pan majtki z golfem?”. Co to są majtki z golfem? Nie wiem do dziś. I prawdę mówiąc, to było jedyne pytanie, na które nie potrafiłem w telewizji sensownie odpowiedzieć.

Jako znany błazen sceny rockowej, rubaszna osobowość polskiej estrady wprost idealnie nadaje się do głupkowatych programów w stylu talk show. Wykorzystałem je do robienia sobie reklamy i zarabiania pieniędzy.

Jedyny talk show, do którego się nie nadawałem, to program Małgorzaty Domagalik „Zwierzenia intymne”. Pani Małgorzata szukała faceta, który ma złe układy z teściową i chętnie opowie o tym w telewizji. Ja należę do facetów, którzy mogą mówić dużo, wesoło i pieprznie, ale do samobójcy jeszcze mi daleko, a po za tym teściową mam cacy. ■



TEKST BOGNA BALICKA • RYSUNKI MARCIN MACIEJOWSKI

Szóstki za diabła

„NIEBO BYĆ MOŻE, PIEKŁO BYĆ MUSI”

z poematu Roberta Browninga

czyli szatan w szkolnej ławce

Co współczesne dzieci wiedzą o diable? – postanowiłam sprawdzić na lekcjach religii w kilku piątych i szóstych klasach szkoły podstawowej. Inwencja uczniów i katechetki zaskoczyła mnie. Przytaczam tylko oryginalne wypowiedzi.

Wizyta pierwsza:

Diabeł to odwieczny wróg Boga; Bóg go stracił do piekieł, bo mu się sprzeciwił. Stamtąd stara się sprowadzić każdego człowieka na złe drogi – zaczęła katechetka. W klasie cisza. – Wystawia nas na liczne pokusy – kontynuowała. – Najgorszy z diabłów to szatan. Inne demony mu służą. Nazywają się: Mamona,

Pycha, Lenistwo, Taniec, Gry i Piwo.

– A gdzie diabeł ma wypisanę trzy szóstki? – padło pytanie.

– Lepiej będzie dla ciebie, jeśli przestaniesz oglądać złe filmy – ostro odpowiada katechetka.

– Ile jest diabłów? – zainteresował się inny z uczniów.

– Jest ich legion – pada szybka odpowiedź.

– To znaczy ile? – dziecko było dociekliwe.

– Dużo! Mogą być piękne ciałem, ale w duszy zawsze ohydne. Lubią kolor czerwony i zapach siarki. Mogą wejść w wasze dusze jak muchy...

– A u Makuszyńskiego diabełek był dobry – cichy głos prze-rwał wywód katechetki. – To

kompletne wymysły – odparowała. – Ale Makuszyński to nasza lektura – broniło się dziecko.

– Nie Bóg układał spis lektur. Znow zapadła cisza.

– A różne inne duszki z filmów i książek? – drażyły temat dzieci.

– To też bzdura! To wymyślone głupoty, one w rzeczywistości nie istnieją – brzmiała twarda odpowiedź katechetki.

– Ale diabła też nie widzieliśmy – wyrwał się ktoś odważniejszy.

– Jak zobaczysz, to już po tobie – ostrzegła katechetka. – W niektórych z was są już małe diabełki... – nie dokończyła zdania.

– Gdzie szatan mieszka? – zainteresowała się dziewczynka w seksownym body.

– W piekle.

– A gdzie jest piekło?

– Tego nikt nie wie – tu katechetka skorzystała z okazji, aby sprytnie zakończyć lekcję: – Nie szukajcie wiedzy o diablach i piekle, bo możecie je sprowadzić do swojego domu. Katolik powinien być gorliwy, a nie ciekawy. Gorliwość to umiar i trzymanie się prawdy. Ciekawość to próżność i duma, która zawsze przynosi kłopoty.

– Dłaczego?

– Diabeł nie ma żony. Nie ma sakramentu małżeństwa, więc nie może mieć normalnych dzieci.

– A moi rodzice też nie wzięli ślubu... – zaczął wyrażać wątpliwości jeden z chłopców.

– To nie jest temat tej lekcji – zmiotygowała się kobieta.

– Tata mówi, że „gadanie o ślubie ryje mu psychę” – próbowało się tłumaczyć „nieślubne” dziecko.

– Czasem jak węże, które skusiły Ewę w raju. Czasem jak wielkie robaki. Mówi się też o nich „czarni ludzie”.

Wizyta druga:

– Jak wyglądają diabły? – to szczególnie wzbudziło ciekawość uczniów.

– Jak się wyglądam, to mama mnie straszy Czarnym Ludem – wtrącił drobny blondynek.

– No widzisz? – kontynuowała katechetka. – Diabeł też może wyglądać jak małpa, bo małpuje Pana Boga.

Przerwał jej śmiech, bo któryś z chłopców zaczął udawać małpę. – A my Piotrką nazywamy Monkey, bo ma odstające uszy – dodał ktoś ze śmiechem.

– A skąd się diabły biorą? – przywróciła porządek dziewczynka z pierwszej ławki.

– Z piekła.

– Ale mi chodzi o małe diabełki, jak one się rodzą?

– Diabły nie mają dzieci – tłumaczyła katechetka.

– Dłaczego?

– Diabeł nie ma żony. Nie ma sakramentu małżeństwa, więc nie może mieć normalnych dzieci.

– A moi rodzice też nie wzięli ślubu... – zaczął wyrażać wątpliwości jeden z chłopców.

– To nie jest temat tej lekcji – zmiotygowała się kobieta.

– Tata mówi, że „gadanie o ślubie ryje mu psychę” – próbowało się tłumaczyć „nieślubne” dziecko.

– Czasem jak węże, które skusiły Ewę w raju. Czasem jak wielkie robaki. Mówi się też o nich „czarni ludzie”.

– Jak się wyglądam, to mama mnie straszy Czarnym Ludem – wtrącił drobny blondynek.

– No widzisz? – kontynuowała katechetka. – Diabeł też może wyglądać jak małpa, bo małpuje Pana Boga.

Przerwał jej śmiech, bo któryś z chłopców zaczął udawać małpę. – A my Piotrką nazywamy Monkey, bo ma odstające uszy – dodał ktoś ze śmiechem.

– A skąd się diabły biorą? – przywróciła porządek dziewczynka z pierwszej ławki.

– Z piekła.

– Ale mi chodzi o małe diabełki, jak one się rodzą?

– Diabły nie mają dzieci – tłumaczyła katechetka.

– Dłaczego?

– Diabeł nie ma żony. Nie ma sakramentu małżeństwa, więc nie może mieć normalnych dzieci.

– A moi rodzice też nie wzięli ślubu... – zaczął wyrażać wątpliwości jeden z chłopców.

– To nie jest temat tej lekcji – zmiotygowała się kobieta.

– Tata mówi, że „gadanie o ślubie ryje mu psychę” – próbowało się tłumaczyć „nieślubne” dziecko.

– Czasem jak węże, które skusiły Ewę w raju. Czasem jak wielkie robaki. Mówi się też o nich „czarni ludzie”.

– Jak się wyglądam, to mama mnie straszy Czarnym Ludem – wtrącił drobny blondynek.

– No widzisz? – kontynuowała katechetka. – Diabeł też może wyglądać jak małpa, bo małpuje Pana Boga.

Przerwał jej śmiech, bo któryś z chłopców zaczął udawać małpę. – A my Piotrką nazywamy Monkey, bo ma odstające uszy – dodał ktoś ze śmiechem.

– A skąd się diabły biorą? – przywróciła porządek dziewczynka z pierwszej ławki.

– Z piekła.

– Ale mi chodzi o małe diabełki, jak one się rodzą?

– Diabły nie mają dzieci – tłumaczyła katechetka.

– Dłaczego?

– Diabeł nie ma żony. Nie ma sakramentu małżeństwa, więc nie może mieć normalnych dzieci.

– A moi rodzice też nie wzięli ślubu... – zaczął wyrażać wątpliwości jeden z chłopców.

– To nie jest temat tej lekcji – zmiotygowała się kobieta.

– Tata mówi, że „gadanie o ślubie ryje mu psychę” – próbowało się tłumaczyć „nieślubne” dziecko.

– Czasem jak węże, które skusiły Ewę w raju. Czasem jak wielkie robaki. Mówi się też o nich „czarni ludzie”.

– Jak się wyglądam, to mama mnie straszy Czarnym Ludem – wtrącił drobny blondynek.

– No widzisz? – kontynuowała katechetka. – Diabeł też może wyglądać jak małpa, bo małpuje Pana Boga.

Przerwał jej śmiech, bo któryś z chłopców zaczął udawać małpę. – A my Piotrką nazywamy Monkey, bo ma odstające uszy – dodał ktoś ze śmiechem.

– A skąd się diabły biorą? – przywróciła porządek dziewczynka z pierwszej ławki.

– Z piekła.

– Ale mi chodzi o małe diabełki, jak one się rodzą?

– Diabły nie mają dzieci – tłumaczyła katechetka.

– Dłaczego?

– Diabeł nie ma żony. Nie ma sakramentu małżeństwa, więc nie może mieć normalnych dzieci.

– A moi rodzice też nie wzięli ślubu... – zaczął wyrażać wątpliwości jeden z chłopców.

– To nie jest temat tej lekcji – zmiotygowała się kobieta.

– Tata mówi, że „gadanie o ślubie ryje mu psychę” – próbowało się tłumaczyć „nieślubne” dziecko.

– Czasem jak węże, które skusiły Ewę w raju. Czasem jak wielkie robaki. Mówi się też o nich „czarni ludzie”.

– Jak się wyglądam, to mama mnie straszy Czarnym Ludem – wtrącił drobny blondynek.

– No widzisz? – kontynuowała katechetka. – Diabeł też może wyglądać jak małpa, bo małpuje Pana Boga.

Przerwał jej śmiech, bo któryś z chłopców zaczął udawać małpę. – A my Piotrką nazywamy Monkey, bo ma odstające uszy – dodał ktoś ze śmiechem.

– A skąd się diabły biorą? – przywróciła porządek dziewczynka z pierwszej ławki.

– Z piekła.

– Ale mi chodzi o małe diabełki, jak one się rodzą?

– Diabły nie mają dzieci – tłumaczyła katechetka.

– Dłaczego?

– Diabeł nie ma żony. Nie ma sakramentu małżeństwa, więc nie może mieć normalnych dzieci.

– A moi rodzice też nie wzięli ślubu... – zaczął wyrażać wątpliwości jeden z chłopców.

– To nie jest temat tej lekcji – zmiotygowała się kobieta.

– Tata mówi, że „gadanie o ślubie ryje mu psychę” – próbowało się tłumaczyć „nieślubne” dziecko.

– Czasem jak węże, które skusiły Ewę w raju. Czasem jak wielkie robaki. Mówi się też o nich „czarni ludzie”.

– Jak się wyglądam, to mama mnie straszy Czarnym Ludem – wtrącił drobny blondynek.

– No widzisz? – kontynuowała katechetka. – Diabeł też może wyglądać jak małpa, bo małpuje Pana Boga.

Przerwał jej śmiech, bo któryś z chłopców zaczął udawać małpę. – A my Piotrką nazywamy Monkey, bo ma odstające uszy – dodał ktoś ze śmiechem.

– A skąd się diabły biorą? – przywróciła porządek dziewczynka z pierwszej ławki.

– Z piekła.

– Ale mi chodzi o małe diabełki, jak one się rodzą?

– Diabły nie mają dzieci – tłumaczyła katechetka.

– Dłaczego?

– Diabeł nie ma żony. Nie ma sakramentu małżeństwa, więc nie może mieć normalnych dzieci.

– A moi rodzice też nie wzięli ślubu... – zaczął wyrażać wątpliwości jeden z chłopców.

– To nie jest temat tej lekcji – zmiotygowała się kobieta.

– Tata mówi, że „gadanie o ślubie ryje mu psychę” – próbowało się tłumaczyć „nieślubne” dziecko.

– Czasem jak węże, które skusiły Ewę w raju. Czasem jak wielkie robaki. Mówi się też o nich „czarni ludzie”.

– Jak się wyglądam, to mama mnie straszy Czarnym Ludem – wtrącił drobny blondynek.

– No widzisz? – kontynuowała katechetka. – Diabeł też może wyglądać jak małpa, bo małpuje Pana Boga.

Przerwał jej śmiech, bo któryś z chłopców zaczął udawać małpę. – A my Piotrką nazywamy Monkey, bo ma odstające uszy – dodał ktoś ze śmiechem.

– A skąd się diabły biorą? – przywróciła porządek dziewczynka z pierwszej ławki.

– Z piekła.

– Ale mi chodzi o małe diabełki, jak one się rodzą?

– Diabły nie mają dzieci – tłumaczyła katechetka.

– Dłaczego?

– Diabeł nie ma żony. Nie ma sakramentu małżeństwa, więc nie może mieć normalnych dzieci.

– A moi rodzice też nie wzięli ślubu... – zaczął wyrażać wątpliwości jeden z chłopców.

– To nie jest temat tej lekcji – zmiotygowała się kobieta.

– Tata mówi, że „gadanie o ślubie ryje mu psychę” – próbowało się tłumaczyć „nieślubne” dziecko.

– Czasem jak węże, które skusiły Ewę w raju. Czasem jak wielkie robaki. Mówi się też o nich „czarni ludzie”.

– Jak się wyglądam, to mama mnie straszy Czarnym Ludem – wtrącił drobny blondynek.

– No widzisz? – kontynuowała katechetka. – Diabeł też może wyglądać jak małpa, bo małpuje Pana Boga.

Przerwał jej śmiech, bo któryś z chłopców zaczął udawać małpę. – A my Piotrką nazywamy Monkey, bo ma odstające uszy – dodał ktoś ze śmiechem.

– A skąd się diabły biorą? – przywróciła porządek dziewczynka z pierwszej ławki.

– Z piekła.

– Ale mi chodzi o małe diabełki, jak one się rodzą?

– Diabły nie mają dzieci – tłumaczyła katechetka.

– Dłaczego?

– Diabeł nie ma żony. Nie ma sakramentu małżeństwa, więc nie może mieć normalnych dzieci.

– A moi rodzice też nie wzięli ślubu... – zaczął wyrażać wątpliwości jeden z chłopców.

– To nie jest temat tej lekcji – zmiotygowała się kobieta.

– Tata mówi, że „gadanie o ślubie ryje mu psychę” – próbowało się tłumaczyć „nieślubne” dziecko.

– Czasem jak węże, które skusiły Ewę w raju. Czasem jak wielkie robaki. Mówi się też o nich „czarni ludzie”.

– Jak się wyglądam, to mama mnie straszy Czarnym Ludem – wtrącił drobny blondynek.

– No widzisz? – kontynuowała katechetka. – Diabeł też może wyglądać jak małpa, bo małpuje Pana Boga.

Przerwał jej śmiech, bo któryś z chłopców zaczął udawać małpę. – A my Piotrką nazywamy Monkey, bo ma odstające uszy – dodał ktoś ze śmiechem.

– A skąd się diabły biorą? – przywróciła porządek dziewczynka z pierwszej ławki.

– Z piekła.

– Ale mi chodzi o małe diabełki, jak one się rodzą?

– Diabły nie mają dzieci – tłumaczyła katechetka.

– Dłaczego?

– Diabeł nie ma żony. Nie ma sakramentu małżeństwa, więc nie może mieć normalnych dzieci.

– A moi rodzice też nie wzięli ślubu... – zaczął wyrażać wątpliwości jeden z chłopców.

– To nie jest temat tej lekcji – zmiotygowała się kobieta.

– Tata mówi, że „gadanie o ślubie ryje mu psychę” – próbowało się tłumaczyć „nieślubne” dziecko.

– Czasem jak węże, które skusiły Ewę w raju. Czasem jak wielkie robaki. Mówi się też o nich „czarni ludzie”.

– Jak się wyglądam, to mama mnie straszy Czarnym Ludem – wtrącił drobny blondynek.

– No widzisz? – kontynuowała katechetka. – Diabeł też może wyglądać jak małpa, bo małpuje Pana Boga.

Przerwał jej śmiech, bo któryś z chłopców zaczął udawać małpę. – A my Piotrką nazywamy Monkey, bo ma odstające uszy – dodał ktoś ze śmiechem.

– A skąd się diabły biorą? – przywróciła porządek dziewczynka z pierwszej ławki.

– Z piekła.

– Ale mi chodzi o małe diabełki, jak one się rodzą?

– Diabły nie mają dzieci – tłumaczyła katechetka.

– Dłaczego?

– Diabeł nie ma żony. Nie ma sakramentu małżeństwa, więc nie może mieć normalnych dzieci.

– A moi rodzice też nie wzięli ślubu... – zaczął wyrażać wątpliwości jeden z chłopców.

– To nie jest temat tej lekcji – zmiotygowała się kobieta.

– Tata mówi, że „gadanie o ślubie ryje mu psychę” – próbowało się tłumaczyć „nieślubne” dziecko.

– Czasem jak węże, które skusiły Ewę w raju. Czasem jak wielkie robaki. Mówi się też o nich „czarni ludzie”.

– Jak się wyglądam, to mama mnie straszy Czarnym Ludem – wtrącił drobny blondynek.

– No widzisz? – kontynuowała katechetka. – Diabeł też może wyglądać jak małpa, bo małpuje Pana Boga.

Przerwał jej śmiech, bo któryś z chłopców zaczął udawać małpę. – A my Piotrką nazywamy Monkey, bo ma odstające uszy – dodał ktoś ze śmiechem.

– A skąd się diabły biorą? – przywróciła porządek dziewczynka z pierwszej ławki.

– Z piekła.

– Ale mi chodzi o małe diabełki, jak one się rodzą?

– Diabły nie mają dzieci – tłumaczyła katechetka.

– Dłaczego?

– Diabeł nie ma żony. Nie ma sakramentu małżeństwa, więc nie może mieć normalnych dzieci.

– A moi rodzice też nie wzięli ślubu... – zaczął wyrażać wątpliwości jeden z chłopców.

– To nie jest temat tej lekcji – zmiotygowała się kobieta.

– Tata mówi, że „gadanie o ślubie ryje mu psychę” – próbowało się tłumaczyć „nieślubne” dziecko.

– Czasem jak węże, które skusiły Ewę w raju. Czasem jak wielkie robaki. Mówi się też o nich „czarni ludzie”.

– Jak się wyglądam, to mama mnie straszy Czarnym Ludem – wtrącił drobny blondynek.

– No widzisz? – kontynuowała katechetka. – Diabeł też może wyglądać jak małpa, bo małpuje Pana Boga.

Przerwał jej śmiech, bo któryś z chłopców zaczął udawać małpę. – A my Piotrką nazywamy Monkey, bo ma odstające uszy – dodał ktoś ze śmiechem.

– A skąd się diabły biorą? – przywróciła porządek dziewczynka z pierwszej ławki.

– Z piekła.

– Ale mi chodzi o małe diabełki, jak one się rodzą?

– Diabły nie mają dzieci – tłumaczyła katechetka.

– Dłaczego?

– Diabeł nie ma żony. Nie ma sakramentu małżeństwa, więc nie może mieć normalnych dzieci.

– A moi rodzice też nie wzięli ślubu... – zaczął wyrażać wątpliwości jeden z chłopców.

– To nie jest temat tej lekcji – zmiotygowała się kobieta.

– Tata mówi, że „gadanie o ślubie ryje mu psychę” – próbowało się tłumaczyć „nieślubne” dziecko.

– Czas

rozmowa z jednym z chłopców, czekających na lekcję o diable. Oto, co mi opowiedział.

– Latem dostałem grę komputerową z domem diabłów, aniołów i archaniołów. Zapytałem pani, co to są archanioły? Powiedziała mi, że będziemy o tym mówić w październiku. W październiku nie mówiliśmy, więc przypomniałem pani. Obiecała, że opowie o nich jutro. I nic z tego, opowiedziała tylko o aniołach. To było nudne i pół klasy poszło do domu. O archaniołach opowiedział mi dopiero dziadek. To też było nudne.

Lekcja o diablach nie zapowiadała się nudnie, więc została cała klasa.

– Diabeł namawia nas do grzechu – tłumaczyła obrazowo katechetka. – A grzech to na przykład nieczczenie Dnia Pańskiego. Dzień Pański to niedziela i nie powinno się wtedy pracować. Nie wolno handlować w sklepach...

– Ale wtedy mamy dużo czasu na zakupy – wtrąciło się dziecko.

– Nie wolno poddawać się pokusom... – zaczęła pani.

– A mój tata kupił mamie na Boże Narodzenie perfumy „Pokusa” – pochwaliła się rezolutna

uczennica. – O, tak pachną – odchyliła sweter przy szyi.

Po chwili katechetce udało się powrócić do tematu diabła.

– A mój tata czasem mówi do mamy: „idź do diabła” – pochwalił się wiedzą jeden z chłopców. – A babcia mu na to zawsze odpowiada: „czyli nigdzie”.

– Twoja babcia jest niewierząca i nie powinna być dla ciebie przykładem – katechetka na to.

– Nieprawda! Babcia wierzy w Boga, bo jest świadkiem Jehowy – zaoponowało dziecko.

– O sektach będziemy mówić w starszych klasach – zakończyła

dyskusyjny temat katechetka. – Czy możesz zostać po lekcjach? – zapytała. – Babcia już na mnie czeka. – Aha, to idź do domu.

– Babcia jest za stara, żeby być w sekcie – broniło honoru rodziny dziecko.

Lekcja się skończyła. Dzieci zapomniały o diable i pognały do gier i dziecięcych interesów. Katechetka pozostała w klasie.

PS: Na lekcje dostałam się „diabelskim sposobem”: podając się za czekającą matkę lub ciotkę. Dziękuję znajomym rodzicom za pomoc.

SZATAN natchnął Floydów



A TU, NIBY ELEGANCKI
NA OKŁADCE – A W ŚRODKU
MÓWI ŻE WCIĄŻ SŁUCHA
THE DOORS.

Metalika, AC/DC, Aerosmith, a także Rolling Stones, Pink Floyd i The Doors to grupy, których słuchać nie należy. Dlaczego? Bo ich muzyka to dzieło szatana. Tak przynajmniej uważa pani katechetka z Nowego Sącza. Najbardziej narażone na szatańskie moce są dzieci i młodzież. Pani katechetka przestrzega więc szóstoklasistów na lekcjach religii: „słuchając takiej muzyki, a także tańcząc i skacząc przy niej, wielbicie szatana”.

Katechetka, by poprzeć swoje wywody, pokazała dzieciom listę zakazanych zespołów, którą – jak mówi – otrzymała podczas wykładów przy kole Radia Maryja.

Lista była bardzo długa, jednak dzieci nie potrafiły spamiętać nazw wszystkich zespołów. Katechetka wyjaśniła także, dlaczego te, a nie inne grupy znalazły się na cenzurowanym. Wątpliwości budzą nie tylko teksty piosenek, ale też wygląd wykonawców i ich życie prywatne. Dziennikarzom, którzy zainteresowali się sprawą, nauczycielka nie chciała udostępnić listy.

Najwięcej emocji wśród uczniów wywołało umieszczenie na szatańskiej liście zespołów Pink Floyd i The Doors.

– My w domu słuchamy tych zespołów. To znaczy, że wielbimy szatana? – dociekały dzieci. Niektórzy rodzice są wręcz oburzeni. – To jest robienie dzieciom wody z mózgu.

O liście zakazanych zespołów wiadomo nie od dziś. Kilka miesięcy temu podobna lista pojawiła się na lekcjach religii w jednej ze szkół w Gdańsku. O wykonawcach, którzy tworzą za namową szatana, mogły też posłuchać dzieci w tarnowskiej podstawówce. Zadzwoniliśmy do toruńskiego Radia Maryja z pytaniem, czy możemy taką listę otrzymać. Siostra Julianna zapewniła nas, że rozgłoszenia nie ma nic wspólnego z tworzeniem i rozpowszechnianiem podobnych list.

Zdaniem jednego z naszych rozmówców, pracującego w połowie lat 90. w katolickiej rozgłoszeniowej konkurencyjnej dla Radia Maryja, sprawa „satanistycznych zespołów” powraca co jakiś czas. – Coś takiego jak lista nie istnieje. Informacje te rozchodzą się pocztą pantoflową na spotkaniach kół Radia Maryja. Pamiętam, że na jednym z takich spotkań zarzucono naszemu radiu, że puszczamy satanistyczną muzykę – chodziło o zespół Queen.

(BP, WC)

Szukanie Feliksów



Przychodzę niedawno do teatru, siadam – a obok Magda Zawadzka. Przychodzę do innego – scenę zasłania mi Pietraszak... Zdziwiłem się nieco, bo aktor na widowni nieczęsto się zdarza, ale uspokoił mnie wyznaniem, że nie przyszli, Boże broń, dla przyjemności, tylko z obowiązku: są jurorami wyszukującymi kandydatów do tzw. Feliksów. Dorocznych nagród za najlepsze role, przyznawanych przez Fundację Feliksa Łaskiego, czyli Felka...

Felka poznałem w Londynie, przy szklaneczce whisky, łososiu z rusztu i dobrej kawie. Gdy przyjeżdżało się na występy do londyńskiej Polonii, wiadomo było, że jeszcze samolot nie wylądował na lotnisku w Heathrow, a już Feliks Łaski kazał nakrywać stół w polskim ośrodku, by powitać zespół. Nie tylko, by powitać, ale głównie po to, by dowiedzieć się, co słychać w Warszawie, a zwłaszcza w jej teatrach. Jak Holoubek zagrał „Garderobianego”, z kim teraz jest Kowalewski, dlaczego Zapasiewicz przeszedł na inną scenę?... Wszystkich znał, z wszystkimi był zaprzyjaźniony, wszystkiemu był ciekaw, choć zawsze powtarzał, że on sam z przyjazdem do Warszawy to jeszcze poczeka.

Wojenny los przerzucił Felka przed sześćdziesięcioma laty z Warszawy do Londynu i tam już ulokował na stałe. Wtedy, przed półwiekiem, Feliks Łaski znał się bodaj tylko na jednym: na dodatkach krawieckich, ale znał się na nich tak dobrze, iż dorobił się dzięki nim sporej fortuny. Do Polski nie wrócił, do komuny nie chciał, a potem obawiał się już być może konfrontacji wspomnień z tym, co zobaczy, bał się, że nie odnajdzie swej dawnej Warszawy, przez wiele lat wystarczały mu tylko odpryski naszego życia kulturalnego w postaci imprez teatralnych czy estradowych, jakie docierały z Warszawy do Londynu. Felek uwielbiał te kontakty, był od lat zakochany w polskim teatrze, co dowodzi niezłomnie, że miłość może być ślepa, w zasadzie bowiem najważniejszych spektakli tego teatru w ogóle przecież nie oglądał (złośliwcy twierdzą zresztą, iż właśnie dlatego ten teatr tak kocha, że nie widzi, co się na jego scenach wyprawia...).

Błyskotliwy, obdarzony ogromnym poczuciem humoru, ma też Feliks słabość do ładnych dziewcząt (któż jej nie ma!) i lubi młode za-

praszać w Londynie na kameralne obiady do świetnych restauracji. Że jednak zawsze troszczy się o nienaganne, przedwojenne formy, zabiera wtedy także parę przyzwoitek, dzięki czemu i ja nieraz się na te spotkania załapałem. Tematem owych obiadów bywały często nie tylko środowiskowe plotki i anegdoty; aktorzy, jak to aktorzy, narzekali na przykład, że w teatrach trudno dziś wiązać koniec z końcem, a te aluzje pojął i sypnął funtami już nie tylko na polskie występy w Anglii, co czynił od zawsze, ale zaczął wspoma-

gać dotacjami również teatry w Warszawie, choć nigdy w nich nie bywał. Wybrał trzy: Ateneum, Powszechny i Współczesny, i wspiera je sumą pomagającą przygotowywać każdej z tych scen przynajmniej jedną premierę w sezonie.

Wkrótce jednak i to uznał za mało satysfakcjonujące i bodaj przed dwoma laty zdecydował fundować także doroczne nagrody za najlepsze role, najlepszą reżyserię i najlepszy spektakl warszawskiego sezonu. Pamiętam nawet, jak kielkował u niego ten pomysł i jak zwierzał się nam z niego w Londynie podczas sympatycznego obiadku z Kasią Skrzynecką.

Zasady przyznawania Feliksów są jednoznaczne: decyduje o nich środowisko – po prostu każdy teatr deleguje do jury swego przedstawiciela i przedstawiciela ma

bodaj także warszawski ZASP. A jesienią, gdy przemienie, na uroczystym bankiecie ogłasza się zwycięzców i wreszcie nagrody; wtedy też przyjeżdża z Londynu Feliks Łaski. Wreszcie, ponad pół wieku, miłość do teatru przezwyciężyła opory i Felek zdecydował się odwiedzać miasto swej młodości...

Nie znam drugiego człowieka, który tak nasz teatr bezinteresownie pokochał, odnalazł w nim sens życia. Bo przecież nie idzie nawet o to, że daje temu teatrowi swój majątek, lecz o to, że oddał mu – wybaczenie ten górnolotny zwrot! – swoje serce.

Felku, trzymaj się zatem i dalej rób swoje! Oby tylko Twoi jurorzy doszukali się w spektaklach tego sezonu czegoś, co rzeczywiście na Twoje nagrody zasługuje...

LUCJAN KYDRYŃSKI

Powrót Asterixa

Jest rok 50 przed naszą erą, Rzymianie zajęli już całą Galię. Tylko jedno miasteczko, zamieszkane przez niezwykłych Galów, stawia opór najeźdźcy. Ci właśnie Galowie, a ściślej mówiąc Bretończycy z Armoryki, wybierają się do Condate, które dwa wieki później przekształci się w Rennes. Po co? Bo tam właśnie rozgrywa się akcja przyszłego, 31. już albumu „Asterixa”. Z tego powodu Albert Uderzo, autor komiksu, wybrał to miasto dla promocji swojego nowego albumu, przygotowanego po pięciu latach przerwy.

„Asterix” pojawia się po francusku 14 marca równocześnie w księgarniach Francji, Belgii i Szwajcarii, w 3-milionowym nakładzie. Dalsze 5 milionów egzemplarzy to tłumaczenia, bo w tym samym dniu komiks ukazuje się również między innymi w Niemczech, Hiszpanii, we Włoszech, Wielkiej Brytanii i w Polsce. „Skoro promocja »Antologii« Beatlesów odbyła się jednocześnie w całej Europie, to »Asterix« też na to zasługuje” – argumentuje Uderzo. Przypomnijmy, że pierwszy album „Asterixa” rozszedł się w 6

tyśiącach egzemplarzy. Od tego czasu podbił czytelników na całym świecie. Rennes żyje rytmem wyznaczonym przez bohaterów wymyślonych w 1959 roku przez scenarzystę polskiego pochodzenia, René Goscinny (Francuzi wymawiają „gosini”), i rysownika pochodzenia włoskiego, Alberta Uderzo. Na placu mero-

Rennes zostało opanowane przez Rzymian

steczko galijskie, które w pierwszą noc zostaje opanowane przez Rzymian i przekształcone w obozowisko. Sam Uderzo przyjmowany jest jak cesarz rzymski, z honorami i pompą. To autor francuski najlepiej sprzedający się na świecie – do tej pory w 300 milionach egzemplarzy, przetłumaczonych na 107 języków i dialektów.

Dziennikarze chcą znać jak najwięcej szczegółów o nowym komiksie. Dowiemy się tylko, że jest zatytułowany „Asterix i Latraviata”; to drugie imię zainspirowała setna rocznica śmierci Verdiego i bohaterka jego opery. Czy Asterix się ożeni? Nie wiadomo, bo treść przyszłego komiksu, tak jak składniki magicznego napoju, dzięki któremu Galowie są niepokonani, otoczona jest ścisłą tajemnicą. „Ten album to dla mnie nowe wyzwanie. Może trudno wam w to uwierzyć, ale mam ogromną tremę” – wyznaje 73-letni rysownik z ponadpółwiecznym stażem. To jego siódmy solowy album, od czasów nagłej śmierci – w 1977 roku – Gosciniego, genialnego scenarzysty i przyjaciela. Choć Uderzo jest teraz jedynym autorem komiksu, na okładce nadal figurują nazwiska nierozłącznego tandemu.

MARTA TOBIASZ-JOUHIER



FOT. EPAPORUM

Koreańskie bliźniaki – przywódcy Armii Boga i cherubinki Rafaela

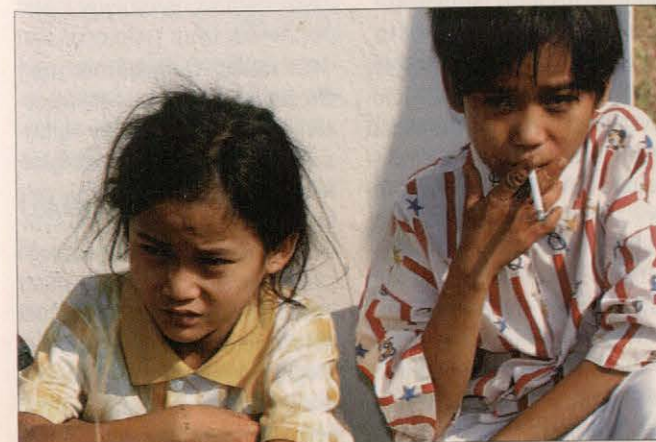
W KREGU ZŁA

Samo zdjęcie (pokazywane 6 grudnia 1999 r. niemal we wszystkich gazetach świata) było już niesamowite, lecz podpis mógł wprost zaszokować. Para dwunastoletnich kareńskich braci bliźniaków – po lewej Johnny Htoo (to naprawdę chłopiec?), po prawej Luther Htoo (Luther!?) – przywódcy Armii Boga, oddziału birmańskich rebeliantów. Powstańcy przypisali chłopcom mistyczną, niemal boską moc, która sprawia, że „nie imają się ich kule”. Na zdjęciu wyglądają jak renesansowe cherubinki, które zeszyły na złą drogę (a zwłaszcza jak te szablone aniołki usadowione u stóp dreźniejskiej Madonny

Rafaela): prawdziwe toksyczne putta. Są aniołkami Rafaela, które zapędziły się za daleko, o wiele za daleko w głąb krainy Conrada, jak zdublowany Marlon Brando w miniaturze, otoczone obłąkanym, półboskim kultem. Sprawiają tym bardziej niepokojące wrażenie, że na zdjęciu wyglądają, wybaczenie tę grę słów, jak syjamskie bliźnięta. Johnny wydaje się wyrastać z pleców Luthera, jego drżące, niewinne ciało bezradnie doczepione do tego drugiego o znużonym, starym jak świat, lecz świadującym spojrzeniu: widziałem to wszystko (chłopiec zaciąga się), widziałem (jeszcze jedno sztachnięcie), choć nie powinien był nigdy tego zobaczyć. Dym skręta, którym się zaciąga,

zamienia ów obrazek w scenę bez mała infernalną, podobnie jak wiadomość, że ich zwolennicy zaatakowali właśnie szpital (tak!) i przetrzymują tam setki

zakładników. Czy obłądne zło tego świata nie ma granic? Oczywiście, odzywa się tutaj stereotyp Wschodu: rozgorączkowane fantazje białych obywateli zachodniego świata na

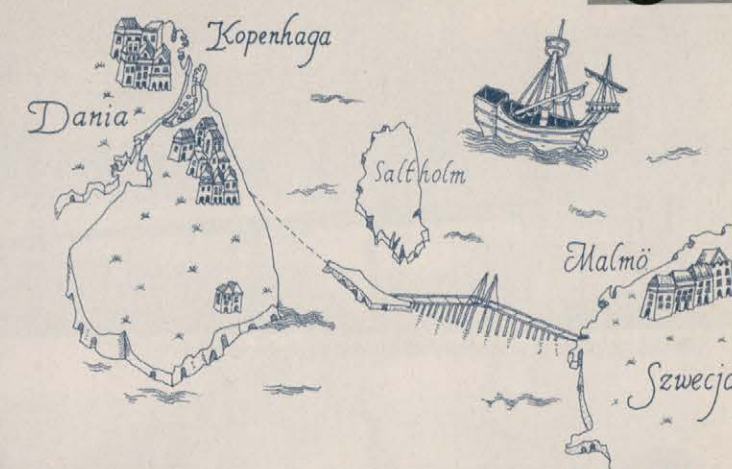


Wyglądają jak zwyczajni chłopcy

temat metafizycznej rozpusty, jakiej rzekomo oddają się nieobliczalni kolorowi, ten wygodny Inny. Atak na szpital zadaje jednak kłam nazbyt łatwym wyobrażeniom: rebelianci napadli na szpital położony przy granicy tajskiej i przetrzymują zakładników, żądając, by armia tajska zaprzestała ostrzeliwania ich pozycji, a tamtejsi lekarze zajęli się także ich rannymi towarzyszami. To nie jest przykład Pierwotnego Zła, lecz bardzo ludzka desperacja, choć nasza fantazja przesłania nam całą namacalną rzeczywistość – nie musimy już więcej przejmować się losem kareńskiej mniejszości, która zaklinowała się jak w imadle między birmańskimi a tajskimi generałami. Nie ma potrzeby, byśmy przyglądali się temu uważnie. Dlatego też nie zwracamy uwagi na te wydarzenia. Mija jakiś czas i niespodziewanie, jakiś miesiąc temu, znowu pojawiają się ci stuknięci bracia Htoo, którzy wyszli z niebytu lub raczej z wilgotnej dżungli, oddając się wraz ze swoimi poplecznikami w ręce tajskich pograniczników. Natychmiast przewieziono ich do policyjnej kwatery w pobliskim miasteczku Suan Phung, gdzie wkrótce (według reportera „Time’a” Roberta Horna) stanęli przed równie jako oni

zdmużonym premierem i jego generałami. Premier pogłaskał zawstydzone kędziory chłopców. „Odebrał im całą mistyczną aurę”, mówi Sunai Phasuk z Forum Azjatyckiego, grupy obrońców praw człowieka. W Tajlandii, gdzie ludzie do tej pory padają na kolana przed członkami rodziny królewskiej, nie głaska się boga po głowie. Widzicie więc – kolejny pocieszający wykręt, kolejna fantazja utwierdzająca nas w naszych przekonaniach – to przecież zwyczajni chłopcy. Ubrani w nowe, kolorowe koszulki muszą stawić czoło co najwyżej banalnemu problemowi okresu dojrzewania, są jak chłopcy mieszkający po sąsiedzku (choć dobrze byłoby, gdyby ktoś odczytał Luthera palenia skrętów). Również takie przekonanie jest całkowicie błędne. Ci trzynastolatkiowie wyglądają na nie więcej niż siedem lub osiem lat. I nie ma w tym spostrzeżeniu sentymentalnej czułościowości. To skrajne niedożywienie. Nie są zwyczajnymi chłopcami, widzieli w życiu niemało, przeżyli piekło, do którego świat (to znaczy my wszyscy, otuleni kokonem wygodnych iluzji) nie powinien być dopuścić.

LAWRENCE WESCHLER
Przetłóżył Jerzy Jarniewicz



RYS. IGNAŃCY CZWARTOS



Operator dźwigu idzie na przerwę obiadową 205 m nad lustrem wody.



Kadyks, Hiszpania. Dragados – stocznia, w której powstają kolejne elementy mostu.



Francuscy robotnicy z firmy Freyssinet kładą kable (72 przewody w każdym).

MOST

przez morze

TEKST WOJTEK KOCOŁOWSKI
ZDJĘCIA H. SAXGREN/RAPHO/EAST NEWS

Na zdjęciach Henrika Saxgrena most staje się bohaterem jak z homeryckiego eposu. Jest na nich osobą surową i wymagającą. Dość niezwykłą, bo niemal 8-kilometrową.

Skandynawowie najczęściej mówią Oresundsbron. W angielskich wydawnictwach i folderach pojawia się nazwa Oresund Link. Po polsku najprościej powiedzieć „trasa Oresund”. Otwarta uroczyście 1 lipca 2000 r. w asyście królewskich rodzin droga między Danią a Szwecją składa się z autostrady i linii kolejowej biegnącej przez tunel, sztuczną wyspę i most. Długość – niemal 16 km.

Z trzech fragmentów trasy Oresund tunel wydaje się niedoceniony i pokrzywdzony – przynajmniej od strony wizualnej i reklamowej. To most zagarnia całą sławę i urasta do jedynego symbolu tego skomplikowanego przedsięwzięcia. Tunel, krótszy i niewidoczny, jak młodszy brat kolosa spod kanału La Manche, biegnie skromnie pod morskim dnem, łącząc sztuczny półwysp na przedmieściach Kopen-

Widok od szwedzkiej strony mostu w kierunku Danii. Na pierwszym planie polski prom, a na niebie – samolot startujący z lotniska w Kopenhadze.

hagi z usypaną wysepką Peberholm u brzegów Saltholmu. W tej nierównej konkurencji wyspa pełni jedynie rolę służebną, znikając niemal zupełnie z pola uwagi obserwatorów i przejeżdżających. Znajduje się między tunelem i mostem i – jak architektoniczny Kopciuszek – nie budzi większego zainteresowania. Natomiast most we wszystkich wymiarach (wzdłuż, w górę, wszcz, a nawet w głęb) wywołuje u gości poczucie ogromu, a u gospodarzy słuszną dumę.

Lekkość i finezja

Most jest długi, wysmukły i łagodnym łukiem przecina cieśninę Wielkiego Bełtu. Oglądany z boku, uspokaja wzrok równomiernie wyrastającymi ponad wodę filarami. W połowie mostu pną się one w górę w postaci

4 pylonów wysokich na ponad 200 metrów, z rozchodzącą się z wierzchołków cieniutką pajęczyną stalowych lin podtrzymujących wiszące, ponadkilometrowe przęsło. Z lotu ptaka przypomina lekko wygiętą nitkę, biorącą początek z rozległej połaci szwedzkiej równiny, która w połowie drogi do wybrzeża Danii przechodzi w podłużny kształt spłaszczonego rombu sztucznej wysepki. Dalej już tylko woda, kryjąca pod morskim dnem czteropasmową autostradę i dwukierunkową linię kolejową.

Budowa trasy Oresund to również dane techniczne świadczące o mozołach i ciężarze. Nic z poezji: 18 mln ton piasku i kamienia wydobytych z dna morskiego w celu osadzenia konstrukcji mostu, 7845 m długości, 51 filarów z żelbetu, 25 km stalowych lin pod-



„Ręka Boga pomaga w usadowieniu ostatniego elementu mostu”.



Na przyczółku, łączącym sztuczną wyspę Peberholm z mostem.

trzymujących środkową część, wreszcie koszt budowy: 15 mld duńskich koron. Czyli tyle, ile wynosi roczny budżet małego kraju.

Most, morze, maszyna

Henrik Saxgren z okazji otwarcia połączenia obu krajów trasą przez Wielki Bełt wydał album fotograficzny, którego bohaterem stał się most. Nosi podniosły tytuł „Pylonia”. Most jest w nim bohaterem niemal jak z homeryckiego eposu – zagarnia władczo krajobraz i statki, „wchłaniając” przy okazji ludzi, pracujących nad jego budową. Ma się wrażenie, że nie oni go tworzą, lecz to on pozwala ludziom na działanie, górując nad nimi jak król, zleceniodawca i żywiciel tych maleńkich istotek zawieszonych na rusztowaniach. Most w albumie Saxgrena staje się osobą. Jest to osoba surowa i wymagająca, choć od

czasu do czasu pozwala podwładnym na chwile wytchnienia.

Monumentalne budowle mogą budzić zachwyt w Skandynawii. Mogą one budzić zachwyt wszędzie na zachód od byłego NRD. Od Władywostoku po Rostock wszelka pochwała pracy ludzkiej wyrażona na zdjęciach lub w literaturze niemal automatycznie wywołuje pobłażliwy uśmiech lub w skrajnych przypadkach wstręt. Bo proletariacki trud i industrialny mozół chwalono bez mała 50 lat nad wyraz szczerze i nad wyraz źle. Stąd nie może dziwić wrodzona nieufność do niewinnych, patetycznych zdjęć Saxgrena.

Jednak jest w nich również dużo prostej szlachetności – zwłaszcza tam, gdzie czarno-białe fotografie są owocem cierpliwości i rzetelności autora, który nie tyle wymyśla niecodzienny punkt

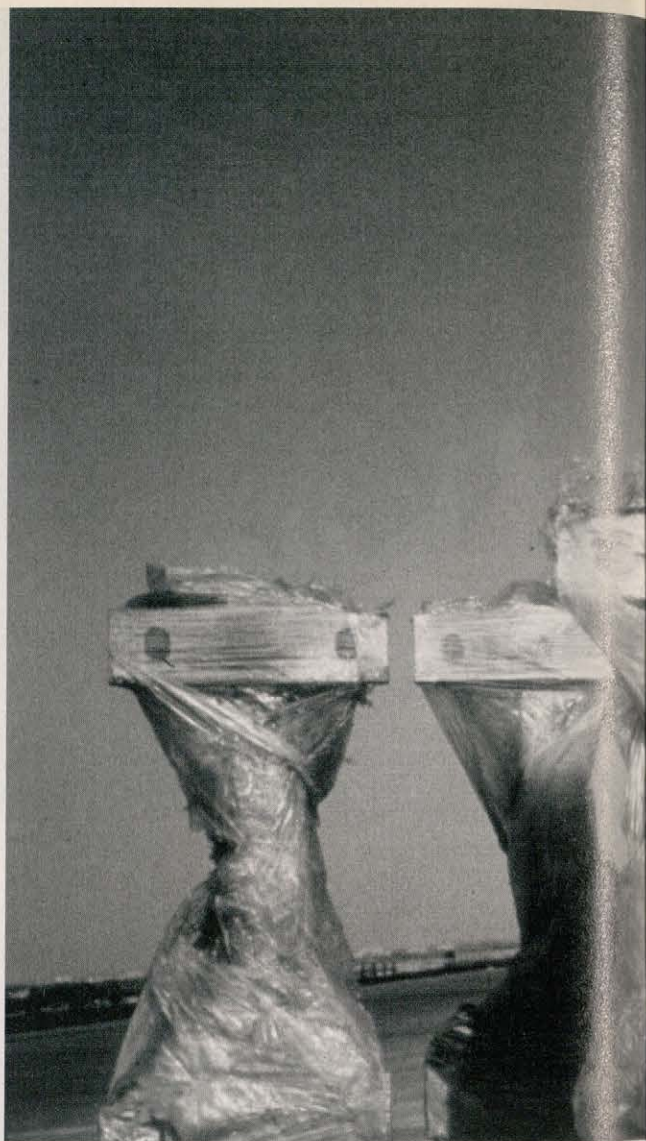
widzenia, ile czeka na odpowiedni efekt. Jedna z fotografii przedstawia ciężkie od chmur niebo, na dole pas morza z przepływającym statkiem i wylaniającą się konstrukcją powoli posuwającego się do przodu mostu. A pod zdjęciem podpis z zaskakującym, rodzimym akcentem: „Widok od szwedzkiej strony mostu w kierunku Danii. Na pierwszym planie polski prom, a w tle samolot startujący z lotniska w Kopenhadze”. Swoją drogą trudno ten samolot dostrzec.

Nie brak jednak Saxgrenowi pomysłów na styku religijnego zachwyty i socrealistycznej zgrzebności, niczym z obrazów Fangora. Tak jakby z jednej strony fotograf był zafascynowany obrazami Blake’a, a z drugiej wierny ideom zjazdu w Wiśle. Oto na kolejnym zdjęciu w planie ogólnym pływający żuraw (kolos, zwany

z gracją „Łabędź”), szykujący się do zamocowania ostatniego przęsła. Fotograf na pierwszym planie umieścił dwie ręce podające sobie śrubkę, które górują nad maleńką konstrukcją w tle. Niczym z siódmego dnia stworzenia pojawia się komentarz artysty: „Ręka Boga pomaga w usadowieniu ostatniego elementu mostu”.

Narzekania

Budowa Oresundsbron przebiegała nad wyraz sprawnie. Przedsięwzięcie zaskoczyło Duńczyków i Szwedów szybkością i planowym wykonaniem. O połączeniu obu wybrzeży myślano od niemal 100 lat, choć kończyło się na debatach i kolejnych projektach. Dania w latach 80. postanowiła zbudować most pomiędzy wyspami Fyn i Sjælland. Zarówno w trakcie budowy, jak i potem doszło do ostrej polemiki na temat wynika-



Dolna część mostu, którą będzie biegła linia kolejowa.

jących z tego problemów ekologicznych, finansowych niejasności wokół budowy, a nawet sensowności tak poważnej inwestycji.

W przypadku Oresund było zupełnie inaczej. Nie dość, że operacja przebiegała bez awarii, to na dodatek została ukończona w terminie i w ramach zamierzonego budżetu. Ze strony Duńczyków pojawiły się głosy krytyczne, choć niezbyt donośne. Narzekano na wyburzenie budynków na przedmieściach Kopenhagi pod budowę autostrady. Nie podobało się, że przebieg drogi może nieco zakłócić ekologiczną równowagę zielonej wyspy Amager, leżącej na jej trasie. Ironicznie odnoszono się do idei rozbudowania wokół drogi nowych przedmieść. Argumentowano, że owa urbanistyka „na siłę” spowoduje powstanie nowoczesnych slamsów. Nie spodobało się również (co nie

dziwi), że przejazd trasą Oresund kosztuje równowartość około 150 zł.

Pojawienie się nowego połączenia bynajmniej nie zniszczyło transportu promowego. Obecnie trwa walka o klienta nie tylko między firmą Oresundskonsortiet i statkami, ale wręcz między trasą i dwoma konkurencyjnymi liniami pasażerskimi. W zależności od zniżek i sezonu ceny na prom są podobne bądź nawet niższe od przejazdu tunelem i mostem.

Jak zrobić Euroregion?

Połączenie Oresund spina wybrzeże Danii ze szwedzkim regionem Skanii. Od strony duńskiej trasa bierze swój początek w centrum Kopenhagi. Autostrada zmierza ku przedmieściom, osiąga wysokość portu lotniczego i znika w tunelu. Zaczyna się

trzyipółkilometrowa podmorska podróż. Droga wylania się ponownie na powierzchni sztucznej wyspy Peberholm. Po czterech kilometrach wjeżdża się na bezmała ośmiokilometrowy most. Już na terenie Szwecji znajdują się punkty pobierania opłat.

Trasa Oresund ma się zwrócić za około 40 lat. Szwedzi i Duńczycy pragną, by w tym czasie most stał się symbolem nowego Euroregionu, łączącego i tak już zbliżone do siebie kulturowo i językowo krainy. Szwedzka Skania, należąca niegdyś do królestwa Danii, zachowała odrębność od innych części Szwecji. Mówi się nawet, że bliżej jej do widocznej w pogodny dzień Danii niż do odległego o kilkaset kilometrów Sztokholmu.

W przemówieniach polityków i na oficjalnych stronach in-

ternetowych trasy Oresund pojawia się więc określenie „najbardziej rozwiniętego regionu Europy” z potrójną stolicą w liberalnej Kopenhadze, uporządkowanym Malmö i uniwersyteckim Lundzie. Jednak, jak wyraził to mój przyjaciel z Kopenhagi Tomas Medici, to się okaże dopiero za wiele, wiele lat.

Jak na razie korzyści płynące z trasy Oresund są komentowane z ironią przez Duńczyków. Szwedzi przyjeżdżający do Kopenhagi na weekend, by poszaleć i kupić tani alkohol, kończą zazwyczaj o poranku na bezradnym poszukiwaniu śladów promu, który zabrałby ich do domu. Duńczycy żartowali: „Zrób coś dobrego dla swego kraju i pokaż Szwedowi drogę na prom”. Dzisiaj, jak mówią, należałoby raczej wskazać prostszą drogę. Na stację kolejową. ■

NOTKI i plotki

PROGRAM umożliwiający kopiowanie filmów DVD na zwykłe pliki komputerowe napisał 17-letni Norweg, Jon Lech Johansen. Nie potrzeba ani odtwarzacza, ani płyt. Wystarczy Internet. „Nastoletni Cyfrowy Geniusz” pracuje na swym domowym komputerze klasy Pentium 600, a jego program zajmuje zaledwie 57 kilobajtów pamięci. Szacuje się, że darmowe rozpowszechnianie kopii filmowych za pomocą Internetu narazi producentów DVD na stratę milionów dolarów.



FOT. EAST NEWS

MOUNT EVEREST rośnie. Nie z powodu ruchów górotwórczych, a przez... śmieci. Najwięcej odpadków jest w położonym na wysokości 7900 m n.p.m. obozie South Col (baza wypadowa na szczyt). Dlatego

Nepalskie Stowarzyszenie Wysokogórskie chce płać miejscowym góralom za sprzątanie tego terenu. Sierpowie są wynajmowani przez ekipy himalaistów do wynoszenia na górę sprzętu i zaopatrzenia. Wracają już bez bagażu i wtedy mogą sprzątać. Za każdy kilogram zniesionych śmieci będą dostawać 13 dolarów.

PLANETOIDA nr 16856 – odkryta w grudniu 1997 roku i oznaczona symbolem 1997 YE8 – w lutym dostała imię polskiego uczonego. Nazywa się Banach – od Stefana Banacha, matematyka, profesora Uniwersytetu Lwowskiego, twórcy polskiej szkoły matematycznej. W kosmosie krąży już kilka „polskich” planetoid, np.: Heweliusz, Lem, Pawlikowska-Jasnorzewska, Mickiewicz, Tarski, Curie.

HISZPAŃSKIE SĄDY słyną z bardzo wolnego tempa pracy. Teraz to się zmieni. Wprowadzona reforma sądownictwa zakłada zniesienie tradycyjnej przerwy... na sjęstę.

HEBANOWY FORTEPIAN Johna Lennona pójdzie pod młotek 27 marca w londyńskiej Hard Rock Cafe. Instrument wyceniono na ponad 1,5 miliona dolarów.



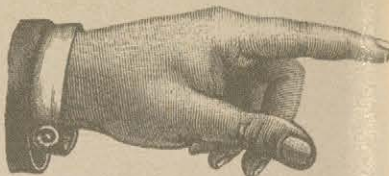
FOT. EPAPORUM

Na licytację wystawiony zostanie także samochód muzyka – biały mercedes 600, który sprzedał on George'owi Harrisonowi po przeprowadzce do Nowego Jorku. Przewiduje się, że limuzyna osiągnie cenę ponad 600 tysięcy dolarów.

W INDIACH trwa powszechny spis ludności. Tamtejsi eunuchowie protestują przeciwko określaniu ich jako „mężczyźni”. Domagają się, by powstała kategoria „fizycznie upośledzeni”.

PODWÓJNE FOTELE specjalnie dla par zainstalowano na balkonie jednego z holenderskich kin. Jest to sposób na osoby, które przychodzą „do kina”, a nie „na film”.

ASTRONOMIA POMOGŁA w ustaleniu dokładnej daty powstania obrazu „Biały dom nocą” Vincenta van Gogha. Nad dachem budynku artysta namalował mocno świecącą gwiazdę. Jak wykazały bardzo szczegółowe badania astronomiczne – ta gwiazda to Wenus. Dzięki temu określono dokładną datę powstania obrazu: 16 czerwca 1890 r., godz. 19.



myśli LUDZI WIELKICH, ŚREDNICH I MAŁYCH

Kultura to w przybliżeniu to wszystko, co my robimy, a czego nie robią małpki
James Henry Lord Raglan

Porządek prowadzi do wszystkich cnót, ale co prowadzi do porządku?
Lichtenberg

Forma musi stopić się w jedno z poglądem na świat.
Paul Klee

Każda miłość musi się rodzić z autoafirmacji, być nam pomocą w urzeczywistnianiu nas samych.
Henryk Elzenberg

Pycha jest dobra, ale gdy podbuduje ją ignorancja, staje się wręcz doskonała.
Wolter (Francois Marie Arouet)

Cierpliwość – spryt tego, kto nie jest sprytny.
arabskie

Codziennieścią nie najesz się do syta.
Krecia P.

Pies zaprzyjaźnił się z kotem, jeśli tego pragnie jego pan.
Fafik

Myśli zebrała Stella Varcaby

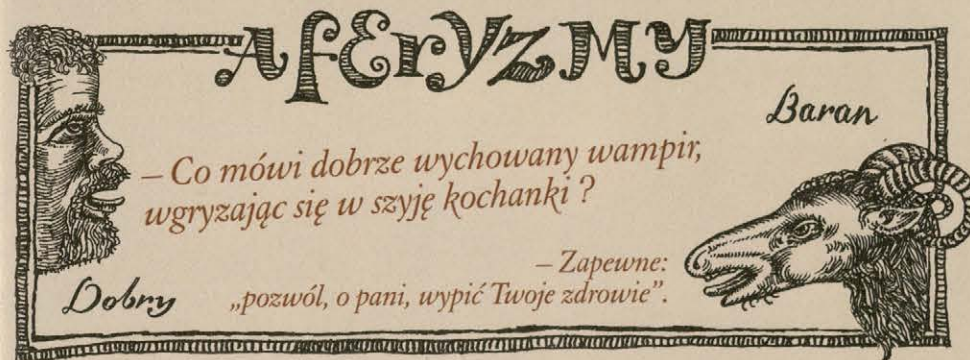
ABECADŁO Myszkina

rok

Słońce wstaje i zachodzi. Tak jest co dzień. Co dzień też słońce wchodzi wyżej albo coraz niżej. Czy słońce wchodzi coraz wyżej czy niżej, to zależy od dnia, w którym zaczniemy badać jego bieg. Po pewnym czasie słońce zacznie obniżać pułap, na który wchodzi lub zacznie wchodzić coraz wyżej. I po pewnym czasie powtórzy się ten kołowrót. Jeśli powtórzymy tę obserwację kilka razy, zobaczymy, że kołowrót słońca powtarza się i powtarza, i powtarza. To nazywamy rokiem – jeden obrót czasu, równy przejściu między najwyższym postępowaniem słońca a najniższym jego wejściem i znów między nim a najwyższym postępowaniem. Ponieważ rok po roku idzie i nie ma przerwy w ich biegu, linia jego nieprzerwana

staje się nitką, na którą nawleczone każde zdarzenie, w kolejności, jak leci, jedno po drugim. Pierwszy człowiek to odkrył, że słońce wstaje i zachodzi co dzień. Zrobił on dziurkę w ścianie i zaznaczył, gdzie wpada światło, kiedy słońce wschodzi. Łuk światła po podłodze wykreślał mu czas od wschodu do zachodu słońca. Dni mijały i coś mu się nie zgadzało, światło uciekało z tego łuku, co go pierwszego dnia zaznaczył. Wtedy człowiek odkrył, że słońce się waha, raz niżej idzie, raz wyżej. Tak człowiek rok odkrył. Nie wiem, kiedy to było, bo nie zapisywał pierwszy człowiek, ile róków minęło za jego życia.

MYSZKIN

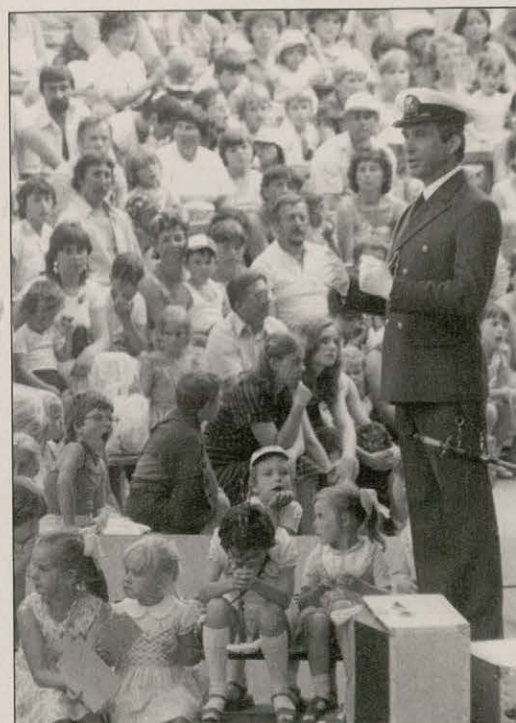


„Wyteż wzrok i co tam jeszcze masz”

Wyteżając wzrok oraz umysł, przypatrz się załączonej fotografii i postaraj się odpowiedzieć na poniższe pytania. Jeśli pierwsze okaże się za trudne, weź się za drugie, itd. Gdyby wzrok lub pamięć cię zawiodły, pozostaje jeszcze pytanie pocieszenia.

FOTOGRAFIA „FESTIWAL W KOŁOBRZEGU”

- Pytanie 1 (trudne): gdzie na fotografii znajduje się kordzik?
- Pytanie 2 (łatwiejsze): gdzie na fotografii znajduje się jakiś zwierz?
- Pytanie 3 (intrygujące): dlaczego chłopczyk w okularach ziewa?
- Pytanie pocieszenia (4): gdzie na fotografii znajduje się facet w mundurze?



Odpowiedź: 1. Kordzik znajduje się w pasa faceta w mundurze. 2. Przed pana Adama o nazwisku Zwierz, imyńch zwierzy się tu nie namierzy 3. Trzeba by spytać chłopczyka w okularach. 4. Dokładnie tam, gdzie go widac.



TRUJ-BUJ LITERACKI

Za zamieszczonym poniżej nieznanym fragmentem pseudoliterackim autorstwa Pseudonima Anonima ukrywa się znany fragment literacki autorstwa znanego literata.

Należy się z nim zapoznać, a następnie odpowiedzieć na trzy pytania. Pytanie pierwsze: jak nazywa się ten literat? Pytanie drugie: jaki tytuł ma literacki oryginał? Pytanie trzecie: od czego piękniejszy jest bar na Broadwayu?

Czy twój wuj pije kawę?
Tak mój wuj pije kawę.
Da, mój diadia pijot kofie.
Zapamiętaj sobie to hasło
Otworzy ci ono dostęp
do rynku wschodniego
Kiedy będziesz siedział na Arbacie
przy herbacie
z samowara piękniejszego
niż koputy Kremla
podejdzie gość, który cię zapyta
czy twój wuj pije kawę
wtedy ty masz odpowiedzieć:
Da, mój diadia pijot kofie, no biez zakuski.
wtedy on przekaże ci towar.
Widzisz
jake to będzie proste.

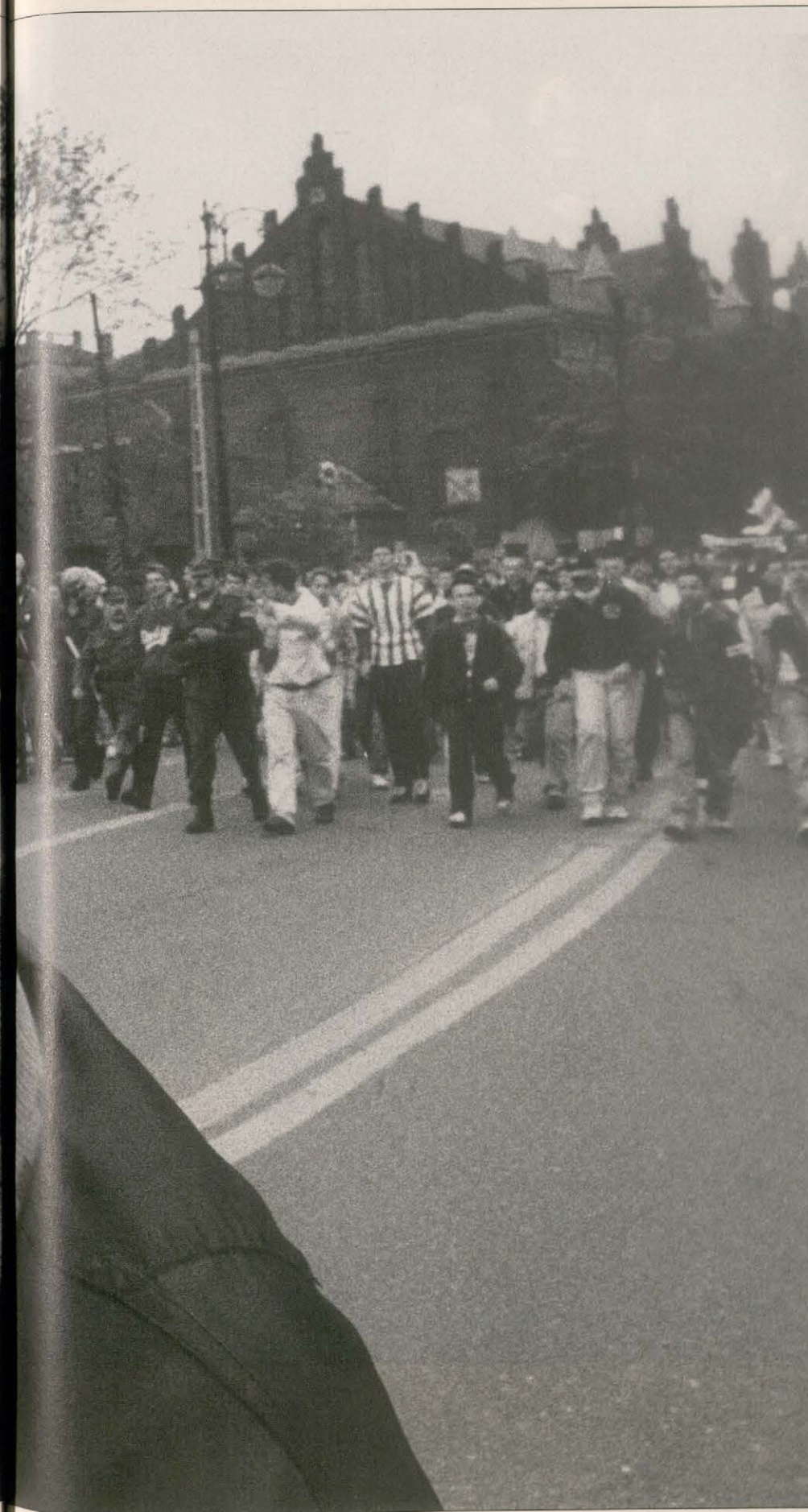
ODPOWIEDZ 3: bar „piękniejszy niż oczy szatana”

jak to będzie cudownie.
Widzisz
Yes, my father smokes the pipe
wtedy odpowiedz z uśmiechem
czy twój ojciec pali fajkę
spytaj cię niezawodnie
w barze piękniejszym niż oczy szatana
Kiedy będziesz siedział na Broadwayu
okno na świat
otworzy ci ono
powtórzy to zdanie
Yes, my father smokes the pipe
Tak mój ojciec pali fajkę
Czy twój ojciec pali fajkę?

ODPOWIEDZ 2: wiersz pt. „Żytki obce”
Andrzej Bursa



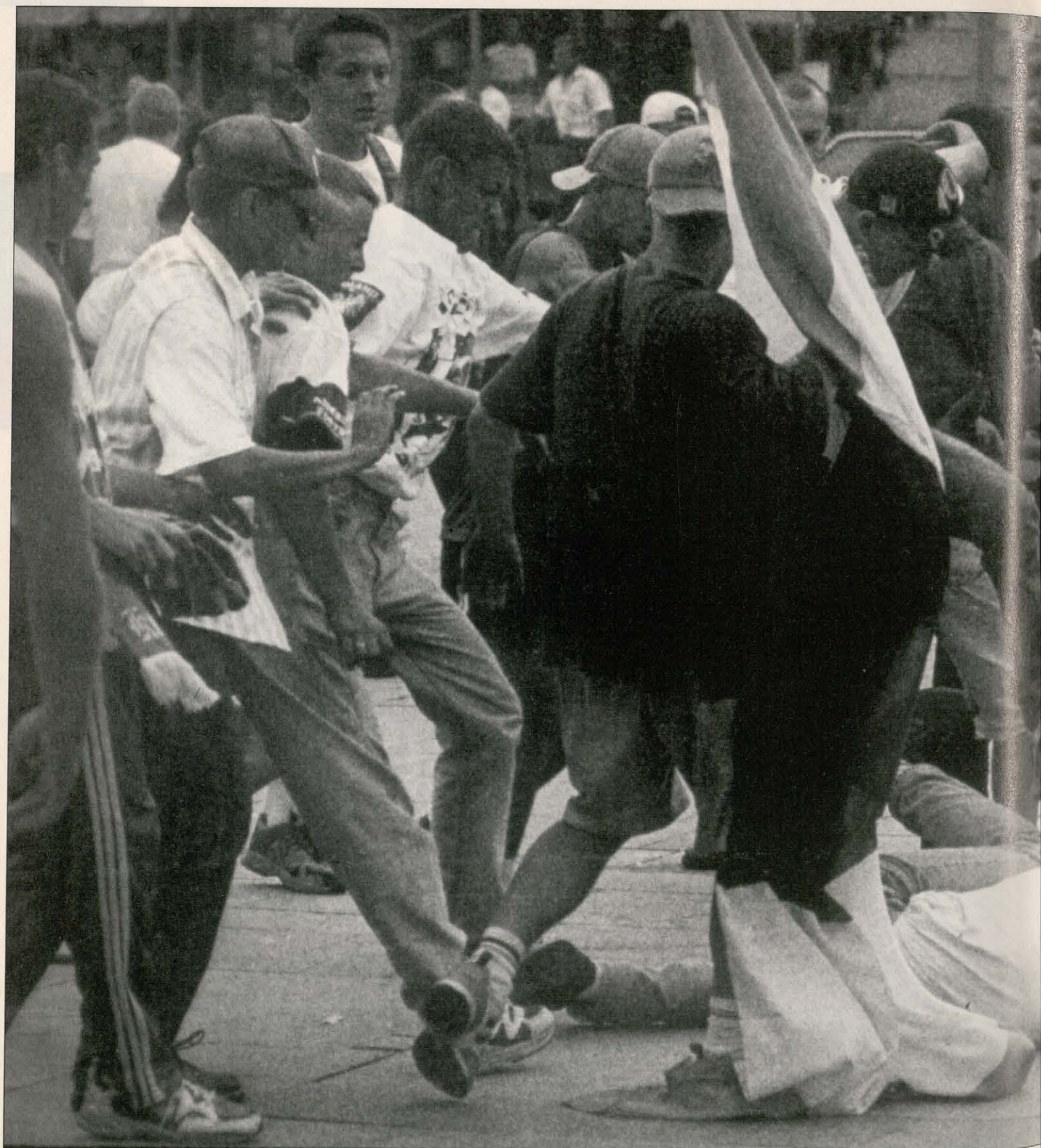
© MARCIN MACIEJOWSKI



DUCH SPORTU

Dziś na polskim
stadionie piłkarskim
wypinanie gołej pupy
uchodzi za demonstrację
łagodną i cywilizowaną

ZDJĘCIA:
ADAM GOLEC / AGENCJA GAZETA



Historyczna chwila: 14 września 1957 r. o godz. 15.03 w czasie meczu Wisła – Polonia Bytom kapitan polonistów, inż. Kazimierz Trampisz, spuścił spodnie i w geście protestu wypiął na ryczące trybuny gołą pupę. Sędzia wyrzucił go z boiska, PZPN ukarał trzyletnią dyskwalifikacją, a prasa nie zostawiła na Trampiszu suchej nitki. Wyrażano nadzieję, że już nigdy na polskich boiskach – ani na murawie, ani na trybunach – nie pojawią się „nie licujące z tradycją i honorem polskiego sportu gołe pośladki”. Mówiono o „zdziwieniu obyczajów” i że – jak tak dalej pójdzie – to trybuny stadionów świecić będą pustkami, bo nikt porządny na mecz nie przyjdzie.

Dziś wypinanie na polskim stadionie piłkarskim gołej pupy (pup) uchodzi za demonstrację łagodną, cywilizowaną, prowokującą jeno do życzliwego uśmiechu. Wystarczy zajrzeć na strony internetowe kiboli, by zobaczyć, że takiego czegoś Liga Chuliganów nawet nie punktuje. Liczy się wyłącznie coś, co zauważą media: demolka trybun, podpalenie lub obrzucenie kamieniami autokarów, rozebranie na czynniki pierwsze pociągu, bójka z policją z kamieniami i pałowaniem, świece dymne, przerwanie zawodów. Wysokie miejsce w lidze zależy również od liczby rannych po obu stronach, od pomeczowego zagęszczenia aresztów i od szacunkowej wysokości strat materialnych. Kibole starający się o mistrzostwo Ligi Chuliganów równie starannie gromadzą trofea z walk, jak i wezwania na kolegia. Te ostatnie, jako rzadkie, są w cenie. Chociaż podobno





któryś z czołowych kiboli Jagiellonii Białystok potrafił sobie wytapetować nimi pół wychodka. Donosił o tym jeden z terenowych biuletynów ligi. Biuletyny kiboli, opowiada stały czytelnik, jeden z sędziów piłkarskich, delikatnie mówiąc, tchną żądzą mordu, zapachu krwi, petard i świec dymnych. Szalikowcy ŁKS obiecują te wszystkie atrakcje Widzewowi, Polonia – Legii, drużyny śląskie – drużynom śląskim. Są również informacje o sojuszach, tych samych od lat, bo kibole są w uczuciach trwali: szalikowcy Wisły Kraków kochają Jagiellonię Białystok, ci spod znaku warszawskiej Polonii popierają Cracovię i poznańskiego Lecha, szczecińska dzicz nigdy nie zaatakuję bijących w imię Legii. Wypadek to rzadki, gdyż normalnie polskie stadiony legionistów nie cierpią. Lekarz z krakowskiego pogotowia opowiada, że próbował wielokrotnie rozmawiać z poharatanymi kibolami o piłce. Ich znajomość klubu, z którym się utożsamiają oraz w którego imię biją, palą i rabują, jest z reguły zerowa. Nieważna. Niepotrzebna. Głupia. Ważni są ONI. Ci w innych szalich albo zupełnie przypadkowi. Ważny jest gorzki smak ryzyka i słodki smak dymu, cudowne uczucie łatwości, z jaką obcas wchodzi w miękkie podbrzusze, jęk bitego, ostry brzęk rozbijanej szyby, własne odbicie w plastikowej tarczy policjanta. I sława. Na szczęście kibole to tylko wyjątki. Na szczęście możemy jeszcze cieszyć się urokami życia i każdej kolejki rozgrywek.

LESZEK MAZAN

Zasadniczo formułą tej rubryki jest kolaż rozmaitych materiałów wyluskanych z jakiegoś określonego czasu albo też pochodzących z różnych roczników, ale związanych z konkretną osobą czy zjawiskiem. Aby taka mieszanka zgrabnie się zmieściła na dwóch kolumnach, dokonuję niezbędnych skrótów. Co jakiś czas, wszelako, grzebiąc w starych „Przekrojach”, napotykam lite długie teksty o szczególnej wartości, które nadają się na ekspozycje do nie istniejącego muzeum literatury. I takich tekstów ciąż już nie wolno. Dziś in extenso przypominam amerykańską opowieść Melchiora Wańkowicza, niedoścignętego mistrza reportażu.



Na okładce nr 800
– Beata Tyszkiewicz

150 MIL KRAWĘDZIĄ MELCHIOR WAŃKOWICZ NAD PACYFIKIEM

(9 MINUT)



Traper, o którym mowa w reportażu

MONTALVO leży pod San Francisco. Odległość 400 mil jest drobiazgiem na te przestrzenie. Amerykanie robią drogę Los Angeles–San Francisco jednym dniem, ale my postanawiamy ją zrobić w dziesięć dni.

Po noclegach jednak w Santa Barbara i w misji San Inez, kiedyś dojechali do San Luis Obispo, na setnej dopiero mili naszej drogi – utknęliśmy przed problemem.

Na prawo wabił trakt N. 101 wygodny, wyjeżdżony, prowadzący jak z bicza strzelił do San Francisco. Tym traktem jeżdżą wszyscy.

Na lewo, wisząc nad Pacyfikiem, wykuty w nadbrzeżnej skale, ciągnie się przez 150 mil trakt N. 1, słynny Big Sur. Pociąga nas romantyzm tej drogi.

Z tamtego jej końca leży Monterey. Między Monterey i tym tu Obispo jeszcze przed trzydziestu laty wznosił się dziki masyw, przez który „nie dotoczyłoby się” do Oceanu Spokojnego USA.

W Monterey mieszkał medyk, dr Roberts. Konno zapuszczał się w ten kraj, w roku 1930 jeszcze dzikszyszy, niż przed czterystu laty, kiedy ujrzały go oczy konkwistadora Cabrillo. Jeszcze dzikszyszy, bo

i Indianie znikli. Skalistymi wąwozami w puszczy ciągnęły oleiste i korzenne zapachy eukaliptusów, sekwoi, jodły kalifornijskiej, mirtów; orzeł złocisty i wielki kondor jeszcze się tu gnieździły i wisiły nad odmętami bijącymi o urwiska.

Dr Roberts wydeptał wszystkie instancje, zapewniając, że za 50.000 dolarów da się przeciągnąć drogę nad oceanem, wykuć półki skalne, poprzeczuć mosty nad rozpadlinami. Po trzydziestu latach zabiegów doczekał się w 1919 roku uchwały władz stanowych. Ale dopiero w 1937 roku staruszek dr Roberts dożył chwili, kiedy ujrzał gubernatora przecinającego wstęgę i pierwszy samochód wjeżdżający w ziemię dotąd niczyją. Ale droga kosztowała dziesięć milionów.

No więc pojedziemy tą drogą. U jej wstępu wielka tablica uprzedza, że przez sześćdziesiąt sześć mil nie będzie ani stacji benzynowej, ani osiedla; oraz że patrol drogowej nocą nie są wysyłane. Po przejechaniu mili, znowu tablica: „Przygotuj się ujrzeć Twojego Boga”.

Droga wciósuje się w zbocze, biesi się serpentynami, spada po sam ryk oceanu między boecklinowskimi głazami, znów wisi nad przepaścią. Mnożą się napisy ostrzegawcze: „Droga śliska”, „Most prowizoryczny”, „Głazy na drodze”. Istotnie, poza rezydencją słynnego magnata prasowego Hearsta, która znajduje się na początku tej drogi, nie ma śladu żadnego osiedla ludzkiego. Wieczór idzie, Królik poczyni się bać.

Zbiegowie z Ameryki

NA STOKU domek na kurzych nóżkach. To Gorda. Punkt jedyński na tym przebiegu, gdzie można się schronić.

Wchodzimy do małego drewnianego domku oświetlonego pod sufitem lampą naftową. Lampa jest z koszulką „Lux”, która się rozżarza i świeci ostrym, białym światłem. Za czasów mego dzieciństwa na Kowieńszczyźnie, przed pierwszą wojną, takie lampy były szczytem komfortu.

Ubogi kontuar. Za nim przedwcześnie postarzała pani ze śladami piękności. Pani zniemiała, nie zwraca uwagi na gości, jest wśluchana w kosztowny patefon. Przed kontuarem na wysokim taborecie wyżyłowany mężczyzna w szerokoskrzydłym kapeluszu nad pustym kieliszkiem.

Bez słowa siadamy na ławie pod ścianą i czekamy. Żona szepcze: „Beethoven”. Niech będzie Beethoven – ale czemu ten traper zachowuje się jak trusia? Zamarł z papierosem przy ustach, patrzy w patefon, jak by chciał odcyfrować jeszcze jeden ślad w puszczy.

Płyta dobiega końca. Kiedy druga kobieta, która tu się znajduje, manipuluje płytą, widzę, że ma ucięte wszystkie palce prawej ręki.

Dźwięki ścichły. Traper wysuwa kieliszek bez słowa, kobieta za kontuarem nalewa mu „double-scotch”, po czym zwraca się do nas. – Przenocować? – Owszem mają jedną kabinę na zboczach. Zjeść? – owszem, sięga po puszkę z zupą.

Słychać pyrkot małego auta. Do wnętrza wchodzi kobieta lat około czterdziestu w jeansach, tzn. brezentowych spodniach, w niepokalanej białej nylonowej bluzce. Kobieta zza kontuaru, nie pytana, podsuwa jej „whisky and soda”. Pani w nylonowej bluzce łyknęła, zapaliła papierosa i pyta, skąd jesteśmy.

– My, to nic ciekawego – takie tam turyści – ale wy tu, coż to za kompania?

Gęsie łapki pod koafiurą, na której znać permanentki, zbiegają się w uśmiech porozumiewawczy.

– My? – my jesteśmy ludzkie z Big Sur.

– Big Sur – to nazwa tej wykutej w skale drogi.

– Nie wie pan, co to ludzkie z Big Sur? – to tacy, którym zbrzydła Ameryka. Myślą, że ich tu nie dosięgnie. Ta pani – ścisza głos, korzystając, że kobieta zza kontuaru odeszła w głąb – to muzyczka. Podobno koncertowała. Nikt jej nie pyta. Przysiadła tu i dobrze. W sąsiednim pokoju ma Pleyela – naprawdę luksusowy przedmiot. Gra, kiedy nikogo nie ma. Ta bez palców, to jej siostra. Jej mąż jest pono mechanikiem na olbrzymim tankowcu, pływa gdzieś tam z Japonii do Adenu jak rok długi. Nigdy go nie widziałam. Obie tu przycupły, każdy człowiek dowlókł za sobą aż tu czarne pasemko życia i odciął. Tak, odciął – mówi nagle z nieoczekiwaną pasją i zacina usta.

– I ten chłopczyk schronił się tu od zgiełku?

„Chłopczyk” wysuwa właśnie rękę z pustym kieliszkiem.

– On?... On tu już wrósł jak kamień. Chyba od kilkunastu lat. Eksploruje. Ma własną lotę (działkę). Przemywa złoto, ma z tego trzysta, czterysta dolarów miesięcznie. Więcej i w mieście by nie zarobił, a tu w swoim „shaku” (szałasie) ma święty spokój. To sześć mil stąd, w górach. Czasem przyjeżdża tu na mule, autem tam nie można się dostać. Wypija określoną ilość

kieliszków, słucha muzyki i wraca. Czy się może dorobić? – nagle błysnęła okiem – raz znalazł „nugget” (samorodek), za który mu dali 600 dolarów. A niech pan pomyśli: gdzie taki „nugget”, tam, znaczy, kiedyś pękła żyła złota w ziemi przy zaburzeniach tektonicznych. Znaczą, gdzieś jest ta żyła...

Tu jest chwila, kiedy ją już złapał na wędkę. No tak, ona też jest ogarnięta eksplorerską gorączką. Nie może sobie pozwolić na takie życie w szałasie, nie chce zdzićzeć. Jest chemiczką, dokonuje analiz żywności. Ale jej drugie życie to eksploracja. Ma jeepa, którym dojeżdża, ma buldożer, którym zdejmuję wierzchnie warstwy ziemi.

– Wie pan – mówi, a oczy jej błyszczą jak morfiniście, kiedy zaszajamia z morfiną nowicjusza – i teraz jeszcze można od rządu kupować loty w Big Sur i kopać. Z dnia na dzień można stać się milionerem.

Patrzę na nią. Delikatny zarys nosa, ust, które niewątpliwie umiały całować, a które ścina bolesny skurcz.

Nie, nie oszukasz mnie, blondłosa chemiczko. Chowasz się za swoją pasję od życia, od którego tu uciekłaś, jak i tamci.

Pani zza kontuaru, przyświecając latarką elektryczną, prowadzi nas do kabiny. Idziemy ku niej nie przedeptaną ścieżką, łąką nad wyraz bujną i rośną, nogi nasze miażdżą nieznane rośliny, sączące w noc ciężkie zapachy.

Kabina ma lampkę naftową. Ale coż to znaczy, kiedy nad nią rozpięła się wspaniała gwiezdna iluminacja. W dole pod nami huć, huć Pacyfik, zdobywający od tysięcy lat zatoczkę, na której zbo-



Wańkowicz przy telewizyjnym kominku. Wobec nawalu materiału aktualnego w TV, p. Melchior wraca na łamy „Przekroju”.

czu przylepiła się nasza kabinka. W drzewach, które nabiegły na nas z nieprzeniknionych obieży Ziemi Nietkniętej, poczyni się koncert cykad.

Koncert miłości

WRZASK ten rozpala się niebawem na całe góry dookoła. Zaczyna się zwykle w maju i trwa cztery tygodnie. Nieraz znajdowałem w pamiętnikach Amerykanów z lat dziecińczych rozczulenia na temat cykad. Wolno nam za Mickiewiczem rozczulać się chórem żab, wolno i im. Ale mnie te wrzaski złościły. Pasja mnie brała na takiego bezmyślnego bydlaka, który potrafi muzykować, z wielkim zapewne fizycznym wysiłkiem, przez całą noc.

Ale z cykadami, jak z obcymi krajami, z cudzoziemskimi ludźmi. Jeśli cię rażą – toś ty winien, bo nie rozumiesz mechaniki ich życia. Zrozum jego sens i będziesz z nimi.

Sens cykadziego życia?...

Siedemnaście lat żyje cykada w ciemnościach, w czeluściach podziemnych. Zaczyna się to, kiedy samica nakłuje jajowodem liście, znosząc jaja. Wylęgłe gąsienice spadają na ziemię, wkopują się, budują swoje mieszkanko przy korzeniu, którym się żywią.

Tam przechodzą sześć przepoczwarzeń przez długie siedemnaście lat. Może przy każdym przepoczwarczeniu przenika ich kruchy kształt przecucie wyłonienia się na świat, ale zamiast tego skuwają je pancerz ponownego przepoczwarczenia.

Aż na siedemnasty rok, jednego dnia wszystkie wylazą z ziemi. Naliczono w obrębie jednego drzewa dziewięć tysięcy otworków – wyjść. Nie mają żuchw jak szarańcza, tylko rurki wysysające sok roślin. Są gotowe do bytowania pod kopułą gwiazd. I do miłości. Mają półtora cala długości, rozpiętość ich skrzydeł wynosi trzy cale. Na coś musi służyć ta wspaniała postawa.

I ledwo spróbowały wyborności roślinnych soków, już nadciąga na nie inny, potężny smak życia: miłość.

Inicjatywa należy do samców. Mają z obu stron brzucha tablice akustyczne, rowkowane membrany, o które trą jak oszalałe rowkowanymi nogami. Przycupione samice mają uszy – pod brzuchem.

Teraz, kiedy zrozumiał, że już nie jest dla niego nieznośny skrzekot. Las bucha namiętną pieśnią miłosną, ślepą żądzą, która po spełnieniu się zjeżdża pod ziemię, by ponownie eksplodować za siedemnaście lat.

Myślę o tych tu ludziach z *Big Sur*, którzy zesłali ze szczytów kłębiących się żądz tu pod ziemię.

Rano budzę się w radosnym zdumieniu. Z pieca na łeb pode mną piekły się Ocean Spokojny. Z prawa – skała, przerośnięta kolorowymi warstwicami; z lewa – festony bzu kalifornijskiego. Przejieram w dół, widzę na platformie piarżystej zardzewiały zezwłok samochodu kołami do góry.

Ścieżyną przedziera się żuk kolorowy, biedronka ludzka w koszuli czerwonej w czarną kratę. Już doszedł i realizuje się jako dwumetrowe dziecię w barach tęgie, w oczach cielece i błękitne, a za nami drepcze coś eterycznego, jakaś damskość.

Damskość przy zbliżeniu się okazuje się filigranową żylastością wyprażoną na przeróżnych słońcach. Obie stwory trudno

pół roku pobrali. Pobrali nie pobrali: on był stolarzem w Meksyku, jej mąż dostał stypendium na studiowanie sztuki, stolarz tymczasem przestudiował mu żonę i przyjechali tutaj.

– A czegoście się pchali do Meksyku? Zwykle ludzie nie emigrują do biedniejszych krajów.

– Im kraj bogatszy, tym w nim nudniej. Ale nie tu, w *Big Sur*. Nigdzie nie ma tak dzikiego miejsca. Na całym obszarze jest jedna tylko szkółka na kilkanaście dzieci w różnym wieku. Ona będzie uczyć, a ja pochodzę za stolarką.

– Pochodzi pan? Za stolarką? Chyba dla skunksów!...

Nie obraża się, śmieje się z zadowoleniem:

– To jest najdziksze miejsce w całej Ameryce.

– A nie myśli pan, że ludzie napłyną wzdłuż szlaku 101 (to ten, którym radzono nam jechać).

mówiono, że niedaleko końca *Big Sur* zwisa nad morzem чудо – restauracja „Nefete”. Ma to po egipsku znaczyć „dająca zapomnienie” – kto nie wierzy, niech sprawdzi w słowniku.

Pędzę tedy do tej dającej zapomnienie restauracji z głodem w brzuchu. Odkąd mi lekarz wytłumaczył, że jajka to cholesterol, że jajka – to śmierć, pilno mi do samobójczej śmierci. Widać marzeniem o jajkach na szynce można się upić nie gorzej niż koniakiem.

H-rr-rr-zz! – na zakręcie napruwam się na idący z naprzeciw wóz. Jeden z nas musi się cofnąć, bo się nie minimy na tej półce skalnej. Rybki w dole już otwierają pyszczki na świeże mięso, a nasz pocziwy „Przyjacieli” będzie rdzewiał kołami do góry na wieczną rzeczy pamiątkę.

No i czego było się śpieszyć, czego? „Nefete” zamknięta na cztery rygle. Nim się ludzie osiedlili tutaj, już widać dobiegł remont albo remanent.

Już jesteśmy przy końcu *Big Sur*. Tu mieszka nieco artystycznego luda, zbiegłego spod gniotu cywilizacji, jak i ci w Gorta, ale jednak z wozami i z możliwością nawiedzenia niedalekiego Monterey.

Ot i „Big Sur Inn”. W cichym wnętrzu króluje „La Belle aux Bois Dormant”, czyli „Śpiąca Królewna”. Typ *Baby-Doll*, bohaterki filmu pod tym tytułem, zabraniane go w wielu stanach za niemoralność. Taż sama nierozbudzona młodzieńcza senność, dziewczęcość w sexapilotowatych okrągłościach.

Siadamy przy oknie, patrzymy na wysepkę, na której rozgościły się kormorany. *Baby-Doll* sennie dzwoni filiżankami z kawą. Dziewczyna jest bardzo piękna. Z wolna poczyną spod tej senności pobłyskiwać. Skończyła szkołę w Waszyngtonie, na uniwersytecie pognała ją na Alaskę, z Alaski „na wakacje” przygnała ją tu – jakieś opętane tysiące mil. Szukała zajęcia przez ogłoszenie w gazecie. Nie zna stenografii, nie umie pisać na maszynie. Kto by ją wziął? Kiedy tu się dostała, w pierwszy wieczór stłukła dużą tacę pełną naczyń. Czy wytrąciła

z pensji? – uśmiecha się w odpowiedzi uśmiechem nieodpartym pięknej dziewczyny, której nikt nie poważy się krzywdzić.

Na zewnątrz zajeżdża auto, z którego wysiada młodzieniec z egzystencjalistyczną bródką, tak zwany bitnik.

– To mój boss – mówi dziewczyna. – Gdzie by taki wytrącił za zbity serwis.

Nie tak tu pusto. Drugi wóz. Lśniący Mercedes, szczyt elegancji w USA.

– To jeden z trzech budowniczych gmachu United Nations – mówi dziewczyna.

Architekt przemierza nas złym spojrzeniem. Prędko wypija swoją „whisky on the rock” („na skale”, tzn. na kawałku lodu bez psucia wodą sodową). Przecie nie może podejrzewać, że go zainteresuje, dlaczego wszystkie sekretarki muszą siedzieć w tym pudełku od sardynek cały dzień przy sztucznym świetle. Po prostu – dojrzał przybyszów, profanów, cemprow, którzy się wdzierają na *Big Sur*. Tu każdy ma być artystą. Nawet chłopak, który coś obłupuje na zewnątrz siekierą, zapuścił bródkę.

– Panowie nie odwiedzają Henry Millera? – pyta dziewczyna.

Henry Miller, pisarz amerykański, lat 68. Jest autorem odważnych oraz trochę skandalicznych społecznie i erotycznie książek beletrystycznych (ale nie powieści): „Zwrotnik Raka”, „Sexus”, „Czarna wiosna”. Bardziej znany zresztą w Paryżu niż w USA. Wielki wróg cywilizacji amerykańskiej. Jest on tu niejako arcykapłanem nie zorganizowanego w żadne formy falansteru niezadowolonych z tego świata, który zasiedla skaliste szczeliny *Big Sur*. Wiodą oni bukoliczny żywot a la Rousseau w domkach o wymyślnych elewacjach.

Przypomina to znakomity „Bunt Bostoński” intelektualistów w tamtym stuleciu, propagujących eskapizm, wyzwolenie się od technologii amerykańskiej.

Na „urlop” od tego prymitywu Miller jeździ do... Paryża. Jeśli już ma być cywilizacja, to francuska, a nie ta USA.

MELCHIOR WAŃKOWICZ

Nr 803, 28 VIII 1960

Adam Wiedemann Dziennik „duszy” (7)

25.01.01 (czwartek)

Z rana do Katariny, Katarina w sukni w słońcu, ja na piramidnym kacu, przez trzy godziny ślęczymy nad poezją Zupana, która wcale mi się nie podoba, może dlatego, że sam Zupan jakiś taki, co to z nim nie pogadasz, bo zbyt wielkie ma zaślugi, Debeljak, prawdę mówiąc, też nie lepszy, ale przynajmniej nie pozuje na jakiegoś hippisa z punkową przeszłością, jest sobie profesorem i zachowuje się jak profesor, przynajmniej mu z tym do twarzy. A ten Zupan w dodatku jaki nudny, jakie stare i mętne te jego metafory i autocelebra w co drugim wierszu, ach skończyłem 34 lata, ach wyjrzy przez okno, czy czasem rzeka z tej okazji nie zmieniła koryta, ach dostałem to mieszkanie od Rady Miasta, ach jestem drugim Hölderlinem, ach niedobrze się robi, jak się to czyta, już nie mówiąc o przygotowywaniu do druku. W pracy przypominam sobie, że mam sprawdzić, które wiersze Sémolice były drukowane w „Czasie Kultury”, żeby ich przypadkiem nie zdublować w „Studium”; ze spoczywającej w beładzie kupy czasopism wyciągam pierwszy lepszy CzK i natychmiast znajduję w nim owe wiersze. A spodziewałem się co najmniej godzinnych poszukiwań. Po południu robię wywiad z Wojtkiem Bo.; Wojtek opowiada, jak mu Katarina dawała antologię poezji polskiej po słoweńsku, specjalnie przednią okładką do dołu, żeby nie zauważył masturbującego się na niej chłopaka, a Wojtek złośliwie odwraca i too, co za świństwo, jak ja to dzieciom pokazać?, świństwo to oni zrobili biednej Katarinie, mówię, jak mogli jej tak popsuć całą radość tym chłopakiem, poezję polską zmieszać z plugawymi



© A. Wiedemann

komiksami, i to kto?, ten głupi Repar, co to w Medanie drzwi do kibla w swoim pokoju nie zauważył i do nas przychodził sikać?

26.01.01

Po spotkaniu z wychowankami pani M. (wbrew szumnym zapowiedziom nie mieli do nas nie tylko pretensji, ale nawet i pytań) Iwonka zaciągnęła mnie na imprezę do swojego brata Krzyska. Krzysiek zrobił dobrą pizzę, ale imprezę miał nudną, naschodziło się jakichś kolegów jego koleżanek, a co jeden to brzydszy. W pewnym momencie coś mnie tknęło i mówię do Iwonki: Idziemy do domu. Nie poszło mi z tym łatwo, bo Iwonka zaczynała się właśnie alkoholowo i tanecznie rozochacać, no, ale wyszliśmy w końcu i nawet udało nam się przebyć całą drogę bez kłótni.

27.01.01

Śni mi się, że Agnieszka Pałac zajada swojego tradycyjnego sandwicza, nagle coś jej w zębach chrzęści, patrzy, a tam zamiast plasterka wieprzowej szynki prawdziwe ludzkie okulary.

28.01.01

Zamiast iść do kościoła, wybrałem się do Centrum Sztuki Japońskiej na wystawę komiksów. W Japonii wszystko jest komiksem, literki są tak podobne do obrazków, a obrazki do literek, że ciężko się połapać, kto mówi, a kto jest mówiony, gdzie się

kończy poeta, a zaczyna wiersz i na odwrót. Bo są tam również komiksy o poetach, a raczej były, bo teraz, no niestety, nie mieliśmy już siły oglądać, co się dzieje teraz, zwłaszcza że wiszący na ścianie komentarz poinformował nas (bo byłem tam z Dorotą Dziunikowską i Skolasem), iż mamy teraz do czynienia z rozkwitem komiksu (w sensie popularności) i jego (w sensie jakości) upadkiem. Jak wszędzie i ze wszystkim; po wystawie strawiliśmy pół dnia na szukanie nowo otwartej knajpy brazylijskiej, aż w końcu trafiliśmy do greckiej, gdzie zaserwowano nam jakieś wyjątkowo niesmaczne potrawy. Zamówiłem zestaw z zupą, bo według karty miał kosztować mniej niż samo drugie danie; przy płaceniu rachunku okazało się wszakże, iż pani kelnerka policzyła mi za zupę osobno, a kiedy zwróciłem jej na to uwagę, stwierdziła:

– Nic pan nie mówił, że chce pan jako zestaw.

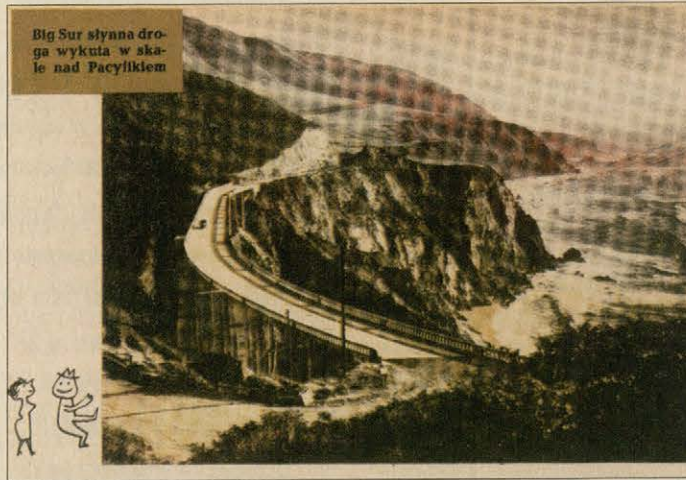
Mimo wszystko wolę komiksy o błogosławionym Stanisławie Kazimierczyku z kościoła Bożego Ciała (stoi tu zaraz, za rogiem), jak to królowa była w ciąży i zachorowała, a błogosławiony Stanisław wymodlił szczęśliwe rozwiązanie (wskutek czego język polski wzbogacił się o popularne do niedawna określenie „stan błogosławiony”) albo jak w czasie pożaru modlitwy bł. Stanisława spowodowały

zmianę kierunku wiatru i zamiast, nie daj Boże, Krakowa spłonął jedynie żydowski Kazimierz. Prawdliwe, dramatyczne historie, zresztą być może wymyśliłem je teraz, na poczekaniu, bo oglądałem te komiksy dziesięć lat temu z Rafałem Kaźmierczakiem i od tej pory już nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby sprawdzić, czy mi się to nie przyśniło, choć kościół stoi tuż-tuż, tu za rogiem.



FOT. BOGDAN KRZEL

ADAM WIEDEMANN
Rocznik 1967. Poeta i prozaik, krytyk literacki i muzyczny, kompozytor i malarz. Autor książek poetyckich („Samczyk”, „Rozrusznik”) i prozatorskich („Wszedobylstwo porządku”, „Sek Pies Brew”). Laureat Nagrody Kościelskich, dwukrotnie nominowany do nagrody NIKE.



z dala było rozeznac, piętrzą się bowiem nad nimi garby potwornych plecaków, na których dodatkowe plecaki, na których plecy, na których kotły, na których...

– U-f-f – stęknął żuk – samiec i siadł.

– No i co? – pytam, jak byśmy kontynuować mieli jakąś rozmowę.

– No i osiadziemy tu – odpowiada, bynajmniej nie zaskoczony.

– To znaczy gdzie, jak i wreszcie – kto?

To znaczy on jest Holendrem. Ona? – Zdaje się, że jeszcze nie miał czasu zapytać, choć się od

Sto jeden? – Między nim a nami jest trzydzieści pięć mil opętanych gór.

Zmotoryzowani pustelnicy

RUSZAMY w drogę na czczo, bo zapłaciliśmy wczoraj, a dzisiaj obeszliliśmy drewniany domek, popukaliśmy w kontuar, przemierzyliśmy się do półek z butelkami, zagrałem na Pleyelu „kotlety”, ale nawet to świętokradztwo nie wywołało żadnej z tajemniczych sióstr – ani muzyczki, ani tej bezpalciej.

Znalazłem jajka, chciałem smażyć, ale Smrodek Dydaktyczny mnie powstrzymał: wszak nam

Serio o kolorach

Słuchajcie, nie jest łatwo. W tym sezonie będziemy mieć orzech do zgryzienia, i to twardy. Postaram się, żeby to był młody orzeszek, bo jednak z tego zamętu propozycji wytłuskamy jakieś główne linie przewodnie.

Nawet są trudności, żeby odpowiedzieć prosto, czy są modne kolory jasne, czy ciemne, zgaszane czy ostre. Czy kolorowe, czy „bez koloru”.

Spoko, spróbuję to jakoś ułożyć. Zacznę od beżu. Jest bardzo modny i to w wersji bardzo jasny beż, właściwie prawie kremowy, potem beż klasyczny typu jasny piasek i beż nieco ciemniejszy, żywy beż. A także ekri i biały – jeśli już jesteśmy przy tych jasnych. Ale też odcień beżowo-różowy, beżowo-cielisty, beżowo-łosiosowy – są to ulubione kolory lat 30. i także zjawily nam się inspiracje, łącznie z sukienką ze skosu, z asymetrią, z ogonem z jednej strony, z paskami na biodrach i długością z przykrytym kolanem. Kolory, które zlewają się trochę z kolorem skóry, to właśnie jest modne. To wygląda czasem trochę liliowato, jeszcze z jasnym makijażem, i taki jest ten styl, takiego zlania się kolorystycznego całości. Może być to nieco trudne dla nas do zaakceptowania. Te kolory lubią materiały miękkie, delikatne, ale i sztywniejsze, nawet takie tzw. kruche, trzeszczące jak gniony papier. Oprócz całości na beżowo, a mogą to być różne odcienie, zestawiamy jasne beże z modnymi pastelami: z lila, niebieskim, jasnozielonym, z różowym – bardzo to jest modne! A jeszcze modniej, jak zestawimy beż z czarnym albo z czerwonym.

A teraz kolory pastelowe: szalona moda na niebieski i różowy. Takie po prostu czyste kolory kojarzące się z pokojem dziecięcym, niebem i infantylną częścią naszej duszy, do której odwołuje się cały nurt designu na ten rok, o czym napiszę osobno. Kolor lila nas nie opuścił ani fioleto od jasnych do ciemnych, które coraz bardziej opanowują umysły projektantów i zupełnie rozsąleją się na najbliższą zimę. Ale mogą też z ręką na notesie (nie na sercu) powiedzieć, że najbardziej modny jest kolor czerwony. Ostry, wściekły i zupełnie nieelegancki, tnący po oczach, płytki jasny kolor w kierunku marchwi i zupełnie inny, głęboki, piękny i dramatyczny – aż do wiśni. Także pomidorowy, pomarańczowy i wiele innych czerwonych odcieni. Czerwienie zestawiają się z beżami i brązami, z khaki. Widać też na lato brązy, śliwki.

I przeskakujemy do zupełnie innej kolorystyki, do zimnej: zielenie i niebieskości, jasne i średnie, turkusy, zieleń trawy – nieco nudna, też nie zapominamy o jasnym fiolecie czy lila, który teraz zestawia się z turkusem, z niebieskim, z jasną zielenią i z oliwką. A niebieski zestawia się z zielonym. Zdążam powoli do największej rewelacji, do grand finału tego felietonu, do niespodzianki, którą zachowałam na koniec: powrót koloru czarnego! „Black is back!” – nie lubię cytatów w obcych językach, ale takie jest hasło: czarny powrócił! Wielka moda na czarny kolor. Czarny u Donny Karan, czarny u Callaghana, u Anny Sui, u Alpha Laurena, u Marca Jacobsa, u Helmuta Langa, u Hugo Bossa, u Gianfranco Ferre, u Anny Molinari, Armaniego, Gucciego, u Prady, Versace i w Hofflandzie. Czarny na różnych szczeblach mody, młodzieżowej i wytwornej.

I kolejna wielka moda: zestawienie czarnego z białym. Ale o tym już przy innej okazji.

Nie ma odwrotu od jasnego beżu.

Ale pantofle i posadzka są z modnej czarno-białej geometrii.

FOT. RAFAŁ STRZELCZAK

DOLAR, czyli POTĘGA PIENIĄDZA

ZNAKI, SYMBOLE, IKONY XX WIEKU (7)

W roku 1518 Stefan hrabia Schlick uzyskał od cesarza patent na wydobywanie srebra i założenie mennicy w czeskim miasteczku Jáchymov (niem. St. Joachimstal). Nowe, srebrne monety zostały oficjalnie uznane jako „grube denary”. Powszechnie nazywano je Joachimsthaler, co wkrótce przekształcono w thaler, czyli talar.

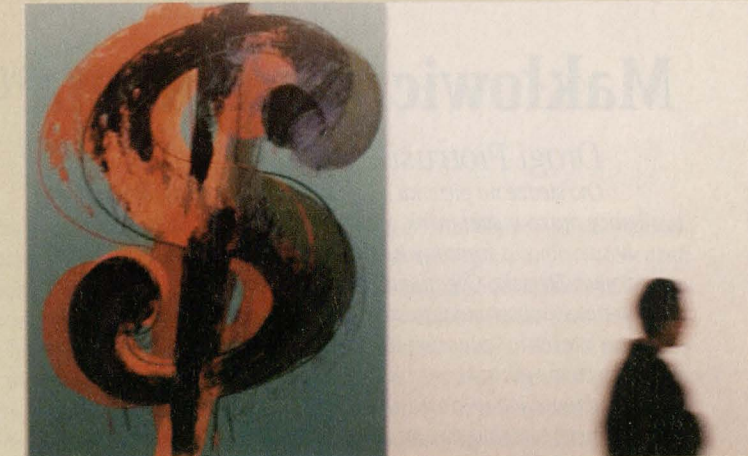
W XVII w. monetę tę bito na terenie całej Europy. Podczas wojny o niepodległość Amerykanie uznali, że muszą stworzyć własną walutę. Zwrócono się do Francji, by nowy pieniądz wzorować i oprzeć na lirze. Francuzi odmówili, poproszono więc Hiszpanów, których taleros roz-powszechniły się w okresie Habsburgów na terenie obu Ameryk. Hiszpańskie cortezy wyraziły zgodę. Po angielsku taleros nazywano dollar.

Istnieją dwie hipotezy tłumaczące genezę symbolu \$. Pierwsza wywodzi go z Hiszpanii. Dwie kreski na literze S symbolizują słupy Herkulesa, na których

spoczywa hiszpańskie godło. Nazywają tę określaną w mitologii greckiej skały wznoszące się po obu stronach Cieśniny Gibraltarskiej – Ceutę i Gibraltar. Przed odkryciem Ameryki były one granicą znanego świata. Według mitu miał je tam ustawić Herkules wracający z wyprawy po trzode Geryona. Według hipotezy amerykańskiej na literę S, pochodzącą od liczby mnogiej (dollars), nałożono U (od US), by odróżnić w zapisie dolar amerykański od innych. Z czasem ludzie nie rozumiejący pochodzenia oznakowania lub wskutek niewyraźnego zapisu zastąpili U dwoma kreskami. By uprościć zapis, symbol zredukowano do jednej kreski.

Pierwszy dolar amerykański został wprowadzony do obiegu w 1794 r. Był kilkakrotnie dewaluowany. Wzmocnienie nastąpiło w latach 80. wraz z rozwojem gospodarczym USA.

W powszechnym obrocie są nominały do 100 \$. Wyemitowano także banknoty 500, 1000, 5000 i 10 000 \$. Jedynie na trzech



banknotach nie ma podobizn prezydentów; na nominale 10 000 \$ widnieje wizerunek Salmona P. Chase'a, sekretarza skarbu, który rozwinął narodowy system bankowy, wprowadzając do obiegu pierwsze banknoty nie oparte na złocie. Waluta ta, zwana greenbacks, była wykorzystana do finansowania Unii w czasie wojny secesyjnej.

Istnieją także 100 tys. i 1 milion używane jedynie przez Federalny System Rezerw i Departament Skarbu. Dolar amerykań-

ski jest jedyną walutą, której wszystkie monety i banknoty od początku narodzin – nawet te wycofane – są w dalszym ciągu prawnym środkiem płatniczym.

Siłę i znaczenie amerykańskiego pieniądza doskonale podkreśla termin „dyplomacja dolarowa”, czyli polityka Waszyngtonu ochraniającego swe różnorakie interesy zagraniczne także przy użyciu pieniędzy w postaci publicznych i prywatnych pożyczek.

ŁUKASZ DZIATKIEWICZ

Rewolucyjne „kabrio”

Alfa Romeo i General Motors starają się o najnowszy projekt znanego designera samochodowego Leonarda Fioravanti.

Auto o nazwie Vola to dwuosobowy roadster zaprezentowany podczas salonu samochodowego w Genewie.

Zainteresowanie koncernów budzą zastosowane w nim rewolucyjne rozwiązania. Samochód można przystosować do zamontowania przedniego lub tylnego napędu. Ciekawym rozwiązaniem jest także sposób sterowania odsuwaniem sztywnym dachem. Dotychczas w kabrioletach składany dach chował się w bagażniku, zajmując miejsce przeznaczone na bagaż. Vola posiada sztywny dach w całości przesuwany do tyłu. Zaletą takiego rozwiązania jest pozostawienie wolnej przestrzeni w bagażniku przy jeździe z odkrytym dachem.

Vola to jeszcze nie pełnowartościowe auto. Nie ma precyzyjnej linii nadwozia ani wystroju wnętrza. Jednak, sądząc po zainteresowaniu producentów, niedługo zobaczymy je na drogach. (SR)



Muzeum pod kloszem

Wewnętrzny dziedziniec Brytyjskiego Muzeum od 1857 roku był zamknięty dla publiczności.

Plac o powierzchni hektara zajmowała stara czytelnia Brytyjskiej Biblioteki. Kiedy w 1997 roku czytelnia przeniosła się do nowej siedziby, minister kultury zlecił architektowi Normanowi Fosterowi przebudowę placu. Foster do zamówienia podszedł z właściwym sobie rozmachem. Dziedziniec przykryła przezroczysta kopuła ze szkła i metalu.

Do jej budowy zużyto 3300 trójkątnych kawałków szkła o wadze 315 ton oraz 478 ton stali. Dzięki kopule muzeum zyskało nową, naturalnie oświetloną przestrzeń wystawienniczą. Chociaż projekt Fostera zyskał przychylną krytykę, nie obyło się bez kontrowersji. Wszystko przez użyty do remontu dziedzińca, sprowadzony z Francji kamień. Jest on nieco jaśniejszy od portlandzkiego kamienia użytego do budowy Muzeum w 1823 roku. (SR)

LISTY PIECZĘTOWANE SOSEM

Makłowicz do Bikonta

Drogi Piotrusiu!

Oto siedzę na piętorku „Cafe Szpilka”. Północny, srogi i nieco obcy mazowiecki mrok otulił plac Trzech Krzyży, chwytając w swe objęcia frontony kamienic mocniej, niż chwycił wraży trykot Zbyszko Cyganiewicz, a ja staram się zjeść bakłażany w cieście, obserwując jednocześnie z niepokojem, czy moje auto nie zmienia właściciela. Bakłażany są co najmniej tak przeciętne jak sukcesy władz Rosji w zwalczaniu alkoholizmu. Kładzenie ich w ciasto wymaga prostego, najwyraźniej nie znanego tu zabiegu: uprzedniego posolenia plasterów oberżyny, by mogły obciec, tracąc gorzkawy soczek (identyczny efekt uzyskuje się, wrzucając plasty na chwileczkę do wrzątku).

Lecz nie o bakłażanach ani nawet o „Szpilce” chciałem Ci napisać, lokal ten posłuży mi jedynie jako egzemplum do ogólnych rozważań nad stołeczną gastronomią. Bo czym jest „Szpilka” – dość sympatycznym miejscem otwartym non stop, z bardzo przeciętnym, niedrogim jedzeniem. I ta skromna okoliczność powoduje, że warszawiaci są „Szpilką” zachwyceni. Czemuż to?! – pytam więc publicznie i głośno, starając się zarazem pozbyć z ust fragmentu bakłażana. Dlaczego dumni mieszkańcy Bemowa Piskiego, Szłuska nad Dolinką, Siekierki czy bezkresnych przestrzeni Ursynowa umiłowali miejsce, które zasługuje jedynie na odrobinę sympatii?

Odpowiedź przychodzi jeszcze szybciej niż feldmarszałek Paskiewicz: w Warszawie brakuje normalnych restauracji dla normalnych ludzi. Najbardziej lubię ten fragment z „Boso, ale w ostrogach” Grzesiuka, gdy autor został zabrany do knajpy przez majstrów. Pyzy z mięsem, flaky z pulpetami, forszmaki, sztufady, śledzie i ocean zmrożonej wódki – na takie przyjemności mógł sobie przed wojną pozwolić każdy, kto miał stałą pracę.

Warszawskiej kuchni już nie ma, bo prawie nie ma warszawiaków, a restauracje w stolicy Mazowsza otwiera się dziś głównie z myślą o rycerzach światowego biznesu, filmowych gwiazdach czy najwybitniejszych synach Pruszkowa lub Wołomina. Nie są to lokale dla księgowych, poetów, asenizatorów, początkujących malarzy, dziennikarzy działów depeszowych, motorniczych, nauczycieli rysunku, listonoszy ani też dzierżawców trafik, nie są to lokale dla tych wszystkich, co raz w tygodniu chcieliby zabrać rodzinę na zrazy z kaszą albo i coś bardziej egzotycznego, nie rujnując przy okazji domowego budżetku, skromnego jak pensjonarka, ucząca się właśnie haftu richelieu. I nad tym boleję, choć, jak wiesz, nie tak znowu bardzo, bo w Warszawie staram się bywać rzadziej niż w Wiedniu.

Załączam ukłony

BOBEK



Bikont po lewej, Makłowicz obok

Bikont do Makłowicza

Robertku,

Ty sobie buszujesz po Warszawie, a ja tymczasem żywię się pod Wawelem. Chodzę, rzecz jasna, głównie Twoim tropem, ale jednak nie tylko. No i słuchaj.

Zdaje sobie doskonale sprawę, że masz powyżej uszu zakopiarzyczyny, że meble z góralskiej Cepelii są niewygodne, ale naprawdę musisz się wybrać do „Gospody u Zdzicha”, gdzie podają to genialne „risotto po góralsku”, za które włoskie jury (z moim udziałem) przyznało w Sheratonie nagrodę w konkursie na właśnie risotto: tarty oscypek zamiast parmezanu, wędzona polędwica zamiast prosciutto i wódka czysta zamiast białego wina – pomysł genialny, bo i, o dziwo, wszystko razem świetnie współgra, a klasyczną włoską technikę obróbki ryżu zachowano jak trzeba. No, a poza tym dają tam świeże karczochy z rusztu!

Natomiast wyraźnie pogorszyło się „Pod Baranem”, gdzie niegdyś tak wesoło nam się biesiadowało: z sześciu kółdunów w rosole tylko jeden nie był rozwalony i już to samo dyskwalifikuje kucharza. Poza tym mam wrażenie, że od zeszłego roku wyraźnie podrożało.

Ściskam Cię serdecznie wpół i radzę mieć „Zdzicha” na względzie

– Twój objedzony kompan

Piotr

Ciao POMIDORY - suszone

Im człowiek robi się starszy, tym prostszych poczyną łaknąć przyjemności.

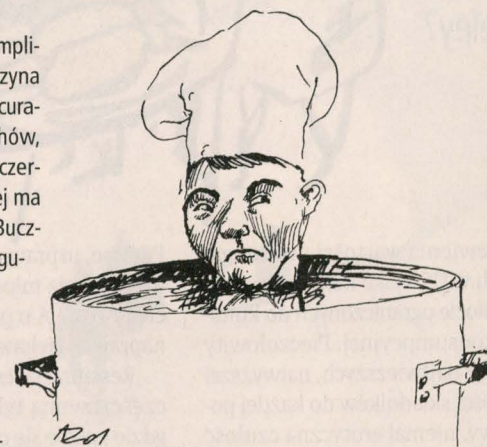
Słuchanie jedynie utworów dodekafonicznych, ślepe uwielbienie dla powieści napisanych metodą strumienia świadomości, zamiłowanie do nadmiernie wzorzystych tkanin i wieloskładnikowych alkoholowych koktajli, bezgraniczna pogarda dla impresjonistów, malarzkiej szkoły monachijskiej czy osiągnięć wokalnych Adriano Cellentano – to wszystko przeważnie mija z wiekiem, mija szczęśliwie niczym ospa wietrzna.

Bo z wiekiem zanika skłonność do komplikacji. Kieliszek porządnej śliwowicy zaczyna wygrywać z mieszaniną angostury, blue curacao, wermutu, wódki, likieru z karczochów, soku z limetek wraz z odrobiną soku z czerwonych sycylijskich pomarańczy, częściej ma się ochotę na Chandlera niż Leopolda Buczkowskiego i bardziej łaknie świeżych langustrynek z rusztu, upieczonych bez żadnych przypraw niż befsztyka à la Chateaubriand, podawanego obowiązkowo z sosem béarnaise.

Zaczynam to obserwować u siebie. Jeszcze lubię kolacje w wykwinnych restauracjach, gdzie kwilenie kwartetów smyczkowych i skrzyp skórzanych podeszew kelnerskiej braci ma jedynie podkreślać dyskusje o wyższości chardonnay z Nowego Świata, upadku chianti, wytwarzanych tradycyjnymi metodami czy różnicach smakowych pomiędzy trufkami z Alby i Périgord. Jeszcze lubię, gdy ober przygląda się uważnie kolorom mych kart kredytowych, a pikolak skacze po obcinarkę i drewienka do cygar, ale coraz częściej ciągnie mnie do innych miejsc. Takich, gdzie je się na stojąco lub przy stołach nakrytych ceratą, gdzie puste muszle i niedopałki rzucane można na wysypianą trocinami podłogę, gdzie podaje się domowe wino i także destylaty, a jadłospisu nie wydrukowano na kredowym papierze, lecz codziennie wypisuje się go kredą na tablicy. I nie znajdziecie w nim homara à la Thermidor albo tournedos à la Rossini. Odnajdziecie za to kulinarną prawdę o odwiedzonym kraju.

Ja tak poznałem Włochy. Ileż bezpretenjonalnych trattorii, a w nich własnego wyro-

bu grappa, wina z najbliższej okolicy, domowe wędliny, przetwory, ileż najprostszego piękna. A w jego środku suszone na słońcu, a potem marynowane w oliwie pomidory. I ile wzruszeń, gdy coś z tych rzeczy odnaleźć potem można w swej północnej ojczyźnie. Suszone pomidory, na przykład, których pełne słoiki odkryłem nie tak dawno w polskich sklepach.



Suszone pomidory to wielkie odkrycie kulinarne, i właśnie z gatunku tych najoczywistszych. Małe, podłużne (najlepiej, gdy są odmiany marzano) masowo wystawia się na słońce w południowych Włoszech i Grecji, a proces ich suszenia podobny jest naszemu procederowi suszenia grzybów. Efekty smakowe też da się porównać – pozbawione wody niezwykle kondensują swój smak, a przecież podobnie rzecz ma się z prawdziwkami. Co więcej – nieprzywykłe podniebienia, kosztując po raz pierwszy takich pomidorów, często myślą je z grzybami, a i wytrawni zjadacze odnajdują w pomodori secchi delikatny, jakby grzybowy aromat.

Pomidory te sprzedaje się w postaci naturalnej na wagę bądź w przetworach. Do nas docierają jedynie w oliwie, aromatyzowanej ziołami (produkt firmy Cirio, słoik kosztuje

ok. 15 zł, a cena zależy od sklepu i miasta). Nie trzeba wielogodzinnych posiedzeń w kuchni, lektur dzieł Curnonsky'ego lub studiów nad spuścizną Brillat-Savarina, by za pomocą wnętrza takiego słoiczka zrobić coś kapitalnego. Wystarczy mieć jeszcze kilkanaście plasterków szynki parmeńskiej albo szynki z San Daniele, kulkę mozzarelli, garść ugotowanej fasolki borlotti, kilka kropel octu balsamicznego z Modeny i łyżkę tokańskiej lub umbryjskiej oliwy i odrobinę wyobraźni, by wszystko ładnie ułożyć na dużym talerzu. Na ciepło z suszonych pomidorów jeszcze łatwiej coś zrobić. Wystarczy je przesiekać, lekko poddusić na dobrej oliwie z odrobiną czosnku i wymieszać z ugotowanym al dente spaghetti, posypawszy wszystko świeżo startym parmezanem (albo – o co w Polsce łatwiej – serem Grana Padano).

Sam oddaję się ostatnio takim praktykom. Najpierw gotuję polentę, czyli kaszę kukurydzianą. Cały czas mieszając, gotuję ją w osolonym wrzątku, aż bardzo zgęstnieje, zachowując jednak lekko płynną konsystencję. Wówczas wylewam ją na zmoczoną deskę i nożem nadaję grubość palca. Polenta po ostygnięciu tężeje. Wtedy trzeba ją pokroić w kawałki (najlepiej zrobić to nitką) i przesmażyć z obu stron na maśle do zrumienienia. Tymczasem siekam suszone pomidory, na oliwie podsmażam całe ząbki czosnku (w łupkach, łupki są bardzo aromatyczne) i kilka igiełek rozmarynu, potem wyjmuję, bo oliwa ma tylko przejść smakiem czosnku z rozmarynem. Na patelni wrzucam posiekane pomidory, wlewam trochę oliwy, w której się marynowały, dodaję odrobinę świeżego masła, a gdy się rozpuści, polewam tym przysmażone plasty polenty. Jeszcze trochę parmezanu i szczęście samo puka do drzwi. I myślę, że nie trzeba siwych skroni, by je docenić. Młodzi też czasem oddają się rzeczom prostym, zatem i jej radziłbym raczej eksperymenty z suszonymi pomidorami niż na przykład lekturę dzieł wszystkich Marka Hłaski.

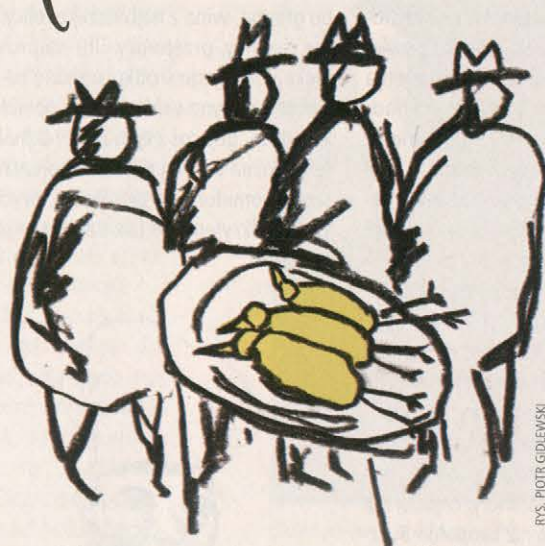
ROBERT MAKŁOWICZ



TADEUSZ PIÓRO
Największy poeta kuchni
i najlepszy kucharz poezji.
Na deser – tłumacz i redaktor.
Czterdziestolatek.

Erotyczna czułość kucharza

Słyszałem, że w niektórych restauracjach francuskich ortolany podaje się tylko mężczyznom. A jak było w amerykańskim uniwersyteckim Berkeley?



RYŚ. PIOTR GIDLEWSKI

dwadzieścia lat temu w kuchni amerykańskiej nastąpiła rewolucyjna zmiana. Polegała ona na popularyzacji dań i sposobów konsumpcji dotychczas uznawanych za elitarne, bądź co najmniej frymuśne.

Jednym z najważniejszych siedlisk gastronomicznych radykałów było Berkeley, a konkretnie – restauracja Chez Panisse. Jej właścicielka, Alice Waters, oczarowana kulturą Prowansji, starała się odtwarzać tamtejsze potrawy, modyfikując je lokalnymi składnikami kalifornijskimi. Pragnęła zarazem używać gastronomii do

krzewienia wartości postrzeganych w USA jako kulturowe, choć w istocie ograniczonych do kultury konsumpcyjnej. Pieczołowity dobór najświeższych, najwyższej jakości składników do każdej potrawy, niemal erotyczna czułość w przygotowywaniu dań, nieledwie seksualne poczucie satysfakcji z solidnego kucharzenia – wszystko to jawi się w książkach, artykułach i wyrazie twarzy biesiadników z tamtego okresu.

Fakt, że już nazajutrz po przybyciu do Berkeley na studia doktoranckie poszedłem nie na uniwersytet, lecz do restauracji Chez

Panisse, usprawiedliwi, mam nadzieję, moja młodość i kulinarna ciekawość. A u pani Waters było naprawdę ciekawie.

Restauracja jest podzielona na część czynną tylko wieczorem, gdzie podaje się co dzień tylko jeden, z góry ustalony zestaw dań oraz bistro-kawiarnię, czynną od południa, z większym wyborem potraw. Trudno było zarezerwować stolik w części wieczorowej, głównie dlatego, że jest niewielka, a chętnych sporo, i to z całej Ameryki. Przed wejściem wisiał jadłospis na każdy dzień danego tygodnia, i przechodząc koło Chez Pa-

nisse, sprawdzałem, czym będą delectować się dość wpływowi i możni szczęśliwcy podczas kolacji. Menu było zawsze ciekawe, lecz nie figurowało w nim nic, czego nie mógłbym skosztować gdzie indziej, zapewne taniej i bez potrzeby podejmowania szeroko zakrojonych działań organizacyjnych. Aż pewnego dnia ujrzałem, że w najbliższy piątek będą ortolany – a z tego zrezygnować nie mogłem.

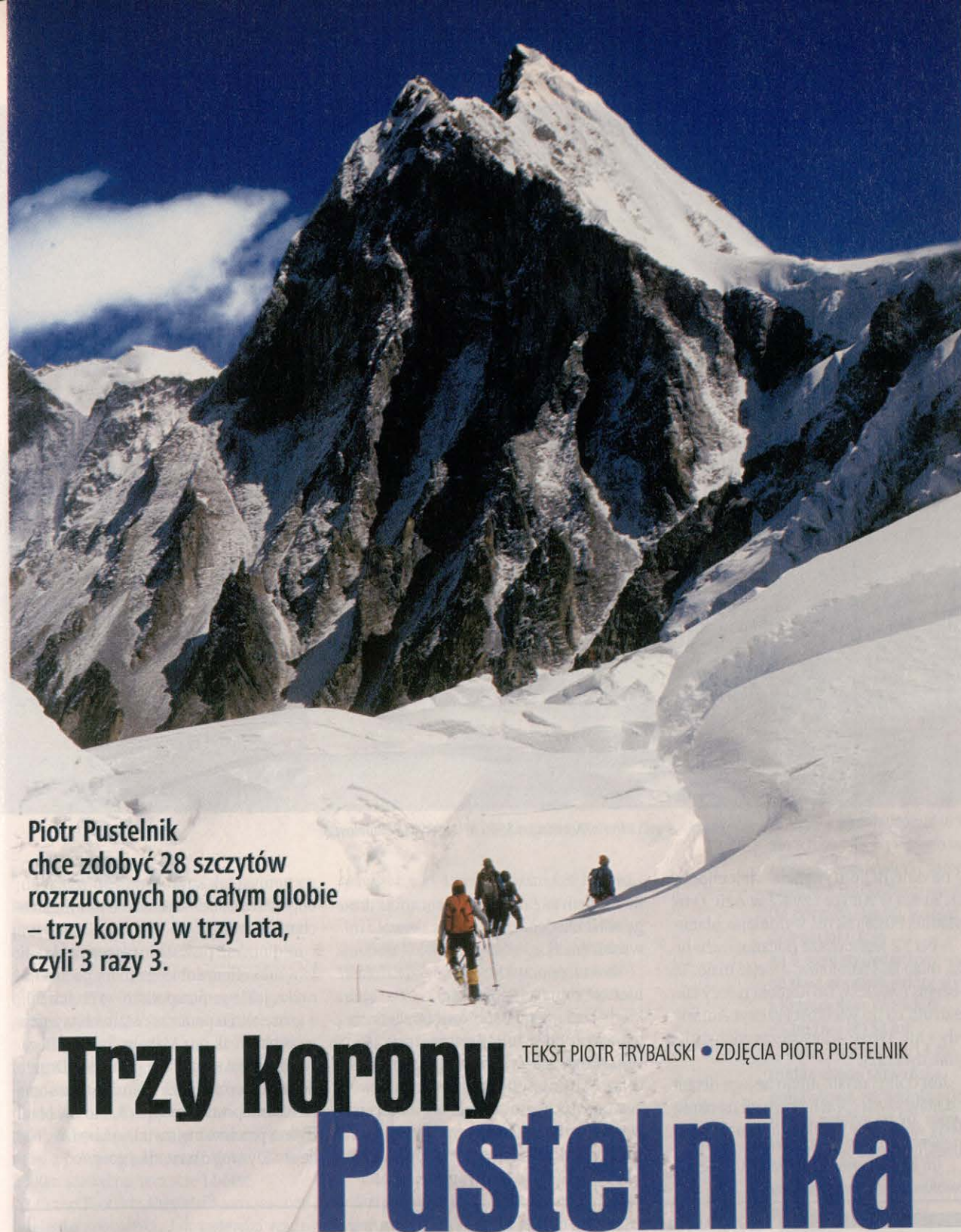
Oczywiście, ciekaw byłem smaku tych ptaszynek, lecz jeszcze bardziej – towarzyszącemu im rytuałowi, ponieważ słyszałem, że w niektórych restauracjach francuskich ortolany podaje się tylko mężczyznom. Zanim jednak zaczęną jeść, kelner obwiązuje im szczęki serwetą tak, aby chrupanie kości nie drażniło pań. (Ortolany mają kości tak miękkie i drobne, że po upieczeniu można je gryźć i połykać). Nie mogąc przepuścić takiej okazji, skorzystałem z dosyć wysokiej, jak na tamtejsze stosunki, protekcji i zostałem wpisany na listę klientów z rezerwacjami. Piątego października roku 1985, w towarzystwie wysokiej blondynki oraz butelki chateau latour – w tamtych czasach przynoszenie własnego wina do restauracji było zwyczajowe – zasiadłem przy stoliku w dolnej, wieczorowej części Chez Panisse.

Podano pięć dań, w tym zupę pomidorową (ze świeżych pomidorów, ze słodką śmietaną i ślimakami), i wszystko było bardzo dobre. Lecz na moje pytanie o serwetę oraz to, co moja towarzyszka dostanie zamiast ortolanów, zaimputowano mi narkotyczne odurzenie. Co kraj, to obyczaj.

Ortolany były pieczone na ruszcie, i zamiast zapowiadanej w menu polenty, pojawiły się w asyście placek ziemniaczanych (obok przepisu). Na deser mieliśmy jesienne, kalifornijskie poziomki. ■

PLACKI ZIEMNIACZANE Z CHEZ PANISSE

Kilogram ziemniaków obrać i utrzeć dosyć grubo (jak jarzynę). Oplukać, ale nie moczyć w wodzie. Odcisnąć, osuszyć i podzielić na sześć części. Każdą z osobna wrzucić na gorący tłuszcz (pani Waters używa w tym przepisie około 250 gramów masła), mocno ugniatając łopatką tak, aby placek był płaski, a brzegi nie zawijały się do góry. Brzegi należy smarować tłuszczem w czasie smażenia, żeby się nie przypaliły, zanim nie będzie gotowa reszta placka. Kiedy placek ujednolici swą konsystencję na tyle, aby można było unieść go na łyżeczce, a nie na łyżce, przetrząsnąć nim tam i z powrotem, niczym krupier kartą do gry – a zajmie to około trzech minut – należy go przewrócić na drugą stronę i ponownie opisać zabiegi. Można zastąpić połowę ziemniaków w tym przepisie cukinią. Wiele zależy od rodzaju ziemniaków, ich konsystencji oraz wieku. Jedyną metodą jest w tym przypadku metoda prób i błędów. Tak jak z polentą – lecz o niej innym razem.



Piotr Pustelnik
chce zdobyć 28 szczytów
rozrzutych po całym globie
– trzy korony w trzy lata,
czyli 3 razy 3.

Trzy korony Pustelnika

TEKST PIOTR TRYBAŁSKI • ZDJĘCIA PIOTR PUSTELNIK

Pierwsza korona jest chyba najbardziej pożądana i zarazem najtrudniejsza. Korona Himalajów to 14 ośmiotysięczników Himalajów. Pierwszym człowiekiem i jednocześnie jednym z siedmiu, któremu udało się zdobyć wszystkie, jest Reinhold Messner, legenda światowego alpinizmu. Z Polaków dokonali tego jedynie Jerzy Kukuczka i Krzysztof Wielicki. Pustelnik ma na koncie 9 ośmiotysięcz-

ników. Ostatni z nich, Lhotse, zdobył w maju ub. roku.

Korona Ziemi – to drugie zadanie Pustelnika. Tym mianem określa się siedem najwyższych szczytów wszystkich kontynentów. Pustelnik ma za sobą większość wejść. Pozostają najbardziej kosztowne, związane z utrudnionym dotarciem w okolice szczytu, jak na przykład Mt. Vinson na Antarktydzie. Bowiem największe trudności w zdobywaniu Korony

Ziemi związane są z finansami. Góry – porzucane po całym świecie – w zasadzie nie nastroczają dużych trudności technicznych. Oczywiście są wyjątki od tej reguły, choćby Mount Everest czy Aconcagua.

Trzecia korona, a właściwie Koronka Ziemi, to drugie co do wielkości szczyty wszystkich kontynentów. Pod subtelnie brzmiącą nazwą kryją się jednak wyzwania, które trudnościami technicznymi przewyższają niekiedy najwyższe szczy-



Aconcagua 6960 m (Ameryka Południowa)

ty na danym kontynencie – jak choćby Mt. Kenia w Afryce czy K2 w Azji. O tej ostatniej Pustelnik ma wyrobione zdanie:

– Na K2 jest zawsze tłoczno; dużo ludzi, dużo lin i namiotów, a wejść mało. To o czymś świadczy. Do Koronki należy także drugi co do wielkości szczyt Antarktydy – Mt. Tyrree – dotychczas zdobyty jedynie dwa razy.

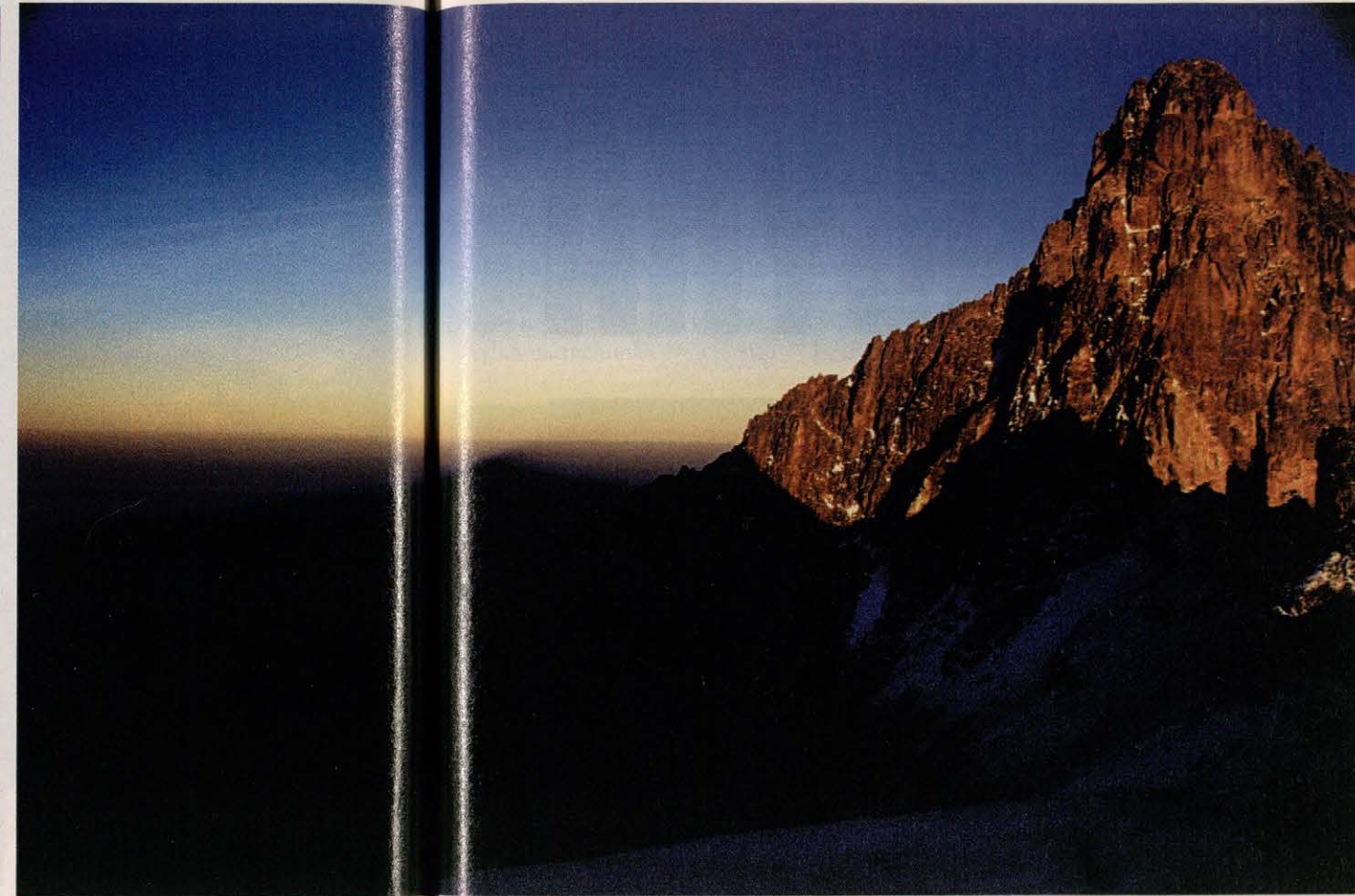
Jest dobrej myśli, mimo że jego debiut w najwyższych górach przypadł na okres, kiedy złote lata polskiego himalaizmu mieliśmy już za sobą.

– W 1989 roku miałem 39 lat, wszystko robiłem za późno, mogłem sobie drogę w Himalaje skrócić, ale brakowało mi wyobraźni – twierdzi.

Ten niepoprawny optymistą, zamiast ułatwić sobie zadanie, sam rzuca sobie kłody pod nogi. Postanowił bowiem, że trzy Korony zdobędzie w trzy lata. Wprawdzie ma za sobą większość wejść, w tym 9 ośmiotysięczników, jednak wezwanie, jakie stoi przed wspinaczem, wprawia w osłupienie nawet wytrawnych alpinistów. Kiedy zapytałem go, jak wpadł

na pomysł tak karkołomnego wyczynu, odpowiedział bez zastanowienia i z uśmiechem na twarzy:

– Pomysł powstał wówczas, kiedy uświadomiłem sobie, że mam pecha. Porażki, jakie mnie spotkały w latach 90., a szczególnie podczas ostatnich wypraw na Broad Peak i na Makalu, zaczęły negatywnie działać na moją psychikę. Doszło do takich sytuacji, że tłumaczyłem sobie na różne sposoby mój pech. I to był błąd. Byłem przekonany, że tak już będzie. Nie dam rady wejść na żadną górę.



Mt. Kenia 5199 m (Koronka Ziemi, Afryka)

Podczas ostatniej wyprawy na Lhotse nastąpił w karierze Pustelnika znaczący przełom. Była to wyprawa, która odwróciła złą passę wspinacza. Kiedy alpinści doszli do jednego z miejsc, w którym mieli założyć obóz, okazało się, że sprzęt gdzieś zniknął. Wszystko zasypał śnieg.

– Pomyślałem wówczas, że to właśnie ten pech, który prześladowa mnie od lat – mówi Pustelnik. – Powiedziałem wtedy do siebie: „Kurwa mać, tak nie może być”. Wrócił ponownie do bazy i przyniósł z powrotem sprzęt do góry. 15 maja 2000 r. stanął na szczycie Lhotse.

Przed Piotrem Pustelnikiem jeszcze wiele do zrobienia. Jak twierdzi wspinacz: – Pozostała w zasadzie sama ekstraklasa, to nie dodaje optymizmu. – W marcu wybiera się na Kangczendzongę. Nie będzie to łatwa wspinaczka. Nie ukrywa, że obawia się tej góry. W historii polskiego himalaizmu Kangczendzonga została zdobyta tylko raz zimą 1986 roku. Na szczycie stanęli wówczas Krzysztof Wielicki i Jerzy Kukuczka.

– Przed Kangczendzongą czuję wielki respekt. To bardzo trudna góra. Sam fakt, że nie miała nawet letniego przejścia polskiego, o czymś świadczy – mówi Pustel-

nik. W maju 1992 r. w drodze na ten szczyt zaginęła Wanda Rutkiewicz.

W czerwcu tego roku Piotr Pustelnik spróbuje kolejny raz wejść na Broad Peak. Wcześniejsze próby zdobycia tego ośmiotysięcznika mało co nie zakończyły się tragicznie dla wspinacza. W czasie zjazdu pękła lina poręczowa i Piotr w błyskawicznym tempie zaczął ześlizgiwać się w dół, w kierunku przepaści. W ostatnim momencie, resztkami sił zdołał się zatrzymać. Z opresji wyszedł wprawdzie obronną ręką, jednak okupił to ciężką kontuzją nóg.

Pustelnik nigdy nie chciał powtarzać sukcesów wielkich polskiego himalaizmu – Kukuczki, Rutkiewicz czy Wielickiego, dlatego nigdy nie naśladował ścieżki ich himalajskich sukcesów. Swoją oryginalny program zdobywania najwyższych szczytów Ziemi stworzył na własny użytek, aby w pełni zrealizować swoje marzenia i ambicje. To ekstremalne wyzwanie, któremu nie sprostał dotychczas żaden człowiek.

– Plan, który przyjąłem, jest wart zrealizowania i nie krępuje mnie, że jest on próżny i zuchwały. Niech sobie taki będzie – twierdzi Pustelnik. – Kto nie dąży do rzeczy niemożliwych, nigdy ich nie osiągnie – dodaje.



PIOTR PUSTELNIK,

dr nauk technicznych, pracownik łódzkiej Politechniki, wspiną się od 1975 r. Pierwsze szlify w górach wysokich zdobywał w połowie lat 80. W indyjskich Himalajach Kaszmiru wspinął się wówczas na sześciotysięczne szczyty.

W 1990 r. zadebiutował w najwyższych górach świata – w czasie wyprawy z Wandą Rutkiewicz – samotnym wejściem na Gasherbrum II (8037 m). Od początku lat 90. wspiął się w sumie dziesięciokrotnie na 9 ośmiotysięczników – w tym na dwa w czasie jednej wyprawy z Krzysztofem Wielickim – Cho Oyu (8153 m)

i Shisha Pangma (8013 m), powtarzając trudną drogę słoweńską południowo-zachodnią ścianą. Druga połowa lat 90. zaowocowała wejściami na najtrudniejsze szczyty: Mount Everest (8848 m) wraz z Ryszardem Pawłowskim, od tybetańskiej strony, i K2 (8611 m) północnym filarem. Ostatnie lata to – nieudane wejścia na Broad Peak (8047 m, dwie próby) i Makalu (8481 m).

Rok dwutysięczny przyniósł przełom: udane wejścia na Aconcagua i Ojos del Salado (6880 m) w Ameryce Południowej i w końcu udany atak na Lhotse (8511 m) w maju i zakończenie sezonu na najwyższym szczycie Afryki – Kilimandżaro (5895 m).

HARMONOGRAM PROJEKTU „3 RAZY 3”

Rok 2001

LUTY: Monte Rosa – 4634 m (Koronka Ziemi, Europa)

MARZEC–MAJ: Kangczendzonga – 8598 m (Korona Himalajów)

CZERWIEC: Broad Peak – 8047 m (Korona Himalajów)

Rok 2002

LUTY: Mt. Kenia 5199 m (Korona Ziemi, Afryka)

MARZEC–MAJ: Makalu – 8481 m (Korona Himalajów)

CZERWIEC: Mt. Logan – 6050 m (Koronka Ziemi, Ameryka Północna)

WRZESIEŃ: Carstenz Pyramid – 5014 m i Ngga Pullu – 4876 m (Korona i Koronka Ziemi, Oceania)

Rok 2003

MARZEC–MAJ: Annapurna – 8091 m i Manaslu – 8126 m (Korona Himalajów)

LISTOPAD–GRUDZIEŃ: Mt. Vinson – 5140 m i Mt. Tyrree (Korona i Koronka Ziemi, Antarktyda)



K2 8611 m (Karakorum)

Nakarmić PAJACYKA

Codziennie
pracę zaczynam
od kliknięcia
w pusty brzusek
pajacyka.
Jest smutny,
bo jest głodny.
Kliknięcie
w brzusek
– pajacyk
podskakuje
i się uśmiecha.

To nic nie kosztuje. Od kilku-nastu dni działa internetowa Polska Strona Głodu: www.pajacyk.pl. Wystarczy raz dziennie ją otworzyć. Klikając w brzusek pajacyka, wchodzi się na stronę z bannerami sponsorów. To oni płacą – 5 groszy za każdą odsłonę. Polska Strona Głodu wspiera Akcję „Pajacyk”, której celem jest finansowanie ciepłych posiłków w szkołach. W tym roku szkolnym dożywianych jest 419 dzieci w woj. kujawsko-pomorskim, 974 – w małopolskim, 642 – w podkarpackim, 1561 – w warmińsko-mazurskim, 167 – w lubelskim i 70 – w opolskim.

Na stronie czytamy: „Wystarczy 2,5 zł, żeby zapewnić dziecku jeden ciepły posiłek. Wpłacając 500 zł, można sfinansować dożywianie jednego dziecka przez cały rok szkolny!”.

Dla kogo pomoc?

Wszystko zaczęło się we wrześniu 1998 r. w szkołach północno-wschodniej Polski. Polska Akcja Humanitarna wybrała region znany od lat jako wschodnia ściana płaczu; o największej skali bezrobocia i biedy. Wcześniej jednak przeprowadzono odpowiednią analizę społeczną i gospodarczą. Potem „Pajacyk” dotarł do kilku miejscowości na Podkarpaciu. Większość tamtejszych rejonów to pozostałości po pegerach, gdzie bezrobocie sięga nawet 50 proc.

Pomoc dociera do tych dzieci, które ze względu na trudną sytuację materialną powinny otrzymywać bezpłatne posiłki w szkole, a nie mogą liczyć na pomoc gminy lub ośrodków pomocy społecznej. PAH pomaga też tym dzieciom, w rodzinach których



POLSKA AKCJA HUMANITARNA
NR KONTA: WBK I O/Toruń 10901506-6800

dochód na głowę przekracza o kilka złotych minimalne uposażenie, dlatego nie podlegają one pomocy OPS.

Szkoły, które chcą znaleźć się w programie dożywiania (Akcja „Pajacyk”), wypełniają odpowiednią ankietę (można wziąć ją z biura PAH albo wydrukować z Internetu: www.pah.ngo.pl/pol_doz_inf.htm) oraz tworzą listę dzieci, które potrzebują pomocy. Po przeanalizowaniu zgło-

szeń Polska Akcja Humanitarna wysyła tam swoich pracowników, którzy przeprowadzają wywiady z dyrekcją, rodzicami, miejscowym Ośrodkiem Pomocy Społecznej i odpowiednim kuratorem. Dopiero na tej podstawie szkoła zostaje włączona do programu dożywiania.

Jednym ze źródeł finansowania akcji jest Polska Strona Głodu. Dlatego właśnie warto kliknąć w brzusek pajacyka

(www.pajacyk.pl). Pieniądze uzyskane od sponsorów Polska Akcja Humanitarna przeznacza na obiady dla dzieci.

Pieniądze dla szkół objętych akcją przekazywane są w trzymiesięcznych transzach. Żywność na obiady można kupować tylko na rachunki. Na miesiąc



przed otrzymaniem kolejnej dotacji szkoła musi rozliczyć się z wydatków.

Dobroczynny Internet

Polska Strona Głodu wzorowana jest na istniejącej od dwóch lat stronie międzynarodowej. Na pomysł stworzenia takiej strony wpadł pewien Amerykanin, który chciał wykorzystać siłę i zasięg Internetu do celów dobroczynnych. Po czterech miesiącach Stronę Głodu odwiedzało miesięcznie milion gości. W tej chwili jej właścicielem jest GreaterGood.com.

Po nakarmieniu polskiego pajacyka (klikając w odpowiedni link), można zapisać się do jego wirtualnego klubu. Czekają tam wiele prezentów: tapety, wygaszacz ekranu, pocztówki, a nawet gry. Ponadto można startować w licznych konkursach i czatować z osobami związanymi z akcją.

Ci, którzy chcą pomóc w inny sposób niż klikanie w brzusek pajacyka, też znajdą odpowiednie informacje. Wystarczy kliknąć: „Jak możesz pomóc?”. A można,

umieszczając banner Akcji „Pajacyk” na swojej stronie, biorąc pod opiekę jedno potrzebujące dziecko, wpłacając na „Pajacyka” przez Internet albo... tankując paliwo na stacjach BP. O szczegółach – już na Polskiej Stronie Głodu (www.pajacyk.pl/pomoc.htm). Ci, którzy mogą i chcą zostać sponsorami kolejnych obiadów, także dowiedzą się, jak to zrobić. Wystarczy, że wpiszą: www.pajacyk.pl/sponsor.htm. Znajdą tam m.in. szczegółowe informacje o sposobach zawierania umów oraz cennik. Adres www.pajacyk@pah.ngo.pl jest zarezerwowany właśnie dla zainteresowanych sponsorowaniem Akcji „Pajacyk”.

Jeśli ktoś jest ciekawy, ile pieniędzy „Pajacyk” już zebrał, może to sprawdzić, klikając w odpowiedni link. Dane uzupełniane są każdego dnia. Czwartego marca pajacyka nakarmiło 7258 osób, w ten sposób zebrano 725,80 zł, co pozwoliło wydać 290 obiadów.

Znalazła się hiena

Jak to zwykle bywa, tam gdzie jedni pomagają, inni na tym żerują. W aktualnościach Polskiej Strony Głodu pojawiła się informacja o pajacykowym oszustwie: „Polska Akcja Humanitarna ostrzega przed bezczelnym typem, który rozsyła e-mailem informacje o akcji dożywiania – Pajacyk, podając jakoby numer konta PAH w Banku Śląskim. PAH informuje, że „nie posiada konta w Banku Śląskim”.

Z Polskiej Strony Głodu bardzo łatwo przechodzi się na stronę Polskiej Akcji Humanitarnej (www.pah.pl). Tam są wszelkie informacje o biurach, misjach, akcjach, apele o pomoc. Czasem oskarżamy Internet, że jest śmietnikiem pełnym niepotrzebnych informacji, miejscem niepoważnych dyskusji i niewybrednych zabaw. Okazuje się raz jeszcze, że strony internetowe mogą służyć bardzo poważnym i pożytecznym inicjatywom.

AGNIESZKA WRZESIEŃ

KSIEGA REKORDÓW KRUPOWEJ

Na stronie tej umieszczone są „rekordy” schroniska na Hali Krupowej, np. takie: najniższa temperatura – minus 24 st.; najwyższa – plus 26 st. Najgrubsza pokrywa śniegu – 2 metry. Najmłodszy turysta

– 3 miesiące, najstarszy – 86 lat. Największe zamówienie: 1000 smażonych kielbas i 500 bigosów. Najwięcej gości równocześnie: ok. 800 osób (w 1991 r.). Najkrótszy czas podejścia do schroniska: 40 minut, czarnym szlakiem (przeciętnie: 1,15 godz.). Najpóźniejsze opady śniegu: lipiec '92. Najwcześniejsze: wrzesień '92. Najmłodsze „stażem” małżeństwo w schronisku: dwa dni po ślubie.
<http://www.krupowa.topnet.pl>



AMERYKA W ZDJĘCIACH

Skrócona historia Ameryki, zawarta w najstarszych zdjęciach. Nasza fotograficzna podróż rozpoczyna się w 1860 r., połówkami dagerotypami. Prześliczne panny z Południa, w długich białych sukniach,

jak Scarlett O'Hara, pogrzeb prezydenta Lincolna, Nowy Jork z błotnistą ulicą, wypełnioną powozami, mnóstwo zdjęć Indian, pokonani Apacze zebrzący o żywność u rządowego agenta, pierwsze pociągi mknące przez Dzikie Zachód. Lepsze niż kino, słowo daję.

<http://photographymuseum.com/worlds.html>

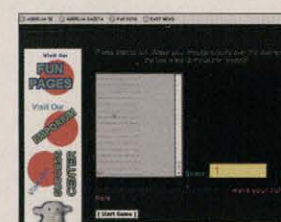


SŁOWNICZEK UŚMIECHÓW

Z dwóch powodów szalenie praktyczne: po pierwsze – jest to najkrótszy słowniczek niemal wszystkich emotikonów,

czyli symboli graficznych, oznaczających w Internecie uśmiech, szczerę, sarkastyczny, smutny, złość, obrazę, gniew, wyznaczenie przyjaźni i tym podobne. Drugi powód – to fakt, że cały słowniczek jest po angielsku i biorąc do ręki „normalny” słownik angielsko-polski, nauczymy się, przy okazji, parudziesięciu pożytecznych słów. Keep smiling!

<http://www.datacomm.ch/silver/smile2.htm>



NUDZISZ SIĘ?

Zagraj sobie w ping-ponga pod warunkiem, że masz stałe łącze (drogie impulsy) lub szef w pracy nie patrzy, co właściwie robisz w tym Internecie. Pole do gry i twoja rakieta zrobione są

w systemie html – kreseczki, kropczki itp. Poćwiczysz trochę refleks, odprężysz się.

<http://www.aardvarkusa.com/fun/ping.htm>

(TER)

Niezdrowe

loty

Latanie samolotem nie wszystkim wychodzi na zdrowie. Wielogodzinny bezruch, niedotlenienie organizmu, często odwodnienie – zaostrzają przebieg chorób, a nawet powodują śmierć. Przeczytaj, zanim wsiądziesz do boeinga.

Coraz częściej latamy samolotami. Na wakacje i do pracy. Biznesmeni przemierzają świat wzdłuż i wszerz. Sportowcy również. Ostatnio trudno było nadążyć za Adamem Małyszem, który dziś skakał w Europie, za kilka dni w Ameryce, potem w Japonii, i znów w Europie.

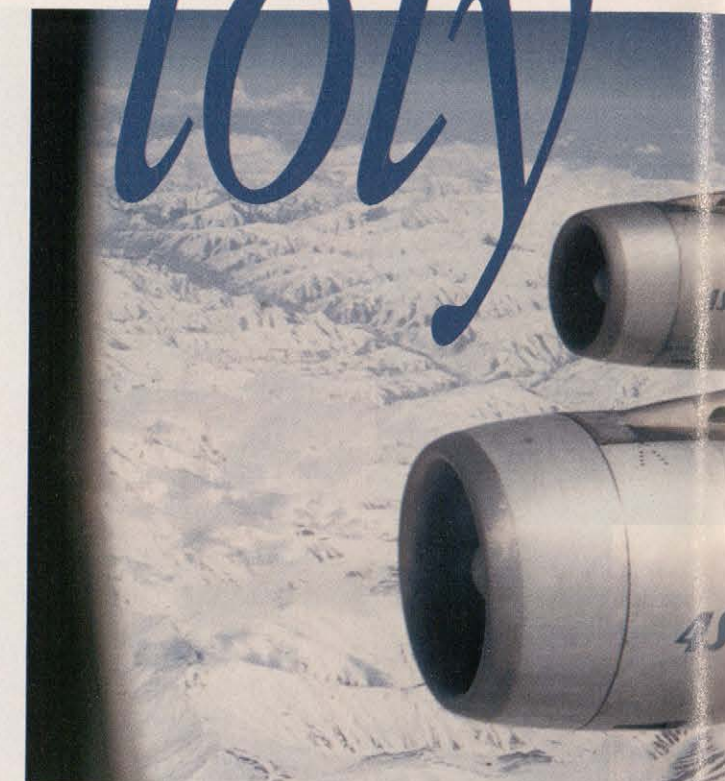
Małysz nie ma jednak powodu do obaw. Jest młody. Zdrowy. Nie jest też wielkoludem. Bo osoby mierzące powyżej 185 cm mogą mieć problemy. Po kilku godzinach siedzenia w pozycji, w której trudno wyprostować nogi – może dojść do zakrzepicy żył głębokich. Krawędź fotela lotniczego, uciskając na tylną powierzchnię podudzia, może spowodować zastój krwi w nogach. Pierwszy zaobserwował to u siebie 54-letni

doktor, John Homans, po locie z Bostonu do Wenezueli. A było to w latach 60.

Seniorzy na pokładzie

Dwudzieste stulecie wydłużyło nam życie średnio o 30 lat. Przy sprzedaży biletów lotniczych nikt jednak nikogo o wiek nie pyta. Ani o zdrowie. W samolotach pełno więc ludzi, których organizm nie jest sprawny.

W trakcie wielogodzinnej podróży może więc dojść do zaostrzenia niektórych chorób i do groźnych powikłań. Choćby do wspomnianej zakrzepicy żył głębokich (W USA choruje na nią 5 mln ludzi. W Polsce w ub. roku losowo zbadano 40 tys. osób – u 47,3 proc. kobiet i 36,2 proc. mężczyzn stwierdzono problemy z układem żylnym kończyn, któ-



re mogą doprowadzić nawet do zgonu. W żyłach głębokich powstają bowiem skrzepliny. Jeśli mało szczelnie przylegają do ściany wewnętrznej naczyń, mogą się od niej oderwać i wędrując z prądem krwi do tętnicy płucnej – zaczopować ją.

Syndrom klasy ekonomicznej

Zakrzepicę żył medycyna lotnicza wiąże głównie z ciasnotą w klasie ekonomicznej (economy class syndrome). Odległość między fotelami wynosi tam od 76 do 86 cm – np. w liniach KLM – 79, w Lufthansie – 81.

– Nie tylko jednak ograniczone pole poruszania nóg, ale także zbyt mała wilgotność powietrza w kabinie samolotu powodują, że

rew gęstnieje i krwinki zlepiają się ze sobą – mówi doc. dr med. Wiesław Kowalski z Wojskowego Instytutu Medycyny Lotniczej w Warszawie.

W samolotach są co prawda nawilzacze i filtry, jednak na wysokości 12–20 tys. m powietrze jest pozbawione pary wodnej. Dlatego w samolocie wilgotność osiąga zaledwie 20 proc. Tymczasem norma, do której przywykliśmy na ziemi, jest co najmniej dwukrotnie wyższa. Dlatego pojawia się uczucie suchości w gardle, w ustach, wysycha śluzówka nosa. U pasażerów noszących soczewki kontaktowe może wystąpić podrażnienie worka spojówkowego. Trzeba więc zadbać o nawadnianie organizmu i pić jak najwięcej.

W SAMOLOCIE

- Nie łykaj tabletek nasennych.
- Zamiast alkoholu pij wodę mineralną i soki.
- Głęboko oddychaj.
- Ruszaj nogami, zginaj i prostuj stopy – od czasu do czasu pospaceruj.
- Włóż luźny strój i wygodne obuwie – gdy masz żylaki, załóż lecznicze pończochy.
- Miej przy sobie leki, które zaordynował ci lekarz.
- Po starcie i podczas lądowania przełykaj ślinę, ssij cukierki, żuj gumę albo pij wodę.

Byle nie alkohol. Nie tylko jest moczopędny, ale rozszerza naczynia krwionośne – co ułatwia odrywanie się zakrzepów – ostrzega lek. med. Robert Kaczanowski z Wojskowego Instytutu Medycyny Lotniczej w Warszawie.

Przewoźnicy coraz częściej więc przypominają, aby pasażerowie – chorzy na serce, niedokrwistość, z nowotworami, otyli, a także kobiety ciężarne – przed każdym długim lotem skonsultowali się z lekarzem. Ciśnienie w samolocie nie jest stałe. Zwiększa się przy starcie, obniża podczas lądowania. Każda zmiana wiąże się z jego wyrównaniem w jamach ciała. W płucach, w układzie pokarmowym, zatokach, itp. Właśnie wtedy wielu pasażerów omdlewa, skarży się na zawroty lub bóle głowy; albo na przytykanie uszu, najbardziej odczuwane przy lądowaniu. Jeśli samolot schodzi na pasy lotniska ze standardową prędkością 5 m/s – można to znieść łatwiej. Jeżeli jednak z jakichś przyczyn samolot musi długo krążyć nad ziemią, szum w uszach staje się nie do zniesienia.

Lotnicze zapalenie ucha

Dolegliwość ta ma związek z trąbką Eustachiusza; kanalikiem w środku czaszki, odpowiedzialnym za równoważenie ciśnienia

między uchem środkowym i jamą ustną, tym samym – i za transmisję dźwięku.

– Ów mały kanalik, na skutek tego, że przy zmianie ciśnienia często przełykamy ślinę lub ziewamy, musi się przemiennie otwierać i zamykać, aby ułatwić wentylację ucha – mówi dr Oskar Kujawski z Genewy, który pierwszy wykonał w roku 1997 laserowy zabieg operacyjny na trąbce Eustachiusza.

Pasażerowie nie zdają sobie sprawy, że zwyczajne przeziębienie, banalny katar związany z zwykłym obrzękiem trąbki słuchowej – w samolocie mogą być dla nich groźne, bo utrudniają wentylację. Niewyrównane ciśnienie powoduje wówczas tzw. lotnicze zapalenie ucha. Rzadziej może dojść do pęknięcia błony bębenkowej. Znałe są nawet przypadki całkowitej utraty słuchu.

Sen mało pożądaný

Z Polski do Australii, z międzylądowaniem w Bangkoku lub Singapurze, leci się przeszło 20 godzin. W warunkach stworzonych w kabinach pasażerskich większość średnio zdrowych ludzi czuje się dobrze. Chorzy po zawałach, z astmą, po poważnych operacjach lub z żylakami na nogach już takiego komfortu nie mają.

Obsługa samolotu jest przeszkolona w udzielaniu pierwszej pomocy, zwłaszcza że żadna linia lotnicza nie zatrudnia na pokładach samolotów lekarzy. Można tylko liczyć na to, że wśród pasażerów znajdzie się medyk i udzieli pomocy. Albo na nadzwyczajne lądowanie.

Pasażerowie powinni więc zachowywać się rozsądnie, zanim wsiądą do samolotu. Porada lekarza jest szczególnie konieczna przed długim lotem transkontynentalnym. Pewniejszy to krok niż ratowanie się na pokładzie środkami nasennymi. Bo chociaż zapewnią głęboki sen, przy okazji rozluźnią mięśnie i przyczynią się do zwiększenia ucisku na żyły i zaleganie w nich krwi.

TERESA BĘTKOWSKA

TO I KOWO

MAŁA CZARNA ZWALCZA PARKINSONA

Kawa może zapobiegać rozwojowi choroby Parkinsona, objawiającej się kłopotami z koordynacją ruchów i mówieniem – stwierdzili specjaliści z Kliniki Mayo w Rochester (stan Minnesota, USA). Ludzie pochłaniający duże ilości kawy rzadziej zapadają na tę chorobę niż ci, którzy piją kawę w umiarkowanych ilościach. Z badań wynika też, że jeśli już u kawosza występuje parkinsonizm, pojawia się on później niż podają statystyki dla ogółu pacjentów. Na razie jednak nie wyjaśniono, jaki jest mechanizm zjawiska. Niektórzy naukowcy uważają, że kawa chroni mózg przed zmianami chemicznymi prowadzącymi do choroby Parkinsona. Inni – w tym badacze z Kliniki Mayo – są jednak zdania, iż zmiany chemiczne w mózgu chorego zmniejszają przyjemność z picia kawy, i dlatego cierpiący na tę dolegliwość rzadko sięgają po filiżankę z małą czarną. Nie wszyscy lekarze podzielają opinię o tej właściwości kawy.

SZCZEPIONKA PRZECIW NAŁOGOWI

Ile razy rzucałeś palenie? Tym razem uda się na pewno! W sukces palaczom, którzy zerwali ze zgubnym nałogiem, ale mają trudności z wytrwaniem w tytoniowej abstinencji, pośpieszyli szwedzcy badacze, którzy opracowali specjalną szczepionkę. Największym problemem było to, że cząsteczki nikotyny są zbyt małe, aby mogły stymulować produkcję antyciał. Naukowcom z Instytutu Karolinska w Sztokholmie udało się połączyć te cząsteczki z dużymi molekułami, spełniającymi rolę nośnika. Testy szczepionki przeprowadzone na szczurach wypadły pomyślnie. Próby na ludziach mogą rozpocząć się w obecnym lub przyszłym roku. Naukowcy zapowiadają, że zaszczepiony człowiek, zamiast potrzeby zaciągnięcia się, będzie odczuwał niechęć do papierosów.



GOŁE KILIMANDŻARO

Śniegi Kilimandżaro, które były inspiracją dla Hemingwaya, stopnieją za ok. 15 lat. Badania wykazały, że lodowce

pokrywające wierzchołek góry nie tylko cofają się, lecz także stają się coraz cieńsze. W ciągu ostatniego roku zaobserwowano ubytek grubości około metra. Od czasu, gdy w 1912 r. dokonano pierwszych dokładnych pomiarów, pokrywa lodowa góry zmniejszyła się o 82 proc. Proces wyraźnie nasila się, bowiem przez ostatnie 12 lat ubyla jedna trzecia lodu. Geolog Lonnie Thompson z Uniwersytetu Stanu Ohio (USA) przewiduje, że obecne tempo spowoduje całkowite zniknięcie pokrywy śnieżnej Kilimandżaro między 2010 a 2020 r. Thompson śledzi zmiany zachodzące na lodowcach wysokogórskich od 20 lat, badał je w Afryce, Chinach, Tybecie, Południowej Ameryce i stwierdził, że są one swoistym czujnikiem zmian klimatycznych zachodzących w rejonach podzwrotnikowych.

(LP)

LINIE DO SĄDU

Lekarze ze szpitala w Ashford w Londynie twierdzą, że w ostatnich trzech latach z powodu wystąpienia „syndromu klasy ekonomicznej” zmarło 30 osób. Z badań wynika też, że niebezpieczeństwo może czyhać na pasażerów dalekobieżnych autobusów, a nawet na kierowców zbyt długo prowadzących auto. Australijscy adwokaci zamierzają pozwać do sądu linie lotnicze (m.in. British Airways, Air France). Żądają 70 tys. DM odszkodowania dla każdej z 800 poszkodowanych osób, które reprezentują. Dla rodzin pasażerów, którzy umarli w wyniku zakrzepicy, pragną uzyskać 1,5 mln DM. Prawnicy uważają, że ich wygrana zmusi przewoźników do zwiększenia odstępów między fotelami.



Dyplom z tatusia

No i nasz Małysz jest mistrzem świata. Odegrał się na średniej skoczni i ma złoty parytet ze Schmittem. „Mała mysz, a ma tyż” – jak pisał Wyspiański. W kraju więc wesele; najpewniej zaraz zacznie się chochołowy taniec. Nie przewiduję w tym roku wielu sukcesów w polskim sporcie. Mimo że dobrym jestem patriotą. Z odcieniem zresztą filokrakowskim, bo – choć warszawiak rodowity, magisterium robiłem z Wyspiańskiego, a doktorat z Matejki.

Jarosław KRAWCZYK
redaktor naczelny
miesięcznika
„Mówią wieki”

Największe wątpliwości trapią mnie w sprawie najważniejszej – awansu naszej reprezentacji do finałów mistrzostw świata w futbolu. Nie rozwiązał ich pogrom, który urządził bogu ducha winnym Szwajcarom, rzucając się na nich jak wściekły. Najbardziej zdziwił mnie Olisadebe, bo myślałem, że po przeprowadzce do Aten wypnie się na reprezentację. Nie ja jeden – podobne obawy wyraził na łamach „Przeglądu Sportowego” (nr z 13 lutego br.) mój młodszy kolega – felietonista Dariusz Dziekanowski, który nie wierzy w trwałe uczucia ateńskiego Murzyna do orzełka w koronie. Wygląda na to, że się mylił. Ja też.

Moje zaufanie do polskiej piłki jest tak nadszarpnięte, że po nocach budzę się z lękiem, iż wleją nam Norwegowie, przywalą Ukraińcy, a i z Białorusią będzie nietęgo. Nasi naprawdę kiepsko grają w piłkę, czego szybko nie odmieni trener Jerzy Engel. Oczywiście, Jerzy Engel jest innego zdania. Ba, jest tak pewien swego, że – o czym dowiedziałem się z tegoż numeru „Przeglądu” – już zaczął pisać pracę magisterską o udziale polskiej reprezentacji piłkarskiej w finałach Mistrzostw Świata Anno Domini 2002. Czytelnika, który mógłby dostrzec w tym gorszący akt bufonady (bo głupio robić dyplom z samego siebie), spieszę uspokoić: tę pracę tworzy nie Jerzy Engel, trener reprezentacji Polski, lecz syn jego, także Jerzy, który postanowił zrobić dyplom z tatusia. Na warszawskiej AWF, kierunek trenerski, specjalizacja piłka nożna. A nie futurystyka i futurologia?

To wybór nadzwyczaj rozsądny: po cóż biegać z wywieszonym ozorem po bibliotekach i archiwach, szukając kwitów na trenerską twórczość Konciewicza czy Górskiego, skoro wszystko można dostać w domu? Nie ma jak u mamy, a i tata pomoże. Mnie również nieobce są uczucia rodzinne, rozumiem np., że tatusiów nie powinno przerabiać się na papier. A długo „robiłem w nauce” i wiem, że taki dyplom będzie tylko z papieru. A pan nie, panie Promotorze?

No cóż, wypada mi tylko wyrazić nadzieję, że prowadzona przez Jerzego Engla reprezentacja Polski nie okaże się papierowym trygrysem.

**Nie przewiduję
w tym roku
wielu pozamałyszowych
sukcesów w polskim sporcie,
choć jestem patriotą.**

Sztukmistrz z Jaworzna

**W dużym klubie bilardowym
w Essex w Wielkiej Brytanii zapytano graczy,
jakich znają sławnych Polaków.
Wymienili Jana Pawła II i Bogdana Wołkowskiego.**

Bogdan Wołkowski szósty raz został mistrzem świata w trikach bilardowych. Grą zainteresował się w 1992 r. Szybko uplasował się dość wysoko wśród polskich graczy. Uznał jednak, że za późno na typową karierę sportową. A Mike Massey, który pojawił się gościnnie na mistrzostwach Polski w pool bilardzie, tylko umocnił go w tym przekonaniu. Amerykanin jest bowiem mistrzem trików bilardowych, które bardziej się kojarzą z prestidigitatorstwem niż z prawami fizyki. Był najlepszy, dopóki nie pojawił się Wołkowski.

Sztuczki bilardowe można podzielić na dwa rodzaje. W jednych – znaczenie ma tylko dokładne ustawienie bil. Strzał może wykonać dowolna osoba, co często zdarza się na pokazach. Zawodnicy proszą kogoś z publiki, kto bez trudu wykonuje magiczne uderzenie. W drugiej grupie uderzenia wymagają perfekcyjnej techniki. Zagrania są nierzadko tak trudne, że w turnieju nawet najlepsi zawodnicy wykonują je dopiero po kilku próbach bądź nie udają się im wcale. Liczy się perfekcyjne uderzenie białej bili zagrywającej.

Do trików bilardowych można stosować dowolne rekwizyty. Na stołach pojawiają się szklanki napełnione wodą, torebki, butelki, koszyki; leżą kije, a nawet kładą się na nich ludzie. Słowem, można robić wszystko, byleby uświetnić wieniec spektaklu, a oczarowany widz pyta: „Jak to możliwe?”. Od wyobraźni showmana zależy, czym i w którym momencie zaskoczy widzów. Wołkowski uznał, że to jest to. Telewizowie, którzy mieli okazję oglą-

dać go w akcji (występował kilkakrotnie w TV), są pewnie tego samego zdania.

Sześć razy sztuczka

Mistrzostwa świata w trikach rozgrywane są dwa razy w roku. W styczniu lub lutym – na stołach snookerowych, a w okresie wakacyjnym – na poolach (pool i snooker to dwa najbardziej popularne rodzaje bilardu). Zawodnicy to sama śmietanka. Każdy gracz ma od 10 do 15 minut, by zaprezentować swój kunszt. Zwycięzcę publiczność wybiera oklaskami. Komu zgotuje najgłośniejszy aplauz, ten zwycięża. Kiedyś oceniało jury, ale nowy system bardziej odpowiada tej pokazowej dyscyplinie.

Prezes Polskiego Związku Bilardu żartuje, że Wołkowskiego niepotrzebnie kiedyś zaproszono na bilardowe salony świata. Rzeczywiście, odkąd Polak zaczął obijać bile w zawodach trikowych – wygrywa z najlepszymi na świecie, choć Polacy w sportach bilardowych się nie liczą. 22 lutego po raz szósty. Trzykrotnie na poolach i tyleż na snookerach. Puchar przechodni z obu imprez jest własnością Bogdana Wołkowskiego. Oba stoją w jego klubie w Jaworznie.

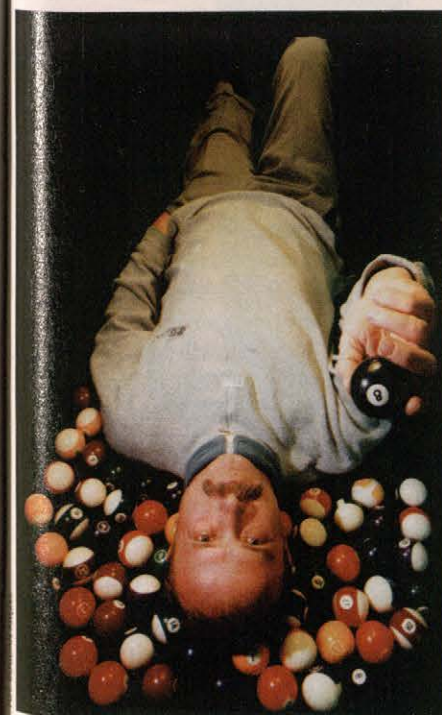
Na pierwsze mistrzostwa świata w 1988 r. w Londynie pojechał, nie znając angielskiego. Podczas prezentowania trików trzeba wyjaśniać to, co się zagra, niekiedy rzucić jakimś dowcipem. Wołkowski nauczył się więc całych zdań na pamięć. Jednak znajomości angielskiego nie poprawił – co sam przyznaje. Łatwiej się uczy skomplikowanych zagrań niż nowych słówek i konwersacji. Nie marnuje więc czasu na opowiadanie kawałów, po-



Sztuczka Wołkowskiego: rekord to piramida z 40 trójkątów

kazuje to, co umie najlepiej. Znajomość żargonu bilardowego wystarcza, by nawiązać kontakt z publicznością i porozumieć się z innymi graczami.

Mimo że Polak jest zazwyczaj faworytem turnieju, inni gracze odnoszą się doń z sympatią. Zapewne nie bez znaczenia jest to, że organizatorzy opłacają im koszty podróży i każdy dostaje tę samą kwotę za udział w turnieju. Można wygrać tylko puchar i tytuł mistrza świata. Wołkowski zna większość światowej czołówki poolowców i snookerzystów:



Bogdan Wołkowski – sześciokrotny mistrz świata w trikach bilardowych

Steve'a Davisa, Mike'a Massey'a, Ralfa Souqueta, Olivera Ortmanna czy Francesco Bustamante.

– To mili ludzie, wymieniają poglądy i wzajemnie sobie pomagają. Nie ma wśród nich zawiści i niechęci. To dyscyplina nastawiona na widowiskowość, bez typowej rywalizacji – mówi Wołkowski.

Wariacje na temat kulek

Robi wariacje na temat istniejących zagrań, rozwija zagrania z innych bilardów, modernizuje sztuczki innych zawodników, wymyśla własne. Ma kilka żelaznych zagrań, ale prezentuje je wymiennie i zawsze pokazuje kilka nowych. Stara się grać codziennie, co najmniej godzinę, dwie. Przed dużymi zawodami trenuje więcej.

Chce się skupić na zupełnie nowej dyscyplinie – pool bilardzie artystycznym. Jako jeden z dwóch Europejczyków w ubiegłym roku został zaproszony na I Mistrzostwa Świata w Bilardzie Artystycznym w Las Vegas. Udział brało ośmiu graczy – po dwóch z Europy, Ameryki Północnej, Azji i po jednym z Ameryki Południowej i Australii. To odmiana dość podobna do trików, ale nie ma w niej miejsca na dowolność zagrań. Gracze mają wykonać 40 określonych, niezwykle trudnych zagrań. Za poprawnie wykonane otrzymują punkty. W zawodach tych zajął szóste miejsce. Pamiętajmy jednak, że grała sama czołówka, a nasz rodak został wyróżniony w kategorii dwóch typów zagrań, tzw. masse shot (zagranie nadające bili tor łuku) i jump shots (skoki).

Biuro Podróży **JORDAN**

**ZAPRASZA
DO
KORZYSTANIA
Z
NOWEJ, KONCESJONOWANEJ
LINII
AUTOKAROWEJ**



**KRAKÓW
-WIEDŃ
-LINZ
-SALZBURG**

Wyjazdy z Krakowa w piętki o godz. 20.00

Wyjazdy z Salzburga w soboty o godz. 16.00

UWAGA!

Możliwość połączeń z Wrocławia, Katowic, Tarnowa, Rzeszowa z przesiadką w Wiedniu.

INFORMACJE I SPRZEDAŻ BILETÓW M.IN.:

KRAKÓW, ul. Sławkowska 12,
tel. /012/ 422 20 33,
w godz. 10.00 - 18.00

WIEDŃ, Südbahnhof - kiosk biletowy,
tel. 01/ 796 85 52 12,
w godz. 17.00 - 21.00

SALZBURG, Rudolf Biebl Str. 43
tel. 0662/42 10 84,
pon., śr., pt. w godz. 12.00 - 17.00
wt., czw. w godz. 17.00 - 20.00

Ponadto polecamy przejazdy do:

Austrii (Wiedeń)
Belgii (Liege, Charleroi, Bruksela, Antwerpia, Genk)
Holandii (Hengelo, Utrecht, Amsterdam, Haga, Rotterdam, Breda)
Włoch (Mestre, Wenecja, Verona, Bolonia, Brescia, Mediolan, Genua, Turyn, Rzym, Florencja, Neapol, S. Giuseppe)
i na Węgry (Budapest, Wać)

CAŁOROCZNE CHATKI GÓRALSKIE

Zakopane
Kościelisko-Kirya
(u wylotu Doliny Kościeliskiej)

Chatki 2 - 6 osobowe
Cena od: 60 zł/chatka/noc

Rezerwacje: Biuro **JORDAN**
tel. (012) 421 53 13, 429 36 01
turystyka@jordan.krakow.pl

Zjadacz chleba na szklanej górze

Pojawienie się w TVN teleturnieju „Milionerzy” zostanie zapewne uznane kiedyś przez badaczy kultury masowej za przełom w relacjach „My” (widzowie) kontra „Oni” (nadawcy telewizyjni). Przełom ten porównywalny będzie być może do zdobycia Bastylli. Oto w sposób spektakularny przeciętni zjadacz chleba zdobyli szklaną górę, jaką przez blisko pół wieku istnienia telewizji była formuła teleturnieju.

Dotąd zasady były jasno określone. Masz szansę przebić się na drugą stronę lustra (czytaj: ekranu), jeśli się czymś wyróżniasz – albo wiedzą z jakiejś konkretnej dziedziny („Wielka gra”), albo tzw. ogólną inteligencją („Jeden z dziesięciu”). Nagrody w tych quizach były ważne, ale liczyła się także satysfakcja. Barierą utrudniającą start w zawodach był – oprócz paru innych rzeczy – zwyczajny ludzki wstyd przed ośmieszeniem się. Innymi słowy, obowiązywała dewiza: nie pchaj się na afisz, jeśli nie potrafisz.

Sukces „Milionerów” polegał na odrzuceniu elementarnych zasad, jakimi rządziły się teleturnieje. Brak limitu czasu, konsultowanie odpowiedzi z przyjacielem i widownią, możliwość wycofania się po usłyszeniu pytania – wszystko to miało służyć umasowieniu zabawy. Właśnie: zabawy, bo już nie turnieju wiedzy. Dodatkowym elementem przełamującym barierę wstydu stały się niebotyczne nagrody. Za 32 tys. można ryzykować nawet ośmieszenie się.

Oczywiście „Milionerów” nie wymyślił Mariusz Walter, podobnie jak „Życiowa szansa” nie jest pomysłem Solorza, a „Dwadzieścia jeden” – prezesa Kwiatkowskiego. Wszystkie teleturnieje odrzucające tradycyjne teleturniejowe zasady w imię widowiskowości są sprawdzonymi produktami licencyjnymi, bo Bastylli też nie zdobyto w Polsce. A czy to pięknie, czy to źle, że zdobyto? No, w końcu mamy do czynienia z najbardziej masowym medium, w dodatku komercyjnym (z TVP włącznie), a w kwestii zdobywania masy są niezastąpione.

**Nie matura,
lecz chęć
szczerą robi
z ciebie
milionera.**



Co do przełomowości „Milionerów” – autorom quizu udało się złamać jeszcze inną, wydawałoby się dość fundamentalną, zasadę telewizji. Oto w dobie nieprawdopodobnego przyspieszenia tempa przekazu dźwięku i obrazu, w dobie całkowitej supremacji estetyki wideoklipu mamy program, w którym przez 10 minut gość pięknie milczy na temat „Kto jest autorem «Ody do młodości»”. I nie się nie dzieje (poza mrożącą krew w żyłach muzyką w tle). Dlaczego? Bo jest w tym milczeniu (zdaniem autorów) prawdziwy dreszczyk emocji.

Trudno się dziwić, że „Milionerzy” stali się ulubionym tematem pastiszy i parodii. Ale dla recenzenta sprawa wcale nie jest taka prosta jak dla satyryka. Nie wypada przecież krytykować ludzi za brak wiedzy (choć w podstawówce kosztowałby on „lufę z wykrzyknikiem”). Nie wypada też krytykować programów adresowanych do masowej widowni (bo prof. Goban-Klas zrugna mnie jak recenzentów „Rzeczpospolitej”: „Kto może dzisiaj być tak arogancki, aby myśli i odczucia ludzi prostych uznawać za niegodne i nieuzasadnione?”). Ale z drugiej strony nie sposób milczeć. Telewizja – cokolwiek by o niej powiedzieć – kształtuje pewne standardy. To autorzy popularnego programu decydują, kto gra i co ma być dla widzów suspensem. Oni (nieestety) dziś decydują, co uchodzi, a co nie. Umówmy się: walka pana Kowalskiego z własnymi szarymi komórkami na temat daty bitwy pod Grunwaldem suspensem być nie może. Jest kompromitacją.

Podobnie jak argumentacja, że widzowie identyfikują się z duchowymi rozterkami ww. Kowalskiego. Ludzie, nie dajmy się obrażać!

Czy stwierdzenie, że to wstyd nie wiedzieć, kto napisał „Ode do młodości”, jest wyrazem arogancji, świadectwem wywyższania się i zamachem na wolność mediów? Na razie tak. Ale pewnie już nie za długo. Jak wiadomo, wszystkie polskie hity telewizyjne (poza „Klanem”) pochodzą z importu. To, co sprawdziło się w USA, Danii czy Grecji, raczej prędzej niż później trafi do ramówki TVN, Polsatu lub TVP. A – jak donosi prasa – wydarzeniem w jednej z głównych amerykańskich sieci telewizyjnych jest dziś teleturniej, w którym prowadzący bezlitośnie pastwi się nad swoimi graczami. Jak profesor w porządnej szkole ruga za ignorancję i wychwala za wiedzę. Jest show, widowisko i – o dziwo – ludzie to kupują (czyt.: oglądają)! A więc, panowie dyrektorzy i prezesi: kto pierwszy, ten lepszy. Do biegu po licencję – start!

Wtajer



RADIONOWELA

u nas codziennie Niedziela

Barbara Niedziela, Henryk Niedziela i ich córka Elwira,
to bohaterowie radionoweli

„Świątek, piątek i Niedziela”.

Zapraszamy do 1 Programu Polskiego Radia.

Od poniedziałku
do piątku o 10.32



JACEK ZIEMEK

W reklamie telewizyjnej dominuje szybki montaż i specyficzna praca kamery. A przede wszystkim – przekaz: wybierz, kup. Reklama musi zatem przykuć do siebie nie tylko towarem, lecz sposobem jego prezentacji. Niektórzy realizatorzy osiągają w tej formie swoiste mistrzostwo.



Podwójne oblicze reklamy

Reklama jest dźwignią handlu dzięki temu, że łączy informacje o produkcie lub usłudze z perswazją, czyli próbą nakłonienia do zakupu czy skorzystania z usługi – trwa ruch w interesie. Komunikaty reklamowe pojawiają się więc we wszystkich mediach. A reklama telewizyjna, czyli po prostu krótki film reklamowy, jest najbardziej efektownym – a i powszechnie uważanym za najsukcesowniejszy – sposobem wpływania na nasze decyzje o wydawaniu pieniędzy.

Ponadto, podczas emisji obowiązuje zasada, że różne reklamy są nadawane w bloku, jedna po drugiej. Powoduje to rodzaj informacyjnej wrzawy, szumu, co wymaga od poszczególnych spotów wyrazistości i oryginalności, aby się różniły od innych. Kolejną sprawą jest długość – ewolucja czasu ich trwania przebiegała od – to nie do wiary – minuty jeszcze w latach 60. po obecne 15 sekund.

Emitowanie reklamy opiera się na zasadzie wielokrotnych – i w dodatku raczej natarczywych – powtórzeń, co więcej, po-

kazuje się je w chwilach najmniej odpowiednich z punktu widzenia telewidza – zwykle w kulminacyjnych momentach filmów czy ulubionych programów. Bywa to bardzo denerwujące dla odbiorców, którzy często się skarżą, że zapomnieli, co działo się w filmie przed przerwą na reklamę. Niekiedy reklamy zbyt natarczywe przynoszą efekt zwany bumerangiem, czyli reakcję przeciwną do zamierzonej (np. irytację zamiast zachwyty).

Jednak sprawą bodaj najważniejszą w przekazach reklamowych jest ich nakierowanie nie tylko na świadomość odbiorcy. Działają wtedy nieco subtelniej i korzystają z podziału na tzw. potrzeby konieczne i zbędne. Zakłada się, że w naszej kulturze podstawowe potrzeby – jak jedzenie, mieszkanie czy ubranie – są zaspokojone. Trzeba zatem działać już nie na poziomie podstawowym – czyli potrzeb – lecz na poziomie tzw. pragnień, czyli roli społecznej, stylu życia czy prestiżu; nie obiecywać zaspokojenia potrzeb, ale kreować nowe. Reklama w ten sposób nie tylko kontroluje sa-

mo życie, co nadaje mu styl, dzięki któremu możemy – jako konsumenci – różnić się od reszty bliźnich.

To chyba przede wszystkim wyjaśnia dwoisty stosunek odbiorców wobec reklamy. Z jednej strony traktowana jest jako zło konieczne i pewien rytuał współczesnego kapitalizmu. Z drugiej – jak najbardziej pozytywnej strony – reklama jest zestawem komunikatów, które proponują odbiorcy możliwość wystrojenia się w piórka nowej, nie znanej wcześniej tożsamości. W tym sensie reklama proponuje nie znane z tzw. prawdziwego życia sposoby radzenia sobie z sobą samym, zmuszając jednocześnie do dokonywania wyborów w sytuacjach, które tak naprawdę nie wymuszają jakichkolwiek rozstrzygnięć. Stajemy zatem nie tyle w obliczu alternatywy „co zrobić, żeby nie cuchnąć”, co raczej pseudodylematu „czym zapachnieć i jakie to robi wrażenie” (na żonie, kochance, koledze z pracy).

Nie dziwi zatem, że reklama – a szczególnie wszechobecny w telewizji film reklamowy – to wylęgarnia wszel-

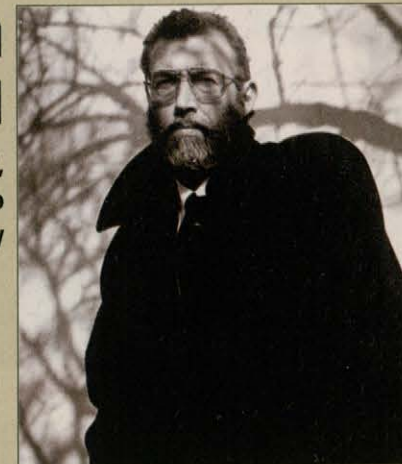
kich wieloznaczności i konfliktów. Budzi sprzeciw nakaz nabywania i określania się, lecz – przy okazji – cieszy ofertą możliwości nabywania konkretnych towarów, dzięki którym – chcąc czy nie chcąc – możemy się określić. Zabrzmiało to banalnie, ale reklamę obdarza się – racjonalnie i uczuciowo, świadomie i podświadomie – stosunkiem typu „miłość i nienawiść”. Innymi słowy – z reklamą źle, ale bez reklamy jeszcze gorzej.

Reklamy telewizyjne są tak stare jak telewizja – ich tradycja sięga zatem kilkadziesiąt lat, a nawet dalej, jako że ich twórcy nierzadko odwołują się do znacznie dłuższej tradycji kina. Zdarza się, że film reklamowy osiąga taką jakość, że zaczyna być własnym życiem, niejako artystycznym – realizuje się osobne programy telewizyjne prezentujące najciekawsze i najzabawniejsze pomysły i realizacje, organizuje się „noce reklamożerców”. Podobnie rzecz ma się z festiwalami Crackfilm, choć tu mamy zarazem do czynienia ze swoistym świętem branży, połączonym z targami firm realizatorskich. ■

Jedyny na polskim rynku festiwal reklamy Crackfilm odbywa się od 10 lat. Wiosną 1991 roku po raz pierwszy spotkała się na nim elita polskiej reklamy. W tym roku organizatorzy chcą, aby – obok części konkursowej – festiwal stanowił spojrzenie na reklamę z perspektywy odrębnego kulturowo rynku. Festiwalowe dni: 8–10 marca, będą więc inne od poprzednich. Crackfilm zapowiada bowiem radykalne zmiany.

Rozmowa z LESŁAWEM WILKIEM

prezesem Agencji Reklamowej „Crackfilm”,
dyrektorem Ogólnopolskiego i Międzynarodowego
Festiwalu Reklamy



FOT. BOGDAN KRZEL

Na czym polega
nowa konkursowa formuła Crackfilmu?

Stawiamy zdecydowanie większy nacisk na ocenę najlepszych reklam w każdym medium. W każdej kategorii przyznajemy po trzy statuetki: Brązowego, Srebrnego oraz Złotego Tytana. Samych kategorii konkursowych jest osiem: kampania reklamowa, film reklamowy, reklama prasowa, radiowa, zewnętrzna, wydarzenie promocyjne oraz reklama społeczna, która pojawia się jako kategoria konkursowa po raz pierwszy, podobnie jak reklama internetowa. W tym ostatnim przypadku wprowadziliśmy podział na najlepszy banner oraz stronę www. Swoistym novum jest również grupa 17 nagród zawodowych, przyznawanych za konkretne dokonania, np. w kategorii „film reklamowy” będą to nagrody dla najlepszego reżysera, scenarzysty, operatora, w grupie reklamy radiowej – najlepszego copywritera, kompozytora muzyki oryginalnej, w reklamie prasowej – najlepsza grafika oraz fotografia, natomiast w przypadku reklamy zewnętrznej – najlepsza ilustracja. Przyznanie tego rodzaju nagrody nie jest obligatoryjne. Uzależniamy to od decyzji jurorów.

Czy przewidujecie państwo jego nowy kształt?

Dla każdej kategorii konkursowej tworzymy siedmioosobową grupę specjalistów – osób, które – ze względu na swój dotychczasowy dorobek w dziedzinie reklamy – podejmowane decyzje konkursowe wspierają swoim autorytetem. Nominacje zatwierdzane są dwuetapowo. W pierwszym głosowaniu jury wyłania ze zgłoszonych reklam po pięć nominacji w każdej kategorii. W drugim etapie wybiera pierwszą, drugą i trzecią najlepszą reklamę w danej kategorii, przyznając Brązowego, Srebrnego i Złotego Tytana. Jury drugiego etapu to szesnastu ekspertów wytypowanych z całego składu.

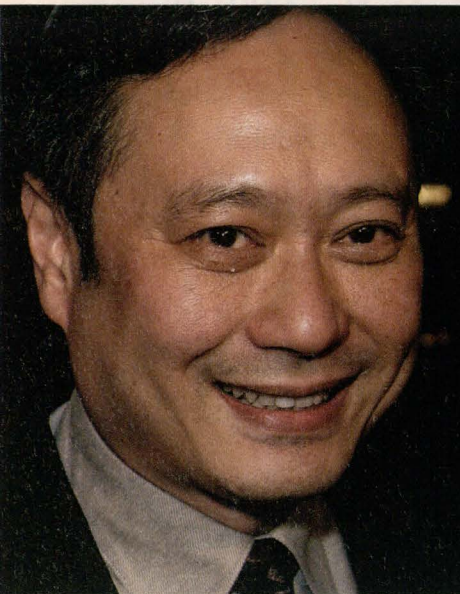
Co jest największą innowacją programu?

Głównym tematem festiwalu jest reklama w Internecie. Ze względu na ogromne zainteresowanie uczestników, zdecydowaliśmy się poświęcić jej około 30 proc. naszego programu. To Internetowi zawdzięczamy rosnącą popularność naszego konkursu. Sprawny przepływ informacji oraz obecność Wirtualnej Polski oznacza zupełnie nową możliwość relacjonowania przebiegu festiwalu. Mam tu na myśli internetowy czat, choć nie tylko. Za pomocą specjalnych ekranów diodowych – ulokowanych na hotelu Forum w Warszawie oraz krakowskim Teatrze Bagatela – poszerzamy zasięg odbioru. W tym samym czasie, tak jak w telewizji, ludzie zobaczą festiwal w Krakowie. To zupełnie nowatorski pomysł kontaktu medialnego z festiwalem.

Jakie są pańskie odczucia co do festiwalowych przygotowań?

W tym roku kilka sporych agencji sieciowych nie zapowiedziało na festiwalu swojej obecności. Można zaryzykować stwierdzenie, że w reklamie pojawia się niepokojące zjawisko „szalonych agencji”, które zjadają same siebie. Być może uważają się za aż tak dobre, że nie chcą konkurować. Po to jednak jest konkursowa rywalizacja, aby taki pogląd zweryfikowało życie. Nawet najbardziej wyszukana technologia nie zastąpi w reklamie udziału ludzi kreatywnych, a tych nie zawsze można kupić. Dlatego też nie należy zapominać o tym, że zawsze najważniejszy jest klient. To również od jego decyzji zależy sukces działań reklamowych.

Rozmawiała JUSTYNA TAWICKA



ANG LEE

- rocznik 1954, Tajwan, chińsko-amerykański reżyser, producent, scenarzysta, aktor
- 1992: debiut – „Ręce, które odpychają”
- 1993: „Przyjęcie weselne” – Złoty Niedźwiedź w Berlinie i zwrot kosztów produkcji w 4000 proc.
- 1994: „Jedź, pij, kobieto, mężczyzno”
- 1995: „Rozważna i romantyczna” – Złoty Niedźwiedź w Berlinie
- 1997: „Burza lodowa”
- 2000: „Przyczajony tygrys, ukryty smok” (tytuł w języku mandaryńskim brzmi – Wo hu zang long)

www.imdb.com; www.crouchingtiger.com



Ang Lee i Zhang Ziyi – Złote Globy 2001

WBREW GRAWITACJI

Kino walki może być rodzajem medytacji o przemijaniu.

Widzowie nie pamiętają czasu, gdy na ekranie kin wprowadzono „Wejście smoka” – słynny film „kopany” z udziałem Bruce’a Lee – być może nie uwierzą, że kino sztuk walki mogło elektryzować polską publiczność i skłonić ponad 15 mln widzów do kupienia biletów. Nic dziwnego – po okresie fascynacji dokonaniem chińskiego mistrza entuzjazm opadł. Rozpowszechniany nieco później „Klasztor Shaolin” wzbudził

mniejsze zainteresowanie, które stopniowo opadło do dzisiejszego poziomu, gdy większość kinomanów wyraża się o „filmach karate” z dezaprobatą. Kino sztuk walki zostało niemal całkowicie zepchnięte do wypożyczalni kaset wideo, gdzie zresztą najczęściej znajdziemy nie filmy realizowane w Hongkongu, ale tandetne imitacje kręcone przez amerykańskich producentów. Dziś nie znajdziemy produkcji, które przypominałyby te z wy-

twórni braci Shaw, tzw. wuxia pian, najczęściej łączące formułę mdłego melodramatu z elementami historycznego eposu, okraszonego popisami mistrzów sztuk walki. Filmy tego gatunku są dla widza europejskiego i amerykańskiego niezbyt atrakcyjne z uwagi na obecność elementów charakterystycznych dla chińskiego kina popularnego – teatralnego aktorstwa czy przesadnego melodramatyzmu. Wuxia pian zwykle nie zachwycają choreografią walk. Chińscy twórcy lat 70. woleli plany ogólne i sceny zbiorowe, pozostawiając zbliżenia łamanych z trzaskiem kości filmowcom amerykańskim. Powodzenie „Wejścia smoka” – zrobionego przez Chińczyków z Hongkongu i Amerykanów – skłoniło jednak azjatyckich producentów do refleksji. Skoro specyficznie chiński gatunek po poddaniu go drobnym modyfikacjom może zainteresować widzów za granicą, to czemu by nie otworzyć się na nową publiczność? Jednym z najważniejszych reformatorów kina walki był Tsui Hark, dziś pracujący w Hollywood. Jego produkcje nie zatracają chińskiej specyfiki i zarazem posługiwały się językiem charakterystycznym dla amerykańskiego

kina akcji. „Dawno temu w Chinach” czy „Chińska opowieść o duchach” ustaliły nowe standardy widowiska przekraczającego wszelkie bariery gatunkowe. Filmom Harka i jego naśladowcom można zarzucić brak oryginalności, z pewnością jednak nie można powiedzieć, że zanudzą publiczność. Ich dewizą wydaje się „dobra zabawa za wszelką cenę” – stąd, jeśli bohaterowie nowego kina sztuk walki napotykają przeszkodę, to przelatują nad nią jak ptaki. Popularne kino Hongkongu to przede wszystkim uczta dla oczu. Tsui Hark, Johnny To czy Ronny Yu są twórcami o ogromnym wyczuciu kina, przede wszystkim zaś ruchu, który jest w ich filmach wszechobecny. Coraz częściej twórcy chińscy poszukują w odnowionej wuxia pian jedynie pretekstu do bardziej autorskich realizacji. Doskonałym świadectwem pojemności owej formuły jest mało znany w Europie film ulubieńca festiwalu Wong Kar-Waia. Jego „Popioły czasu” to wielki spektakl pełen widowiskowych walk na miecze i buntujących się żywiołów, a jednocześnie rodzaj medytacji o przemijaniu, tożsamości i fikcji.

ANDRZEJ PITRUS



sąsiaduje ze scenami, których nie polecilibyśmy najmłodszym. W filmie Lee wykorzystał wszystkie składniki, unikając nadmiernych kontrastów. Jednocześnie nie zdecydował się na całkowitą amerykanizację filmu. Nakręcił go w języku mandaryńskim i opatrzone napisami pokazał w USA. Mimo to odniósł sukces finansowy i zebrał aż dziesięć nominacji do Oscarów. Ortodoksi będą wybrzydzali. Ale bez zabiegów Lee kino sztuk walki pozostałoby w getcie. (AP)

Reż. Ang Lee, Chiny/Tajwan/USA 2000.

PRZYZAJONY TYGRYS, UKRYTY SMOK. Ang Lee to reżyser azjatycki, który odnalazł swoje miejsce w kinie światowym. Wydawało się, że Lee wpisał się w zachodnią tradycję tak bardzo, iż nie wróci już do „kina etnicznego”. Tym większym zaskoczeniem wydaje się film, który przybliża kino sztuk walki. Propozycja Lee nie jest jednak powtórką filmów kręconych w Hongkongu. Film opowiada o losach wojownika, który po raz ostatni decyduje się na walkę ze złem. Lee zmienił jednak proporcje. „Przyczajony...” to mieszanka kilku gatunków, ale zdecydowanie mniej piorunująca niż propozycje filmowców z Hongkongu. Ci lubią się w skrajnościach: po scenie makabrycznych jatek – melodramatyczne uniesienia; fantastyka z baśni

● SŁABE ●● PRZECIĘTNE ●●● ZACNE ●●●● ZNAKOMITE ●●●●● WYBITNE



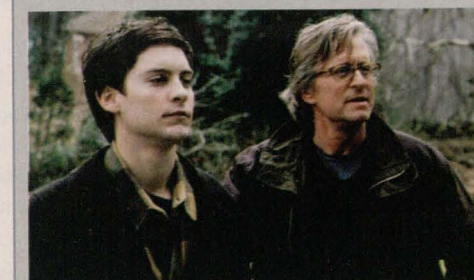
za. Kino nieco w stylu Formana – realizacyjnie bliskie „Amadeuszowi”, ideowo zaś – „Larry’emu Flyntowi”. Mimo drastyczności tematu – chodzi bowiem o seks – reżyserowi udaje się uniknąć obleśności; posługuje się dosadną frywolnością. Dzięki temu granice dobrego smaku nie zostają przekroczone. Znakomite aktorstwo – także drugiego planu, lecz głównym smaczkiem jest wstrząsająca kreacja Geoffreya Rusha, który z wielkim poświęceniem ukazuje fizjologiczny aspekt twórczości markiza. Trudno o lepszy efekt – de Sade okazuje się bohaterem męczennikiem sprawy wolności (nie tylko słowa), z którym można się wyłącznie solidaryzować. Jak na produkt amerykański – film zrobiono z bogatym zapleczem wiedzy o kulturze europejskiej. Z napięciem czekamy na filmy europejskie o kulturze amerykańskiej. (JAZ)

Reż. Philip Kaufman, USA 2000.



odrobinę dydaktyki i szczyptę humoru; na koniec rzecz się profesjonalnie skręci i przytnie. Szafa gra. Finał. Jest miło, milutko. Nawet można nie zasnąć w kinie. Ale żeby choć malusieńka innowacja, żeby choć tycia markowa perwersja, żeby choć lekkie wykoślenie. Gdzie tam! Czego pragną kobiety nadal – szczęśliwie – nie wiemy. Za to bez cienia wątpliwości wiemy, czego pragnęli producenci, aktorzy i cała, z pewnością zadowolona, reszta. (TP)

Reż. Nancy Meyers, USA 2000.



letą filmu jest specyficzna rodzajowość i frapująca postać adepta pisarstwa. Niestety, wielce interesująca i kluczowa kwestia formowania się i przekształcania osobowości artysty została ledwie zaznaczona. A konstatacja nie przekracza poziomu pocziwego banału. Po autorze „Tajemnic Los Angeles” należało spodziewać się czegoś więcej. (TP)

Reż. Curtis Hanson, USA 2000.



FOT. MARZENA HMLEWICZ/AG

PRAWDA W TEATRZE

Do Wrocławia przyjechał reżyser z Warszawy, **PIOTR CIEPLAK** (na zdjęciu), żeby na scenie Teatru Współczesnego dać świadectwo prawdzie. Aktorzy polewają się więc prawdziwą wodą, pluja prawdziwym mięsem, a jeden nawet przez pół godziny recytuje księgę z prawdziwej Biblii. I tak teatr zamienia się w świątynię, aktorzy zaś w kapłanów.

A widzowie? Już starożytni Rzymianie doświadczyli zgubnych skutków obecności prawdy na scenie. Cesarz Neron marzył o aktorskiej karierze, ale jeszcze bardziej lękał się klęski. Postanowił więc z góry zadbać o sukces. Z Aleksandrii sprowadził najlepszych na świecie klakierów i opracował z nimi szczegółowy scenariusz zachowań widzów: kiedy mają rytmicznie klaskać, kiedy nucić, kiedy wydawać okrzyki zachwyty. Podczas spektaklu w rzę-

dach stali żołnierze z kijami i pilnowali, by wszyscy wypełniali dokładnie wskazówki klakierów. W tłumie ukryci też byli szpiegi, ci skrzętnie notowali wszelkie uchybienia widzów, a także nieobecności – za to groziła konfiskata majątku.

Popisy Nerona wlokły się godzinami, a nie można było z teatru wyjść, bo wrota zamknięto. Cesarz uwielbiał kreować role władców, a dla wzmocnienia efektu przywdziewał maskę z rysami własnej twarzy. W takim teatrze aktor Neron był jedynym widzem, bo wszystkich innych przemienił w aktorów. Tylko on mógł się bezkarnie przyglądać, bo był prawdziwym cesarzem. Po premierze studenckiej „Historii Jakuba” Piotr Cieplak spotkał się z widownią i oznajmił, że kto jego sztukę krytykuje, wykazuje „intelektualne zbydlęcenie”. Strach pomyśleć, co będzie, kiedy Cieplak zostanie cesarzem.

MIROSLAW KOCUR



Magdalena Kuta, Maria Maj, Stanisława Celińska (próba „Bachantek” Eurypidesa)

Goście Wieczery Pańskiej

Krzysztof Warlikowski opowiada o tym, jaki jest Bóg, jak go poznajemy i do kogo przychodzi. I czyni to z pasją, jakiej dawno nie widziałem w polskim teatrze.

Dwa lata temu powątpiewałem nieco, nie tyle w siłę scenicznych wizji, co w głębię intelektualną przedstawień Warlikowskiego. Po „Bachantkach” muszę przyznać, że się myliłem: reżyser nie działa tylko na emocje widzów, ale zmusza ich do myślenia, zastanowienia się nad tym, czym jest ich wiara lub jej brak.

Już od pierwszej sceny jesteśmy w Pałacu Penteusza. Publicz-

ność zajmuje miejsca na scenie i na widowni. Scenografia sugeruje, że miejsce akcji to wcale nie antyczne Teby, lecz garaż z przedmieść wielkiego miasta albo bandycka melina. Ubrany współcześnie sługa zamiata podłogę. Na stole leży chleb, stoją butelki i słoiki. Bóg przyjdzie tutaj na wieczerzę.

Najbardziej niezwykły jest pomysł na chór. Tworzą go trzy stare kobiety (Magdalena Kuta, Maria Maj, Stanisława Celińska), ich zniszczone przez czas twarze są pomalowane w jaskrawe kolory. Bachantki trzymają w rękach modlitewniki. To stare dziwki, zbyt

chore i niedołężne, by wraz ze wszystkimi innymi kobietami poddać się orgiastycznemu kultowi nowego boga w leśnych ostępach. Zostały w Tebach, adorują posążek Dionizosa, palą świece, odmawiają pacierze, przynoszą dobrą nowinę jak misjonarki w slamsach. Chór melorecytuje wersy Eurypidesa do wtóru delikatnej, cichutkiej muzyki, która dobiega z odległości, spoza pomieszczenia. To trip-hopowy podkład: gdzieś tam w mieście ludzie się bawią. Muzyka wyznacza rolę także innym bohaterom. Każdy z aktorów mówi w innej tonacji – posłaniec opowiada o szaleństwie

bachantek jakby czytał Ewangelię, frazy Penteusza są krótkie, rwane, dziwnie akcentowane.

Warlikowski ociera się o bluźnierstwo. Spaja w jedno wątki greckie i chrześcijańskie. Pokazuje, jak będzie wyglądać drugie przyjście Chrystusa. W jego wizji będzie to inny Chrystus – Chrystus-Dionizos. Odtwarzający Boga Andrzej Chyra gra zwierzę wcielone w człowieka, kozioł Dionizosa. To zwierzę najpierw nie ma głowy, potem uczy się mówić i chodzić, stopniowo przejmując cechy swojego przeladowcy – Penteusza. Wkłada jego kostium, mówi z identycznym akcentem. Uczłowieczony Bóg staje się bardziej okrutny niż człowiek. W najpiękniejszej scenie przedstawienia skryty w ciemności Dionizos opowiada, jak cudem wydostał się z lochu – pękły mury i krata, strażnicy uciekli. Bachantki oświetlają go migającymi zajączkami z lusterek. Twarz Boga znika i znów się pojawia.

Eurypides ostrzegał w swojej tragedii – winą człowieka jest brak wiary, ale i winą jest jej nadmiar. Prawdziwa wiara, taka wiara, która przynosi ocalenie, musi być ułomna, pęknięta, niespełniona, nie doprowadzona do ostateczności, bo granica między Bogiem a śmiercią jest niemal nieuchwytna. Warlikowski brnie w dwuznaczności. Zawsze jest jakiś zły Bóg. Zawsze są ludzie, którzy za bardzo wierzą. W finale na scenie nie ma Dionizosa, zniknęły gdzieś bachantki, umywszy uprzednio swe kolorowe twarze. Na stole ofiarnym leży Agawe (Małgorzata Hajewska-Krzysztofik) i przyciska do łona głowę Penteusza. Opętana Bogiem, dopiero co rozszarpała w górach własnego syna. Warlikowski pokazuje kobietę, która rodziła dwa razy: najpierw dała życie, potem dała śmierć. Stary Kadmos Andrzeja Bednarza wylewa obok niej zawartość dwóch wiader z ludzkimi wnętrznościami. Tyle zostało z króla-niedowiarka. W najprawdziwszej komunii człowieka z Bogiem to człowiek, nie Bóg, zostaje zjedzony.

LUKASZ DREWNIAK

Teatr Rozmaitości w Warszawie „Bachantki” Eurypidesa. Przekład: Stanisław Hebanowski, reżyseria: Krzysztof Warlikowski, scenografia: Małgorzata Szczśniak, muzyka: Paweł Mikiety. Premiera: 9 lutego 2001.

Małe wielkie otwarcie



Głowacki

Rocznik 1965. Krytyk. Krytykował wszystkich na łamach „Teatru”, „Tygodnika Powszechnego”, „Rzeczpospolitej” i „Dziennika Polskiego”.

Którym trafiło się szczęście, jeśli kto woli – nieszczęście, śmiertelnego falstartu, którzy byli już po tamtej stronie, ale jakimś cudem, chcianym bądź niechcianym, wrócili, powiadają, że tuż przed ostatecznym końcem widać spokojną jasność. Różni fachowcy różnie tę jasność czytają. Jakis piekielnie oryginalny proboszcz powiada, że to niechybnie mrugnięcie Boga, spece od tajemnic mózgu, że tutaj chodzi o specjalnie rzadką przedśmiertną fuzję chemikaliów, co na dnie oka daje złudzenie błękitnego blasku. A byle kto, komu udał się finalny falstart, powiada zwyczajnie: „Wiedziałem, że to koniec, miałem pewność, widziałem światło, ale dziwna rzecz... wcale się nie bałem...”. Ten ktoś byle jaki ma rację, bo mu w ogóle nie o rację chodzi. Jemu dziś wystarcza tamten brak strachu. „Letni dzień” Mrożka to na godzinę rozłożona chwila tuż przed końcem. „Letni dzień” Opalskiego to wielka kropla jasnego spokoju świata.

Zanim padnie pierwsze słowo, Opalski mówi prawie wszystko, z banałów zsywa opowieść o nieusuwalnym milczeniu pozaludzkiej rzeczywistości. Niemota ogromnego, zżarte-go upałem powietrza w kolorze piasku, niemota wiecznie monotonna fali, niemota skrzeczących mew, milczenie szarobłękitnego płynu w trzech graniastych szklankach – a w środku trzy przerażone wióry.

Herbert pisał gdzieś o obrazach pewnego Holendra, że stosunek ogromnego nieba do ładu jest na nich, jak cztery do jednego. Jak się ma do tego wiór, to lite nic, inaczej zwane człowiekiem? Ktoś inny mówił: „Jedynym sposobem, w jaki można mówić o niczym, jest mówienie o tym tak, jak gdyby było czymś, podobnie jak jedynym sposobem mówienia o Bogu jest mówienie o nim tak, jakby był człowiekiem (...) i tak samo jak jedynym sposobem mówienia o człowieku (...) jest mówienie o nim tak, jak gdyby był owadem”. Rachunek jest więc prosty: wiór, ziemia, niebo – zero, jeden, cztery. Opalski jest entomologiem starej daty – wiedząc, jak łatwo rozgnieść żuka, pozwala trzem żukom mówić, po-

zwala jeszcze pożyć przez tę chwilę, co ją Mrożek rozciągnął do godziny. I – otwierając drzwi na milczącą ziemię, na milczące niebo – pomaga im usunąć przerażenie, być rzeczywiście niczym, każdemu z osobna pomaga ewentualnie szepnąć kiedyś, jak Bóg da: „Dziwna rzecz... wcale się nie bałem”.

Otwarcia Mrożka zawsze są dojmujące, u Mrożka człowiek nigdy nie jest samodzielnym kolosem. Otwarcie na góry w „Garbusie”, otwarcie na ocean w „Miłości na Krymie”, otwarcie na dachy świata w „Pięknym widoku”, mordercze, idące ściekowymi rurami otwarcie na sytość

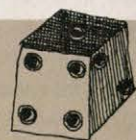
świata w „Emigrantach”, otwarcia, zawsze otwarcia na potwornie cichą obecność jakości pozaludzkich. Rzecz tylko w tym, żeby znaleźć tę obecność, żeby jej smak wyssać spod skóry Mrożkowego tekstu – wtedy można odrzucić karczemny proceder czytania jego sztuk przy wydatnej pomocy cyrku i ekierki, linijki i kątomierza, geometrii i suchych jak pieprz sylogi-

zmów. I jeszcze coś – wtedy, z tą obecnością na ramieniu, ostro zobaczyć można całą małość naszego dzisiejszego teatru, gdzie wszystkie drzwi są zaryglowane, małość, która nie ma pleców. Tutaj postać zawsze jest samodzielna i we wszystkim – w małości, wielkości, w czymkolwiek – nic, tylko pretensjonalnie i niedorzecznie dowodzi swej samotnej wyjątkowości.

Tak, teatr polski dziś to duchota szczególnie na zimę ogaconej wygodki, gdzie bohater godzinami wyjękuje swą zatwardziałą jakość. Słowem – teatr polski porzucił oko widza i dlatego wielkość jego jest dziś na miarę rasowego kurdupla.

Pewnie stąd, przez zwykłe porównanie, kolor w graniastych szklankach tak długo zostaje pod powieką, nie daje spokoju. W środku seansu Mariusz Wojciechowski, fenomenalny jako Nieud, jest już poza strachem. Nie boi się, jakby tam już był i wrócił. Teraz znów idzie. Może tym razem się uda? Wypija ostatnią kroplę wiecznego milczącego szarego błękitu, po czym nurkuje. O włos za głęboko. Udało się, może już odsapnąć.

PAWEŁ GŁOWACKI



WARSZAWSKĄ „KATARANTKĘ” CAŁKIEM PRZYPADKIEM OBEJRZAŁEM W PORZE MECZU POLSKA – SZWAJCARIA. TWÓRCY SPEKTAKLU, PODOBNI JAK NASI ZAWODNICY, RÓWNIEM STRZELILI CZTERY GOLE.

- 1.** Gol z przewrotki. Scenografia jest efektownie skrzywiona, jej zaburzona perspektywa sugeruje świat widziany przez ślepnącą śpiewaczkę operową, która na scenie rozlicza się ze swoim życiem.
- 2.** Strzał w światło bramki. Wielokolorowe plamy świetlne ukazują bariery czasowe dzielące bohaterów, sygnalizują ich wiek albo miejsce, w którym się znajdują. Chętnie obejrzałbym to jeszcze raz na powtórce.
- 3.** Szczupak. Fragmenty muzyczne pojawiają się w spektaklu nieoczekiwanie. Halina Łabonarska dobiega do nich jak napastnik do podania, ryzykownie przejmując ich tonację, przez sekundę smakuje ich barwę, po czym wraca do swojej opowieści. Ale my wiemy już o niej więcej. Najładniejszy gol spektaklu to scena z otwieraniem starych świątecznych kartek z pozytywkami, w pewnym momencie wszystkie grają jednocześnie, tworząc kakofonię wspomnień.
- 4.** Samobój. Brzmienia jak zepsuta katarynka spowiedź Łabonarskiej, a właściwie jej randka z kataraktą (stąd tytułowa „katarantka”) ma momenty nużące. Nie wierzę aktorom Mana – istnieją zbyt krótko na scenie (czasem dla jednej kwestii), żeby udało się im zbudować wiarygodną postać. Jedyną naprawdę solidną figurą w tym przedstawieniu była figura Magdaleny Kizinkiewicz (Córka). Niejeden piłkarz z kadry trenera Engla zamieniłby się z nią na koszulki.

(ŁD)

Teatr Polski w Warszawie: „Katarantka Tomasza Mana”. Reż. Tomasz Man, scenografia Magdalena Gajewska, muzyka Rafał Augustyn. Prapremiera: 28 stycznia 2001.

ABSTRAKCJE

MUZYKA W MUZEUM



Brian Eno, znany ze współpracy z Roxy Music i Davidem Bowie, 3 marca otworzył wystawę „dźwięku” w Muzeum Sztuki Współczesnej w San Francisco. Prezentowana muzyka nie ma melodii, rytmu i nigdy nie można wysłuchać dwa razy tego samego fragmentu. Jedną z części „ekspozycji” ma tytuł „Propozycja kompaktowego

lasu”. W mrocznym pomieszczeniu rozświetlonym jedynie reflektorami, których promienie przypominają pnie drzew, umieszczono jedenaście odtwarzaczy CD. Z każdego z nich syczy się muzyka innego instrumentu. Całość przypomina nieco ścieżkę dźwiękową filmu grozy. W rzeczywistości jest to gwar miasta przepuszczony przez syntezator. „Zawsze chciałem tworzyć muzykę połączoną z architekturą” – powiedział dziennikarzom kompozytor. Obecnie Eno prowadzi rozmowy z londyńskim lotniskiem Heathrow w sprawie stworzenia tam pokoju-poczekalni. Podróźni będą mogli w nim posłuchać muzyki kompozytora i odpocząć od zgiełku panującego na lotnisku. (SR)

OBIEKTYW

CAŁKIEM NOWE

■ **MIĘDZY TRADYCJĄ A EKSPERYMENTEM.** Sztuka czeska 1939–1989. Prace z kolekcji Muzeum Sztuki w Ołomuńcu, przegląd najważniejszych tendencji w powojennej sztuce czeskiej.

Do 14 kwietnia. Kraków, Międzynarodowe Centrum Kultury, Rynek Główny 25, www.mck.krakow.pl

TRWA

■ **KATEŘINA VINCOUROVÁ. HOBBYRAUM.** Instalacja, wideo wyróżniającej się czeskiej artystki najmłodszego pokolenia.

Do 8 kwietnia. Warszawa, CSW Zamek Ujazdowski, al. Ujazdowskie 6, www.csw.art.pl

OSTATNIA SZANSA

■ **MANGA – ŚWIAT JAPOŃSKIEGO KOMIKSU.** Rozwój Mangi – od prac pierwszych twórców do filmów animowanych.

Do 18 marca. Kraków, Centrum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha, ul. Konopnickiej 26

ADAM HOFFMANN zmarł w Krakowie 3 marca 2001 w wieku 83 lat. Humanista i szyderca. Artysta malarz i rysownik, profesor Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie i filii ASP w Katowicach oraz Liceum Plastycznego w Krakowie i Katowicach. Uczył rysunku, kompozycji, pedagogiki, zdrowego rozsądku, antyakademizmu i nonkonformizmu artystycznego. Wychowawca i przyjaciel wielu artystów. Do ostatnich dni nauczyciel – perypatetyk. Wspomnienie o artyście w następnym „Przekroju”.

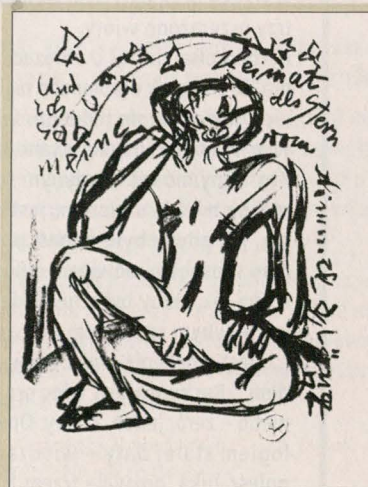


Graficzny CHAGALL

Wszyscy pamiętamy wystawę obrazów Marca Chagalla w krakowskim Muzeum Narodowym. Jakie wtedy tam były koleżki! Prace tego artysty znowu możemy u nas oglądać. Tym razem w Warszawie – w Muzeum Teatralnym Teatru Wielkiego, ale nie obrazy, a grafiki.

Grafiki imponujące: ilością (280 prac) i jakością (dzieła najwybitniejsze, z najważniejszych okresów twórczości Chagalla). Praca nad 106 ilustracjami Biblii zajęła artyście kilkadziesiąt lat. Najpierw jednak wyjechał do źródła chrześcijań-

stwa – do Palestyny, potem studiował dzieła Rembrandta. Jak sam powiedział: nie przeczytał Biblii, ale ją wyjaśnił. W latach 20. zilustrował „Martwe dusze” Gogola. Ponad sto sztychów i grawiur stworzyło magiczny, niespokojny obraz rosyjskiej prowincji. Natomiast „Siedem grzechów głównych” to graficzne uzupełnienie tekstów piętnujących ludzkie przywary. Także i tutaj znaleźć można elementy Chagallowskiego świata: człowieka z głową koguta, odwróconą kolaskę, postaci i przedmioty unoszące się nad ziemią.



Gnoza NA WYSTAWIE

Wrocławskie Muzeum Narodowe prezentuje prace niemieckich grafików okresu dwudziestolecia międzywojennego. Charakterystyczne dla tego czasu zaniegowanie pojęcia tradycji, kryzys wartości związany z rozwojem cywilizacji stały się impulsem do zmian w sztuce. Artyści przez źródła naukowe, filozofię, doświadczenie mistyczne osiągnęli

A. Kolde, litografia z teki *I cherubin stoi przed Bogiem*, 1922

„Arabskie noce” są jedyną na wystawie serią barwną. Te grafiki urzekają zmysłowością, intensywnymi kolorami: żółtym, fioletem, czerwienią i szafirem. Ilustracje do „Baśni z 1001 nocy” odegrały bardzo ważną rolę w powojennej twórczości artysty. Na weneckim biennale w roku 1948 zdobył nagrodę w dziedzinie grafiki. Ponadto na wystawie w Muzeum Teatralnym zgromadzono prace Chagalla w większości nigdy wcześniej nie pokazywane publicznie. Wśród nich znajdują się rysunki wykonane różnymi technikami – odzwierciedlające wielką spostrzegawczość, wirtuozerię i fantazję ich twórcy.

AGNIESZKA WRZESIEŃ

Marc Chagall. Grafiki.
Do 31 maja. Warszawa, Teatr Wielki,
Muzeum Teatralne, pl. Teatralny 1
www.teatr Wielki.pl

w jedności z naturą i medytacją próbowali wykształcić nowy rodzaj świadomości, akcentując tajemnicze i mroczne wnętrza człowieka. Wykorzystywali w tym celu elementy magii, fantastyki, okultyzmu.

Na wystawie zobaczyć można między innymi rysunki i grafiki autorstwa Ernsta Barlacha, Alexandra Koldego oraz unikatowe pierwsze wydanie książki Kadin-sky'ego „O duchowości w sztuce”. (A.J.)

„Nowa gnoza, mistycyzm, magiczny realizm”, Wrocław, Muzeum Narodowe, 2 marca do 6 kwietnia 2001.

300 słów ZBIGNIEWA LIBERY

Artysta, lat 42, kontrowersyjny, znany i wystawiany na całym świecie

TRUDNOŚCI

Nie jest tajemnicą, że zawód artysty jest chyba najbardziej ryzykownym i niewdzięcznym zajęciem z możliwych. Szczególnie skomplikowane jest to w naszym kraju – na sztukę nie ma pieniędzy. Duże instytucje kultury wypracowały strategię wystawiania coraz młodszych artystów, którzy zrealizowali swoje pierwsze prace jeszcze w trakcie studiów. To jest tani i łatwy sposób podtrzymywania iluzji o istnieniu ciągłości sztuki w Polsce. Tym młodym, bez pomocy, starcza sił może na zrobienie jeszcze jednej wystawy. Potem ich miejsce zajmują młodszy. Nigdy u nas nie było pieniędzy na to, by prowadzić twórcę przez cały okres jego pracy. Historia naszej sztuki, to historia talentów, które nie miały szansy się rozwinąć.

PROJEKTY

Od mniej więcej trzech lat zajmuję się obiektami, które wymagają długiej i specjalistycznej pracy. Problem w tym, że niezwykle trudno znaleźć wśród polskich instytucji artystycznych partnera chętnego do współpracy na dłuższy okres. Te instytucje egzystują w ciągłym stanie niepewności. Od półtora roku prowadzę negocjacje z Muzeum Sztuki w Łodzi i wciąż jesteśmy na etapie dyskusowania umowy, a nie tego, co i jak ma być zrobione. Rozmowy dotyczą serii maszyn do depriwacji sensorycznej. Będzie można wrzucić monetę i skorzystać z takiej maszyny. Po 45–50 minutach, w warunkach izolacji od wszelkich bodźców zewnętrznych, nasz mózg uwolni obrazy z głębokiej podświadomości. Oczywiście wszystko musi odbywać się przy zachowaniu pełnego bezpieczeństwa.

CODZIENNOŚĆ

Zadziwiająca jest dysproporcja pomiędzy wizerunkiem moim czy moich kolegów w mediach a naszym dniem codziennym. Pozycja naszej sztuki nie odpowiada poziomowi naszego życia. Oczywiście chodzi tu o pieniądze. Na przykład moje klocki („Lego: Obóz koncentracyjny” z 1996 r.) kupił pewien Norweg. Dowiedziałem się niedawno, że Museum of Modern Art w Sztokholmie chce kupić komplet. Jego cena jest teraz dwudziestokrotnie wyższa od kwoty, którą otrzymałem na początku.

ZIMNA WOJNA (wystawa zbiorowa)
Stowarzyszenie Teatralne Łaźnia, Kraków,
ul. Paulińska 28, od 15 do około 22 marca.



Evviva l'arte! EVVIVA MILVA!



Naprawdę nazywa się Maria Ilva Biolcati, ale światu znana jest jako Milva. Rudowłosa, pełna temperamentu, nieposkromiona, a jednocześnie – prawdziwa dama. Jest chyba ostatnią, po Marlenie Dietrich czy Edith Piaf, z wielkich, charyzmatycznych gwiazd europejskiej estrady XX w.

Jej głos o operowej skali i niebagatelne aktorstwo sprawiają, że nie ma takiego repertuaru, jakim nie mogłaby podbić widowni. Od szlagierów z berlińskich kabaretów, przez jazzowe standardy Gershwinia i Cole'a Portera, po tanga Piazzoli czy songi Brechta i Weilla.

Świat ujrzał Milwę pierwszy raz w 1959 r., kiedy wygrała konkurs włoskiej stacji radiowej i telewizyjnej RAI, poszukującej nowych talentów. Pokonała wówczas 7600 konkurentów. Żadna z ówczesnych gwiazd włoskiej piosenki nie mogła myśleć o karierze bez laurów zdobytych na festiwalu w San Remo. Milva brała w nim udział dziesięciokrotnie, najczęściej z powodzeniem, a jedna z nagrodzonych tam piosenek w jej interpretacji – „Tango italiano” – stała się światowym przebojem. W 1962 r. została Piosenkarką Roku. Wtedy zagrała również w swoim pierwszym filmie „Piękności Hipolity” u boku Giny Lollobrigidy.

Nie chciała jednak zostać jedną z licznych gwiazdek filmowych. Zainteresowała się teatrem. Kilka lat później można już było podziwiać ją na scenie Piccolo Te-

atro di Milano. Tam też powstał jej pierwszy recital brechtowski, który odniósł ogromny sukces. Brały wszystkich wielkich teatrów i festiwalu Europy otwarły się dla Milvy po inscenizacji „Opery za trzy grosze”, gdzie niezwykle przekonująco zagrała rolę Jenny.

Włoska pieśniarka, nobilitowana współpracą z Brookiem i Strehlerem – tego ostatniego określa mianem najważniejszego twórcy w jej życiu – w ciągu 40-letniej kariery występuje z powodzeniem na najbardziej prestiżowych scenach świata.

W czym tkwi tajemnica cudownej Włoszki? Być może w tym, że w świetle reflektorów jest całkowicie samowystarczalna. Potrafi być ekspresyjna i precyzyjna w każdym geście, coś jak japoński aktor teatru butoh i sentymentalna diwa operowa w jednym. Na oczach tłumu staje się naiwnym podlotkiem lub próżną i pustą lalką, lecz wystarczy sekunda, by przeistoczyła się w dojrzałą, świadomą swego magnetyzmu i erotyzmu kobietę. Milva wszystkim, co śpiewa, nadaje niepowtarzalny, osobisty charakter. Tworzy jedyny w swoim rodzaju teatr. A ten teatr to jej niski, ciemny, czasami chropowaty, w wysokich partiach nabierający czystości kryształ glos, to ręce, o których można by napisać sztukę, ręce odgrywające w powietrzu własny dramat, to włosy – gęste, falujące, rude loki, które sprawiają, że wygląda jak Rita Hayworth.

MILVA WYSTĄPI W POLSCE DWUKROTNIE:

- 18 marca o godz. 20.00 w Operetce Wrocławskiej „Milva śpiewa Brechta” jako gwiazda Festiwalu Piosenki Aktorskiej
- 19 marca o godz. 19.00 w Filharmonii Krakowskiej „Milva Recital”

Ona nie ślizga się po powierzchni, nie odgrywa jedynie aktorskiej arabeski, lecz całą sobą wnika w świat, który tworzy z byle czego. I tak naprawdę nie ma znaczenia, co śpiewa i czy jest to po niemiecku, angielsku, francusku lub włosku.

Milva należy do tej samej klasy, co artyści, których utwory wykonuje. I choć wiele piosenek z jej repertuaru jest starszych od niej samej – tak jak choćby rewelacyjnie interpretowana przez Milwę „Lili Marleen” – w wykonaniu tej doskonałej artystki każda z nich to evergreen.

Pierwszy raz w Polsce włoska gwiazda wystąpiła w październiku 1996 r. podczas Festiwalu Unii Teatrów Europy z recitalem „Nie zawsze świeci księżyc”, opatrzonym podtytułem „Milva śpiewa nowego Brechta”. Rok później odwiedziła nas ze spektaklem „Piosenki między dwiema wojnami”. A jeszcze rok później zaprezentowała „El Tango de Astor Piazzolla”.

W artystycznym zyciorysie Milvy są i polskie wątki. Między innymi udział w filmie Zanussiego „Gdziekolwiek jest, jeśli jest...”. Przed 13 laty śpiewała w La Scali w spektaklu „Błękitny anioł” z choreografią Rolanda Petita, w którym artystom towarzyszyła Orkiestra Polskiego Radia i Telewizji z Warszawy. Milva czyta wiersze Szymborskiej.

– Chciałam podziękować polskiej noblistce Wisławie Szymborskiej. Jej wiersze są niezwykle. Szkoda, że kiedy dostała Nobla, na odbywających się wówczas targach we Frankfurcie nie było ani jednej jej książki – mówiła z wyrzutem podczas spotkania z dziennikarzami przed warszawskim recitalem w 1998 r. Powiedziała też kiedyś, że żałuje, iż nie spotkała się z Kantorem – jego „Umarła klasa” wstrząsnęła nią do głębi.

Milva zapowiadała, że w roku 2000 zakończy definitywnie karierę sceniczną. Tymczasem mamy rok 2001 i już za parę dni znów będzie można podziwiać w naszym kraju rudowłosą legendę.

JOWITA DZIEDZIC

GYMESIK DLA MELOMANA



alność świata muzycznego. Jak mówi Pressler, gra w triu przypomina małżeństwo we troje. O ile jednak w starym składzie koncepcja interpretacyjna zakładała równy udział w procesie wykonawczym, ceniła temperament i różnorodność każdego z muzyków, o tyle obecnie role podzielono na apodyktycznego męża – Presslera i potulne żony – skrzypka Young Uck Kima i wiolonczelistę Antonio Meneses.

Inna sprawa, że sala koncertowa Filharmonii Narodowej nie jest pod względem akustycznym najlepszym miejscem do wykonywania utworów kameralnych, a balkon, z którego chyba najlepiej odbiera się muzykę, był niestety w czasie koncertu zamknięty.

Gorąco polecam nagrania Beaux Arts z pierwszego małżeństwa: chociażby wydany przez Philipsa w 1991 r. album CD z triami Beethovena.

Philips Classics

JULIA KUBICA

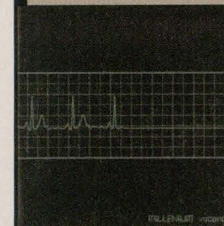
ORB. Nowa syntetyczna pigułka muzyki zespołu znanego z penetracji dźwiękowej przestrzeni. „Cydonia” zachowuje klimat poprzednich płyt, dlatego znawców tematu nie zaskoczy. Równomiernie rozłożoną dawkę sztucznych brzmień przemieszano z anielskimi wokalami, więc na pewno jest trochę natury w tej grze syntezatorów. Oprócz ludzkich głosów usłyszeć można „żywe” instrumenty (gitara, bas, smyczki), jednak całość mocno przetworzona. Najważniejszy jest klimat, a ten stopniowo narasta, burzy się, kotłuje w ambientowym sosie technicznej suity – symfonii szumów, rytmów i cieni. (TSE)

Universal



STACEY KENT. Kolejna porcja uroczych jazzowych mrużanek. „Dreamsville” znakomicie sprawdza się na romantycznych wieczorkach we dwoje, jak i w absolutnej samotni. Wybór utworów to osobista antologia Stacey Kent – dedykowana przyjaciołom i wszystkim znajomym. Nie jest to w żadnym wypadku „concept album”, lecz raczej przypadkowy zbiór piosenek, z którymi emocjonalnie związana jest śpiewaczka. Jednak tym przypadkiem rządzi jakaś metoda – profesjonalizm i pasja śpiewania. Czuć w tych piosenkach zaangażowanie i radość. A uwodzący głos w towarzystwie doborowych muzyków nikogo obojętnym nie zostawi. (RZ)

candid/multikulti

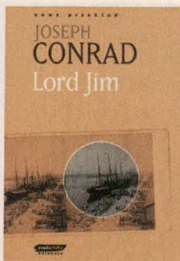


MILLENIUM. Zaskakująco udana polska płyta. „Vocanda” nie wstydi się odcinania kuponów od twórczości Genesis czy Pink Floyd. Nie drażni to, że podobne kompozycje słyszeliśmy 20 lat temu. Co ciekawe – piosenki zaśpiewane po angielsku nie śmieszają. Album jest pewną koncepcyjną całością – historią współczesnego człowieka, zagubionego w świecie. Zgódźmy się – jest to dość naiwne, ale nie o treść, lecz o muzykę tutaj chodzi. A jest to rock progresywny, gatunek obecnie zapomniany, bez niespodzianek, muzycznych fajerwerków. Za to żywszy od ostatnich płyt Pink Floydów i Watersów razem wziętych. I za to brawo. (RZ)

lynx music

TRIO SZTUK PIĘKNYCH. 30 stycznia w warszawskiej filharmonii zagościło Beaux Arts Trio z utworami Haydna, Beethovena i Mendelssohna. Na dokonaniach tego chyba najpopularniejszego zespołu kameralnego na świecie, działającego ponad 40 lat, wychowywały się rzesze melomanów i muzyków. Trio ustanowiło kanony wykonawcze muzyki klasycznej: Haydn w ich interpretacji nie ma sobie równych.

Ze starego składu tria pozostał jedynie pianista Menahem Pressler – wielka indywidualność świata muzycznego.



•••••
Lektura nowego przekładu „Lorda Jima” przekonuje, że odpowiedzi na pytanie o przyczyny chłodnego stosunku dzisiejszego młodego czytelnika do dylematów moralnych głównego bohatera powieści Conrada należy szukać głębiej niż tylko na poziomie rzekomej archaiczności lub współczesności języka przekładu. Translatorska rzetelność Michała Kłobukowskiego, który dochowuje wierności trudnej Conradowskiej składni, unikając równocześnie stylistycznych i leksykalnych ekstrawagancji, potwierdza bowiem, paradoksalnie, wysoką wartość wcześniejszego o ponad pół wieku tłumaczenia Anieli Zagórskiej. Od dziś dysponujemy więc po prostu dwoma porównywalnymi pod względem artystycznym przekładami „Lorda Jima” – za jednym przemawia świeżość i atrakcyjny polor nowości, za drugim – zgodny zachwyt kilku pokoleń czytelników. (TK)

Joseph Conrad: „Lord Jim”, przeł. M. Kłobukowski, Wydawnictwo ZNAK, Kraków 2001.



•••••
Zdaje się, że trzeci tom przygód Harry’ego Pottera jest grubszy od poprzednich. Nie mogę sprawdzić, bo sprytnie mrówki wyniosły egzemplarze rodzinne z domu i nie wiadomo, kiedy znów wpadną na podwieczorek. Harry jest już uczniem trzeciej klasy Hogwartu, szkoły magii i czarodziejstwa. Nauczył się nawet wsiadać do szkolnego pociągu, który niezmiennie odjeżdża z peronu numer dziewięć i trzy czwarte (chłopak wcześniej miał z tym poważne problemy). Hagrid, człowiek z lasu, zostaje profesorem Hogwartu (specjalizacja: opieka nad magicznymi stworzeniami) i wdziema na tę okoliczność długi płaszcz z krecich futerek. Hermiona-kujon ma problemy z nauką, a jej kot, Krzywołap, próbuje wykończyć Parszywka, szczura mieszkającego w kieszeni Rona. Doświadczeń przybywa. Wszystko wskazuje na to, że ostatni tom osiągnie rozmiary „Ulissesa” Jamesa Joyce’a. I bardzo dobrze. Niech czytają. (DF)

Joanne K. Rowling: „Harry Potter i więźni Azkabanu”. Przełożył Andrzej Polkowski. Media Rodzina, Poznań 2001.

ZDANIEM mojej ŻONY...

...wszyscy tylko czekają, żeby ukraść komuś dobry pomysł i zrobić na tym duże pieniądze. „Pamiętasz mój projekt, który roboczo nazwałam «Big Sister?» Pamiętałem: chodziło o to, że ukryte kamery miały dwa-dziesiąt cztery godziny na dobę pokazywać ukryte życie siostry Małysz. Rzecz nie doszła do skutku z przyczyn obiektywnych (Małysz nie ma siostry), ale pomysł przechwycił ktoś inny, leciutko zmienił tytuł i już kosi straszny szmalec. Albo «Little Grandfather», pamiętasz?” Jakże mógłbym zapomnieć: do kaloryfera przywiązano mojego dziadka, a specjalna kamera miała rejestrować jego powolne kurczenie się pod wpływem czasu. Pech chciał, że odciął ciepło, dziadek zachorował na zapalenie płuc i cały projekt diabli wzięli. „A co powiesz o «Big Oz?»” Nie, tego nie pamiętałem. „Jak to, pyta moja żona, jak możesz nie pamiętać cyklu pouczających pogadanek, w których wielki brzuchomówca miał opowiadać ludziom, jak żyć? Czy wiesz, co oni zrobili z moim pomysłem?” Teraz sobie przypomniałem: chodzi o cykl, w którym wielki brzuchomówca polskiej telewizji, Robert Makłowicz, opowiada ludziom, jak jeść. **mąż**

ZDRADZANIE

Najnowsza książka Marcina Świetlickiego przekonuje o konieczności zmiany sposobów lektury jego poezji.

Wypada zastąpić doraźne polemiczne (o)sądy rzetelną analizą poetyki tych tekstów, próbą rozpoznania wewnętrznej logiki ich rozwoju i osadzenia ich w szerszej tradycji literackiej. Paradoks polega na tym, że zadanie trzeba wykonać niejako wbrew samemu autorowi, który uparcie stara się przekonać nas do swoich popkulturowych fascynacji i prowokacyjnie dowartościowuje undergroundowy blitr kultury rockowej.

Autorem niezbornego językowo motta jest muzyk rockowy, adresatami większości dedykacji są muzycy rockowi, część tekstów („Brejkanie”, „Kłamanie”, „Zabijanie”) nawiązuje wyraźnie do poetyki tekstów punkowych. Rzecz w tym, że Świetlicki, przywołując tak chętnie bliski sobie środowiskowy konkret (obyczajowy i personalny), tworzy tyleż prawdziwy, co powierzchowny kontekst odbioru własnej poezji. Jeżeli pozostaniemy w kręgu tych najbardziej jaskrawych, dosłownych odniesień, nie dostrzeżemy w nowych wierszach Świetlickiego ani zmiany kreacji bohatera, ani zmiany stosunku do języka poetyckiego.

Jeżeli jednak świadomie sprzeniewierzmy się zewnętrznym sygnałom zostawianym przez poetę, przekonamy się, jak istotną rolę odgrywa w jego pisaniu umiejętnie wykorzystywana tradycja literacka. Usłyszymy na przykład dramatycznie przetworzone poetyckie echo refrenicznego moty-

wu z II części „Ziemi jałowej” Eliota, wykorzystane niegdyś w wierszu „Pora śmierci choinek” i powracające teraz jako jeden z możliwych kontekstów interpretacyjnych ukonkretniających tytułową metaforę tomu.

Dostrzeżemy poetycką wieloznaczność tej metafory opartą na językowej niespodziance: przetworzeniu banalnego informacyjnego zwrotu i jednoczesnym nawiązaniu do kompozycyjnego zamysłu książki – motywu „czynów do odwołania”, a więc czynów napisanych, nie obciążonych ciężarem nieodwracalności. Odczytując motto, nie będziemy koncentrować się na jego drażniącej poetyce, ale potraktujemy je jako przywołanie jednego z kluczowych dla tej poezji wątków – wątku zdrady, mającego również swoje czysto literackie źródła.

W poezji polskiej lat 70. i 80. słowem symbolicznym, synonimem nie tylko postawy moralnej, lecz także swoistego rozumienia powinności poezji, stała się wierność. Przeciwnością tej wierności jest w poezji Świetlickiego zdrada, pojmowana jako programowy brak zakorzenienia egzystencjalnego (w porządku istnienia) i metafizycznego (w porządku wartości). Historia zdrady zapisana w tej twórczości jest historią ucieczki przed zawłaszczeniem przez zbiorowość, ale także podstawową życiową strategią wynikającą z niewiary w trwałość i obiektywność jakiegokolwiek porządku.



W najnowszej książce Marcina Świetlickiego przemiana bohatera dokonuje się w przestrzeni wytyczonej przez opozycję wierności i zdrady. Nieoczekiwane przesunięcie się w stronę bieguna wierności nie jest pochodną zasadniczych światopoglądowych przewartościowań. Obietnica wierności płynie raczej z rezygnacji, zmęczenia i zwątpienia, a symboliczne pożegnanie dzieciństwa i akceptacja dojrzałości (podporządkowania się regułom, odpowiedzialności) podszyte są szyderczą świadomością infantylności „nowego wspaniałego świata”, w którym komendy wydaje „Pani”, a idea porządku sprowadza się do zajęcia miejsca w szeregu („Bacznosc!”).

W świecie „supermarketu-katedry” nie ma miejsca na ideowe przełomy, dlatego dramat tej poezji pozostaje dramatem lekkości, a nie ciężaru.

Najistotniejszą cechą poetyki nowego tomu jest akcentowanie językowej wieloznaczności. Własne słowa nie wymagają już, jak kiedyś, jawnego zaprzeczenia („Oczywiście, że nie ma miłości./ (...) Pomyliłem się”); własne słowa zmieniają się w szyderstwo i parodię za sprawą kontekstu, jak w wierszu „Całowanie” („Cmok. Cmok. Całuję/ się z mikrofonem./ Ponieważ miłość jest./ Miłość über alles”), same odsłaniają przyrodzoną im znaczeniową „zdradliwość” (zob. „Burzenie”, „Dnienie”, „Gadanie”, „Żlenie”). Zabiegi te nie są nieszkodliwą literacką zabawą; to coś znacznie poważniejszego. To rozbrat z dotychczasowym językowym optymizmem, z wiarą w możliwość jednoznacznej ekspresji i kultywowania poprzez język swojego indywidualizmu, swojej jednostkowej prawdy.

TOMASZ KUNZ
Marcin Świetlicki,
„Czynny do odwołania”.
Czarne 2001.



LICZĘ SIĘ na Rynku

Rozmowa
z **Marcinem
Świetlickim**
poetą



Pisuje pan wiersze dla przyjemności?

To ciężki kawałek chleba. Po dwóch liniijkach muszę spożyć posiłek regeneracyjny. Dla przyjemności pisują grafomani.

Czytuje pan poezję dla przyjemności?

Tak jest. Ostatnio XIX Tren Kochanowskiego. Jest cool.

A czy któryś fragment tego trenu podoba się panu szczególnie?

Zwłaszcza cztery pierwsze wersy. Są cool.

Czy nie nadużywa pan slangu młodzieżowego?

Moje wiersze kieruję ku Kindze, Patrykowi i Mariuszowi z IIIc. Inna publiczność jest niewrażliwa i nie jest cool.

Będzie pan zmieniał swój image, czy już na zawsze pozostanie pan rokendrolowcem spowitym w czerń?

Może kiedyś pofarbuję włosy, może kiedyś włożę pomarańczową kufajkę, ale i tak zawsze będę cool. Ludzie, którzy się nigdy nie zaczęli, mówią że się skończyłem. Co ja mam z tym zrobić?

Obchodzi pana, co ludzie o panu gadają?

Nie. Gdybym się tym przejmował, nigdy nie wyszedłbym z domu. Od kiedy dostaję anonimowy przepełniony nienawiścią, czuję, że liczę się na rynku.

A jak pańska rodzina znosi tę sytuację?

Mój syn zajęty jest pokemonami, moja kobieta zajęta jest TVN-em – lekce sobie mnie waży. Ale jeszcze o mnie usłyszą!

Jest pan znakomitym poetą, członkiem cenionego zespołu rockowego, a teraz jeszcze szykuje pan podobno niespodziankę prozatorską?

Owszem, razem z Grzegorzem Dyduchem maczaliśmy palce w przygotowywanym przez Wydawnictwo Literackie debiucie prozatorskim Marianny G. Świduchowskiej, ale ta niedobra kobieta, mówiąc wulgarnie – wypięła się na nas i uważa, że tylko ona jest autorką powieści „Katecheci i frustraci”. Będzie proces.

Uchyli pan rąbka tajemnicy – to będzie thriller, fantasy czy coś dla kobiet?

Będzie to krwawa powieść prorodzinna.

ROZMAWIAŁ MARCIN BARAN



ZYGMUNT KAŁUŻYŃSKI

— krytyk filmowy. Kinomaniak. Współautor książek: „Połacie pereł”, „Perłowa ruletka”. Współprowadzący program telewizyjny „Perły z lamusa”. Felietonista „Polityki”. Zapytany o ulubione „filmowe danie” odpowiada, że z około 140 tys. filmów fabularnych trudno mu wymienić ten jeden jedyny. „Najbardziej ascetyczny żywnościowo jest western. Tam tylko pije się whisky. No, ale za to wygląda się później jak John Wayne. Na drugim biegunie wciąż pozostaje «Wielkie żarcie» Marca Ferreri”.

TĘSKNIĘ ZA WIELKIM FILMEM

Co tutaj robisz?

Czekam na następny seans filmowy.

Najbardziej niedoceniona z Twoich zalet?

Umiem grać na flecie (nauczyłem się w orkiestrze szkolnej).

Pokusa nie do odparcia?

Wszystkie mi znane są nie do odparcia.

Co sprawia, że życie jest wyjątkowe?

Nadzieja, że zobaczę dobry film.

Gdybyś był psem, kogo byś ugryzł?

Każdego, kto się zbliży, bo nie życzę sobie być psem. Psy nie chodzą do kina.

Twoje grzechy główne?

Wszystkie z dekalogu prócz dziesiątego. („Nie pożądaj ani wolu, ani osła, ani służącego bliźniego twego”).

Pierwsze największe marzenie?

Pójść drugi raz do kina (po pierwszym już odbytym).

Gdybyś był zegarkiem, na której godzinie byś się zatrzymał?

Nie ma takiej. Nakręcałbym się wciąż. Cała wartość życia jest, że ciągle idzie naprzód.

Czego powinno nie być?

Wszystko jest potrzebne. Najgorsza sytuacja może mieć dobrą stronę.

Czego masz za dużo?

Wszystkiego mi brakuje.

Najbardziej staram się...

...nie opuścić ważnego filmu.

Co odróżnia człowieka?

Może chodzić do kina.

Ostatnia tęsknota?

Stale tęsknię za wielkim filmem.

Bez czego nie możesz zasnąć?

Potrafie spać nawet w kinie (na polskim filmie).

Wyjątek czy reguła?

I jedno, i drugie. Komplet. Film wyjątkowy należy zobaczyć, ale filmów gatunkowych też nie należy pomijać.

Na co liczysz?

Wciąż spodziewam się arcydzieła do przeżycia.

Kiedy jestem sam...

...ciągle jestem sam. Każdy jest sam, tylko stwarza sobie złudzenia, że jest inaczej.

Za co zapłaciłbyś każdą cenę?

Nie mam gotówki nawet na mniejsze nabytki.

Co podpowiadają ci złe siły?

Nie odpowiadać na tę tu ankietę. Pokonałem je.

Twój najbardziej zaniedbany talent?

Nie gram na flecie już 65 lat (patrz pytanie nr 2).

Jak chciałbyś być zapamiętany?

„Pisał o filmach”.

Co nowego?

Moja ciotka mówiła: Nie ma miłości, tylko jest namiętność, nie ma szczęścia, tylko jest święty spokój.

Dlaczego nie lubię seksu i harcerzy



ANTONI PAWLAK
Rocznik 1952. Autor ponad dwudziestu zbiorów wierszy. Również dziennikarz i wydawca.

Nie tyle ku przestrodze czy pokrzepieniu serc, co ku zabawie Czytelników – opowiem historię trzech moich wierszy.

Problem interpretacji

W połowie lat 70. ukazał się mój debiutancki tomik „Czynny całą dobę”. Wśród licznych miłych słów, jakie po jego publikacji do mnie dotarły, była pocztówka od prof. Artura Sandauera: „Zdecydowanie gratuluję debiutu. Ale wiersza »po moim wybuchu gniewu« kompletnie nie rozumiem”. Główny wątek owego wiersza to zburzony wybuchem gniewu dom oraz kobieta kolebiąca w wózku umarłe dziecko. Pamiętam kłótnię Młodego Krytyka z Młodym Redaktorem miesięcznika „Więź” o jego interpretację.

– To ewidentnie wiersz o wydarzeniach grudniowych z 1970 r. – wykrzykiwał podniecony Młody Redaktor.

– Co ty, Kazio, chrzanisz – zaperzył się Młody Krytyk – przecież na pierwszy rzut oka widać, że jest to zdecydowany i konsekwentny protest Antoniego przeciwko przerywaniu ciąży!

Nie mogli dojść do porozumienia. Ten swoje i tamten swoje. W końcu poprosili, bym rozstrzygnął ich fundamentalny spór. Powiedziałem: „Chłopaki, odwalcie się, co?”. Tak odpowiedziałem, bo wstyd było mi przyznać, że wiersz napisałem trochę jakby w myśl zaleceń André Bretona. Ot, głowa mnie bolała i tak mi się napisało.

Od tego czasu mam uraz do notowania niekontrolowanego ciągu świadomości.

Problem z cenzurą poza cenzurą

– To piękny wiersz o miłości, musisz nam go dać – powiedziała latem 1978 r. dziewczyna współpracująca z niezależnym kwartalni-

kiem literackim „Puls”. I tak poza cenzurą ukazał się mój poemat „I śmierć, wiele śmierci”.

Kiedy go pisałem, wydawało mi się, że piszę rzecz o miłości, Bogu i śmierci. Czyli o sprawach stosunkowo fundamentalnych. Niestety, dla wielu czytelników okazał się on wierszem tylko o stosunkach właśnie. Marek Nowakowski zaczął mnie kiedyś na ulicy i szepnął: „Wiesz, ten twój wiersz o tym, o miniecie, to nie tego. Wiesz?”. Zrobiła się chryja. Wśród studentów Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego ten (trzeci) numer „Pulsu” rozprawiano z wyrwanymi stronami – mojego poematu tam nie było. Na zebraniu Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR” prof. Rybicki zarzucił Stanisławowi Barańczakowi, że niezależne pismo propaguje pornografię i zażądał cofnięcia korowskiej dotacji do „Pulsu” i w ogóle jego zamknięcia. Uratował nas wówczas Jacek Kuroń słowami: „Ależ profesorze, przecież nie po to walczymy z cenzurą, żeby teraz samemu kogoś cenzurować”.

Żeby było śmieszniej, na początku stanu wojennego jakiś wytrawny krytyk literacki w „Trybunie Ludu” czy innym „Żołnierzu Wolności”, omawiając mój poemat, nazwał mnie – byłem z tego powodu tyleż zażenowany, co dumny – „Michaliną Wiślicką dla małolatów”.

Od tego czasu mam uraz do seksu.

Problem harcerzy

Pod koniec 1981 r. w gdańskim kwartalniku literackim „Punkt” miał ukazać się mój idylliczny wiersz „Feliks Dzierżyński chce wyjechać na wieś”. Dla jasności opowiedzieć muszę – proszę Czytelników o wybaczenie – wiersz ten przytoczyć.

*zostawić za sobą Moskwę
choć na chwilę z dala od
głodu akt komisarzy
i pocących się ze strachu wrogów
zanurzyć się w ciszy
położyć dłoń na głowie syna
wyciągnąć się na mchu
powiedzieć: spójrz Jaszu
jak tu pięknie
jak tu cicho
ile tu drzew
do wieszania*

Gdańska cenzura puściła, jako że moi przyjaciele z redakcji pisma przekonali cenzora, że taki świąteczny wierszyk, że chodzi o to, „co by tu na choince powiesić”. Cenzor w to uwierzył, bo był głupi (ale żeby aż tak?), albo tylko chciał w to uwierzyć – i numer poszedł do drukarni.

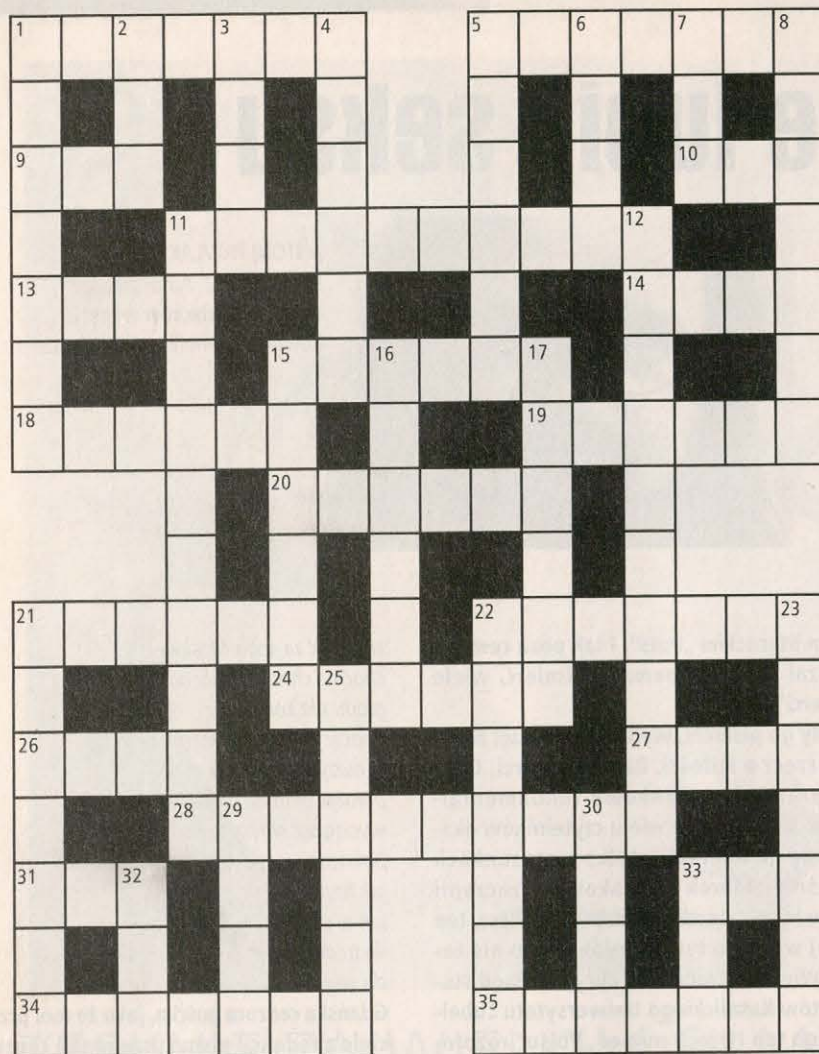
Gdy już wydrukowano pięć tysięcy egzemplarzy, przyszło z Warszawy pismo, że nakład ma iść na przemiał. Wydawca dowiedział się, że przekonywania centrali nic nie dadzą, ponieważ jest to sugestia zaniepokojonej moim szarganiem rewolucyjnych świętości ambasadry ZSRR. I kiedy już wszyscy nieomal pogodzili się z tym, że kupa forsy (papier, druk i tak dalej) pójdzie na straty, ktoś wpadł na pomysł genialny w swej prostocie.

– Po co – zapytał – mamy przemielić cały nakład pisma? Wiecie, cholera, ile to kosztuje? A nie wystarczy tylko wyciąć tę pieprzoną stronę z Pawlakiem?

Pomysł znakomity, tylko kto miałby w pięciu tysiącach egzemplarzy wycinać po stroniczce? Przecież to upiorna robota. Ale pomysłodawca znalazł i na to radę. Odcignął na parę dni drużynę harcerzy od przeprowadzania niedołączonych staruszek przez jezdnię. I harcerze pracowicie wycinali Pawlaka. Od tego czasu mam uraz do harcerzy.



KRZYŻÓWKA nr 11



POZIOMO:

- 1 z małym rozumkiem, a nie miś
- 5 skąd trudniej samochód ukraść
- 9 marynarze piją szklankami
- 10 bijąca karta
- 11 sponsor
- 13 Marek na jarmarku nie dorobił się na nich
- 14 masz go w powietrzu
- 15 handel wymienny
- 18 stan odrętwienia
- 19 poezja na walentynki
- 20 największy równoleżnik
- 21 TIR zaparkował na drzewie
- 22 1/2 jabłka
- 24 Homer dał mu 60 lat, a Owidiusz 200
- 26 oreada dźwięku odbitego
- 27 miecz, włókno, tkanina
- 28 marzy o własnej ścieżce
- 31 profesor od piórka i węgla
- 33 wart pałaca
- 34 wielki podziw cięłęcia na malowane wrota
- 35 kusi sklepowymi towarami

PIONOWO:

- 1 wizerunek na tarczy Ateny, chroniący ją przed urokiem
- 2 wiekowe niemieckie miasto, tam urodził się Einstein
- 3 skoczyły dzieci i krzyczą, że jedzie
- 4 alkohol myszką trąca
- 5 modna wersja tradycyjnych klocków
- 6 na górze, gdy na dole fiołki
- 7 miejsce Paryskiego sądu
- 8 rybożerny tropikalny duży ptak na pewno mający swój rozum
- 11 czynnik niszczący
- 12 dzin
- 15 potrafi fachowo i nieźle namieszać
- 16 odwrotna strona medalu
- 17 ważny na uniwersytecie
- 21 groźnie wczepia się w skórę
- 22 korzystna strona jakiejś sprawy
- 25 do posłuchania w radiu
- 29 ciężki metal
- 30 wrodzona subtelność
- 32 w niej wszystkie koty czarne
- 33 można zejść na nie

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. Dla ułatwienia ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

G17 – Ł12 – I14 – D8 – H2 – C3 – L7 / A17 – B2 – J16 – Ł17 – E6 – G9 / D14 – A5 – K15 – F4 / H14 – G8 – C7 – C13 – K7 – A7 – I12 – K1 – K3.

Wyrazy 11-literowe:

- pusto pod koroną • nowy seterek

Wyrazy 10-literowe:

- przy dziurce od klucza • półmetek luteo • zabójcze dla sniegu •

Wyrazy 9-literowe:

- goryl Króla Słońce
- nieborak, choć nie rak • puka w klatkę

Wyrazy 8-literowe:

- tytan bezkrytyczności • estetycznie wodą pryska • przyskrzynia w Londynie •

Wyrazy 7-literowe:

- zastawą zastawiony • jak nie uważa, co je, to się zwija • gdy go nie masz, zapomnij o ripostach •

- bułki na półki! • piosenka motoru, któremu słoń nadepnął na ucho •

Wyrazy 6-literowe:

- szybki w cętki
- w duszy ruskiego pieroga • nie może napisać postscriptum

Wyrazy 5-literowe:

- pan patataj • wiatr z krainy łagodności • włoś i bież •

- wokalista bez opamiętania • nad Odry pięknym dunajem • jako młokos jako Kos

Wyrazy 4-literowe:

- cztery ściany wykładu • kraje ramię w ramię • historykom przychylna • pierwsza trąba Sienkiewicza

● **Pomiędzy Czytelników, którzy nadesłali poprawne rozwiązanie krzyżówki do niedzieli 25 marca** (decyduje data stempla pocztowego), zostanie rozlosowanych pięć nagród-niespodzianek ufundowanych przez redakcję „Przekroju”. Nasz adres: PRZEKRÓJ, 30-960 Kraków, skr. poczt. 533, z zaznaczeniem „Krzyżówka 11”.

Rozwiązanie krzyżówki nr 9

O	K	A	P	N	I	K	S	P	O	D	N	I	E
D		L				A	Z		U				C
Y		K	O	M	I	N	I	A	R	C	Z	Y	K
S	T	A	N			T		Z			T	O	G
E		W		P	R	O	D	U	C	E	N	T	D
U	W	A	G	A		R		N	P		W	Ł	O
S		L		R		E	L	I	D	A		A	S
Z	D	E	R	Z	A	K		F		N	A	R	K
		R		E				O				D	B
P	I	O	S	N	K	A		R		P	R	Ó	Ż
Ł		W		I		R	A	M	B	O		W	I
O	C	I	E	C		T				S		K	I
T		C		E	T	Y		K	I	E	T	K	A
K	O	Z	A			S				Ę		B	I
A			R	O	Z	T		R	Z	E	P	A	N
R			K			K				E		E	
Z	A	G	A	D	K	A				K	O	N	G

● **Za poprawne rozwiązanie krzyżówki 8 pięć nagród-niespodzianek ufundowanych przez redakcję „Przekroju”** wylosowali: Anna Chebrowska, Katowice; Ryszard Kubat, Częstochowa; Krystyna Torbic, Gdańsk; Marian Twardowski, Poznań; Danuta Podziemska, Włocławek. *Gratulujemy!*

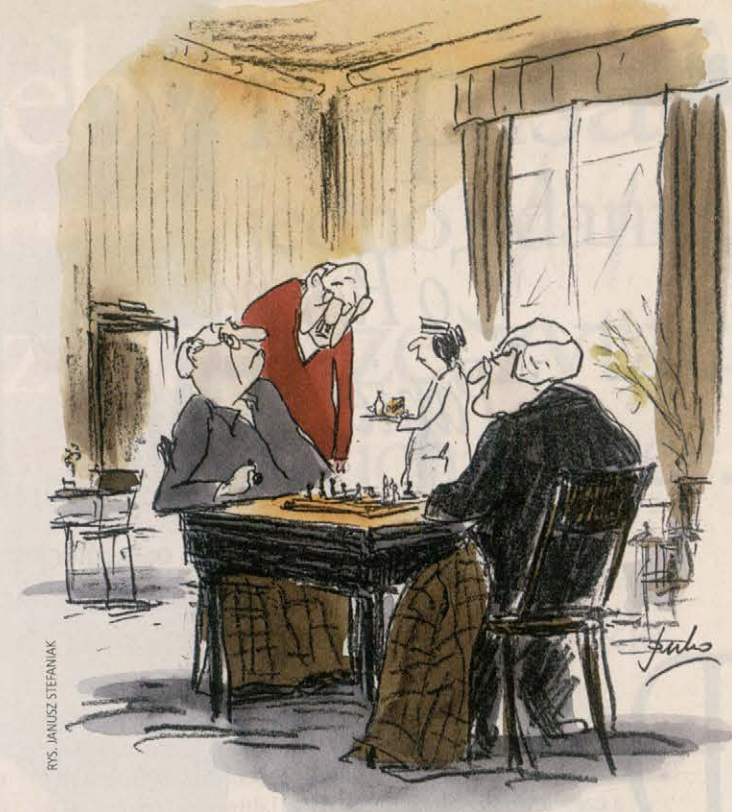
● **Pomiędzy Czytelników, którzy nadesłali poprawne rozwiązanie Jolki do niedzieli 25 marca** (decyduje data stempla pocztowego), zostanie rozlosowanych pięć nagród-niespodzianek ufundowanych przez „Przekrój”. Rozwiązania prosimy nadsyłać do redakcji „Przekroju”, 30-960 Kraków, skr. poczt. 533, z zaznaczeniem „Jolka 11”.

Rozwiązanie Jolki 9: FERDYNAND WSPANIAŁY.

● **Rzędami:** leksykograf, wypas, Zambia, zapadlisko, kran, radykał, Huckleberry, eter, Gobi, kostiumolog, tournée, loki, Inowrocław, wydech, mydło, anachronizm.

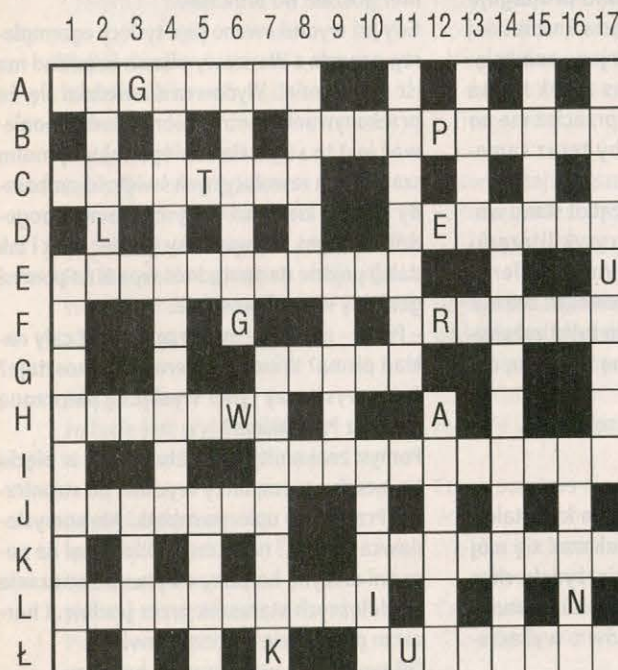
● **Kolumnami:** lizuch, ateizm, celuloide, subiekt, Leonardo, klakier, kencja, gaza, antresola, owoc, fladry, Guliwer, welodrom, Borodin, paszkwil, siodło, graham.

● **Za poprawne rozwiązanie Jolki 8 pięć upominków ufundowanych przez redakcję „Przekroju”** wylosowali: Anna Pawelska, Gdynia; Zbigniew Kostka, Piława Dolna; Barbara Ludwicka, Biała Podlaska; Urszula Malik, Straszyn; Eliza Derlacka, Warszawa. *Gratulujemy!*



– Pamiętasz, co to jest SEX? Potrzebuję do krzyżówki.

JOLKA nr 11



AUTORS: JERZY BUCZEK

Wyrazy 11-literowe:

- pusto pod koroną • nowy seterek

Wyrazy 10-literowe:

- przy dziurce od klucza • półmetek luteo • zabójcze dla sniegu •

Wyrazy 9-literowe:

- goryl Króla Słońce
- nieborak, choć nie rak • puka w klatkę

Wyrazy 8-literowe:

- tytan bezkrytyczności • estetycznie wodą pryska • przyskrzynia w Londynie •

Wyrazy 7-literowe:

- zastawą zastawiony • jak nie uważa, co je, to się zwija • gdy go nie masz, zapomnij o ripostach •

- bułki na półki! • piosenka motoru, któremu słoń nadepnął na ucho •

Wyrazy 6-literowe:

- szybki w cętki
- w duszy ruskiego pieroga • nie może napisać postscriptum

Wyrazy 5-literowe:

- pan patataj • wiatr z krainy łagodności • włoś i bież •

- wokalista bez opamiętania • nad Odry pięknym dunajem • jako młokos jako Kos

Wyrazy 4-literowe:

- cztery ściany wykładu • kraje ramię w ramię • historykom przychylna • pierwsza trąba Sienkiewicza

Ten numer „P”
gości w:

ul. Wielopole 3
Kraków **Radtur**
tel. 423-16-76 421-80-22
bilety lotnicze
wczasy - cały świat
bilety autokarowe

intercars
INTERNATIONAL FRANCE SP. Z O.O.
EUROPEJSKIE LINIE AUTOKAROWE
KRAKÓW, ul. PIJARSKA 21
Tel.: (0-12) 422 73 48, 423 20 61
e-mail: krakow@intercars.pl
WARSZAWA, ul. ŻURAWIA 20
Tel.: (0-22) 625 53 54
e-mail: warszawa@intercars.pl
www.intercars.pl

EUROPALM
BIURO TURYSTYCZNO - PRZEWOZOWE
Kraków, ul. Sienna 14 tel. 421 97 47 tel/fax 421 97 19
WYCZASY I WYCIECZKI ZAGRANICZNE WYNAJEM AUTOKARÓW

radio TAK 98,0 i 106,5 FM
Biuro Reklamy
25-363 Kielce,
Wesoła 47/49,
tel. (041) 362 09 61

98.10 FM **Radio MAKS**
Tarnów
Biuro reklam Radio MAKS tel./fax (014) 621-29-29

TWOJE RADIO
WAŁBRZYCH 91,8 FM

91.1 FM
91.9 FM
100.9 FM
102.7 FM
radio Merkur
POZNAN
Reklama: tel. (0-61) 865-83-73 103.6 FM

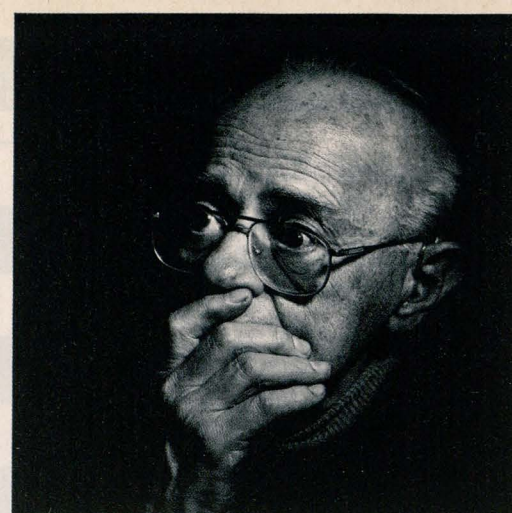
RADIO KRAKÓW
Małopolska

99.40 FM 91.30 FM
RADIO ECHO
ul. Wałowa 6
33-300 Nowy Sącz
tel. (0-18) 443-73-21

RADIO PARADA
96.00 FM

TWOJE RADIO
JOWISZ 106,2 FM

Co Pan na to, Panie LEM?



FOT. BOGDAN KRZĘŁ

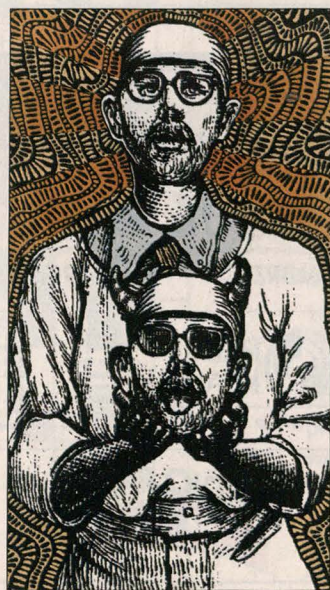
Prawdziwym i znamienitym osiągnięciom w nauce zawsze towarzyszyli osobnicy usiłujący przyodziać się skrawkami przywłaszczonej sławy.

Dwa wielkie zespoły biologów, częściowo ze sobą rywalizujące, a częściowo współpracujące, prawie jednocześnie sporządziły mapę substancji dziedzicznej człowieka.

Jeszcze nie wszystko na tym szkicu, który zajął mi całą jedną ścianę pokoju, zostało dokładnie wyjaśnione i rozszyfrowane, lecz autorzy epokowego projektu, nazwanego Human Genome Assembly, w licznych naukowych pracach wypełniających ostatnie numery periodyków, jak „Nature” oraz „Science”, zapowiadają początek zupełnie nowej ery wszechpotężnej inżynierii biologicznej. Będzie się na nią składać farmakogenomika, czyli technologia produkcji takich leków, które z absolutną celnością i skutecznością zlikwidują warunkowane genetycznie ułomności naszego organizmu, usuwając z łańcuchów dziedzicznej substancji szkodliwe geny. Będzie to także historiografia genowa, czyli rozpoznawanie śladów miliardoletnich szczytków genowych, jakie odziedziczyliśmy po najstarszych, jednokomórkowych organizmach. Zaawansowana inżynieria ma zrewolucjonizować przemysł spożywczy (produkcja jadalnych białek czy transgenicznej żywności), farmakologię (drobnoustroje wytwarzające insulinę), kopalnictwo, rolnictwo, ochronę środowiska i medycynę.

Pracom naukowców towarzyszy wielkie zainteresowanie mediów, prezentujących pierwsze kroki w labiryncie genów jako sensację dnia, obiecujących na tej podstawie wszystkim zdrowie, szczęście, wszelakie satysfakcje wraz z nieśmiertelnością na dokładkę. W niniejszym felietonie nie zamierzam się jednak poświęcić prostowaniu niezliczonych fantazmatów dziennikarskich, mających zadziwić szeroką publiczność.

Zdumiewający fakt rozpoznania poszczególnych liter alfabetu życia stał się jednocześnie, jak to zwykle bywa, pożywką dla działań wysoce nieodpowiedzialnych. Oto już zgłosili się samozwańcy chirurgowie genetyczni gotowi klonować ludzi. Jeden z nich



RYS. DMITRI SZEWKOW-KISIELIOW

udziela wywiadów, w których chełpi się swoimi zamierzeniami, mającymi umożliwić uzyskanie potomstwa małżeństwu niezdolnym płodzić dzieci w sposób naturalny. Uczony ów zastrzega, że nie może podać kraju, miejsca ani metody klonowania, jakiej użyje, ponieważ mogłoby to naścignąć wiele przykrości natury penitencjarnej. Tak to już jednak zawsze bywało w ludzkiej historii, że autentycznym, znamienitym i wielkim osiągnięciom czy to w nauce, czy w sztuce, towarzyszy pojawianie się wielu osobników usiłujących przyodziać się skrawkami zapożyczonej sławy.

Bez względu na to, jakie będą praktyczne efekty rozpracowania ludzkiej substancji dziedzicznej, jedno jest pewne: przyniosą one miliardowe majątki instytucjom i kompaniom, które zaangażowały się finansowo w badania. Rozwój życia ludzkiego może się stać przedmiotem obrotu towarowego i może być eksploatowany w celach handlowych. W różnych państwach legislacyjne fronty, jako pakiety pośpiesznie uchwalanych ustaw i uprawnień, starają się dogonić i unormować postęp biotechnologii. Życzylbym sobie, ażeby się udało dokonać takiej jednolitej regulacji w światowym wymiarze, ponieważ każda zwłoka na tym froncie może wiele kosztować ludzkość, gdyż, jak mówili starożytni Rzymianie, periculum in mora. Sądzę jednak, że bardzo niewiele pomoże taka

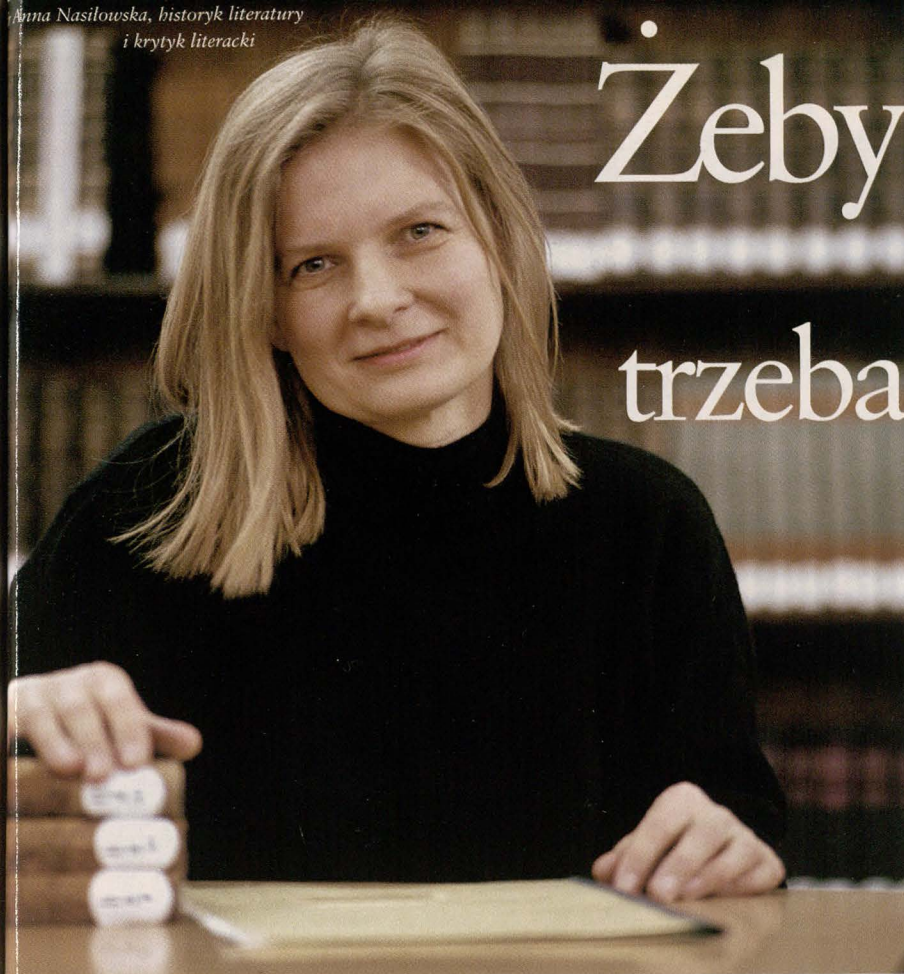
ograniczająca samowolę autoewolucjonistów legislacja, ponieważ każdorazowo sprawdzała się w naszej historii teza głosząca, że technologia jest niezależną zmienną cywilizacji. Nie możemy zakrywać odkryć. Nie da się już zabutelkować i zakorkować energii atomowej. Niepodobna również, bez względu na wzrost kosztów, powstrzymać dalszego biegu wypraw pozaziemskich człowieka, czyli astronautyki.

Musimy się zatem obawiać, że przerabianie dziedziczności ludzkiej stanie się zaiste tym, co ongiś nazywałem „inżynierią płodowlaną”. Pisałem o niej dawno, a więc bezwinnie, ponieważ nie roziło mi się ani na jawie, ani w snach, że dożyję jej prawdziwych początków.

W każdym razie należy sobie uświadomić, że w tej zupełnie nowej dziedzinie, jaką jedynie ogólnikowo mogłem naszkicować, znajdujemy się na samym wstępie niewiadomych prac i dokonań. Mówiąc obrazowo, stoimy jak gdyby na obrotowej tarczy, z której prowadzi wiele rozchodzących się szlaków w przyszłość. Pewne docelowe efekty obecnych odkryć są wprawdzie bardzo mocno zarysowane, ale ze spokojnym sumieniem rzecz można, że nic pewnego, a zwłaszcza nic szczególnie dobrego ze zbioru przyszłych rezultatów nie jest nam teraz wiadome.

STANISŁAW LEM
1 marca 2001

Anna Nasilowska, historyk literatury i krytyk literacki



Żeby napisać jedno zdanie, trzeba przeczytać ich tysiące.

**Tak powstają
syntezy literackie.**

Nazywam się Anna Nasilowska.

Z moich podręczników młodzi ludzie

poznają literaturę XX wieku.

Jestem jednym z 3000 autorów

WIELKIEJ ENCYKLOPEDII PWN.

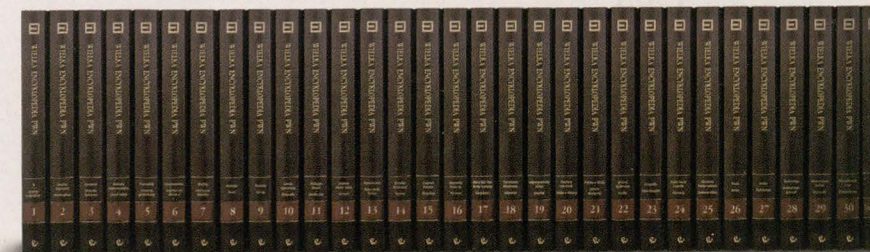
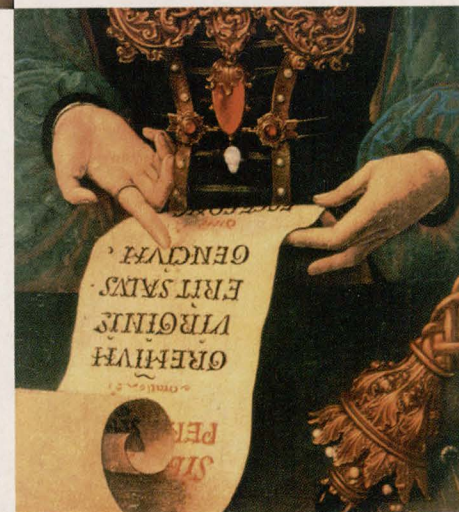
WIELKA ENCYKLOPEDIA PWN
to dzieło na miarę XXI wieku.

Trzy tysiące specjalistów, reprezentujących wszystkie dziedziny wiedzy, czuwa nad redakcją największej polskiej encyklopedii uniwersalnej.

Owocem tej pracy będzie 30 tomów, zawierających łącznie 140 tysięcy haseł i 15 tysięcy ilustracji, 700 map i wiele tabel.

A wszystko to na przeszło 17 tysięcy stron.

WIELKA ENCYKLOPEDIA PWN to kompletny obraz współczesnego świata i Polski, życia na Ziemi, dziejów cywilizacji i kultury.



WIELKA ENCYKLOPEDIA PWN  Encyklopedia wielka jak świat.

Weź udział w subskrypcji WIELKIEJ ENCYKLOPEDII PWN.

UWAGA! Tylko do końca marca subskrypcja z 5% rabatem! Za każdy tom wydany w tym roku zamiast 130 zł zapłacisz jedynie 123,50 zł (cena kolejnych tomów może ulec zmianie).

Szczegóły: ulgowa linia informacyjna 0801 33 33 88 (opłata: 35 gr + 22% VAT za każde rozpoczęte 3 minuty) <http://we.pwn.com.pl>

WYDAWNICTWO NAUKOWE PWN



PATRONI MEDIALNI

**PROSIMY NIE
POWTARZAĆ**

Kiedy lekarz powie ci, że stan twój jest bardzo poważny i zapyta, czy w związku z tym chciałbyś się z kimś skontaktować, powiedz mu: „Owszem, chciałym, z innym lekarzem”.

Jeśli ryby decydują się mieć dzieci, to muszą zawsze, przed zapyleniem, nacierać się.

*
Prezydent USA ma większe uprawnienia od naszego, bo może na przykład ułaskawić od śmierci indyka.

*
Chciałbym być uczonym, bo wtedy już nie musiałbym się uczyć.

*
Asceta to człowiek, który porzuca żonę, aby doznać spokoju ducha.

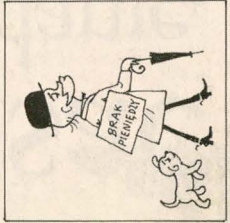
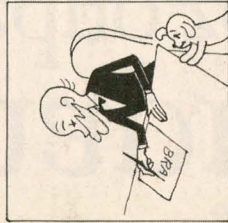
*
HUMOR ZESZYTÓW nadesłali: J. Kaptur z Tomaszowa Lubelskiego, R. Wojtoń z Krakowa, A. Kozarzewski z Pułtuska i J. Biłska z Radzyna Podlaskiego. Dziękujemy.

O WACUSIU
- Żeby być czymś najlepszym przyjacielem - mówi Falczak - w ogóle nie trzeba czytać żadnych książek ani gazet. Najlepszy dowód to nasz Pikuś.

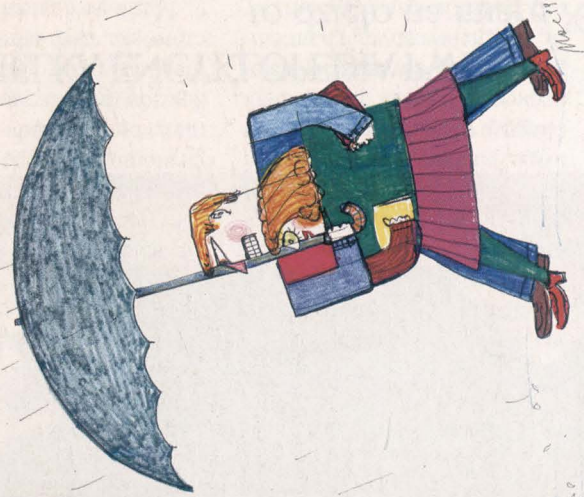
Polak potrafi
"Gazeta Wyborcza" (nr 47) pisze o wyczynie Józefa Łuszczyka, który przed wielu laty wygrał narciarski bieg na 15 km w Lahti:
23 lata temu podczas biegu Łuszczyk długo nie był pierwszy. Na dziesiętym kilometrze miał jeszcze 15 km strąty do prowadzącego Biejawę. Potem ruszył. A jak Polak ruszy, to klękajcie narodzi! (Nadesłata: K. Petyra)

O WACUSIU
- Lekarz zauważył, że Falczakowi trzęsie się ręka. „Dużo pan pije?” - zapytał. „Nie tak dużo - odpowiedział Falczak - większość się wylewa”.

FLUTEK



Rys. Adam MACEDOŃSKI



Nie pchaj palca między krzyżówki

Tygodnik „Imperium TV” (nr 8) w „Krzyżówce na zakupy” naraził się ajatollahom. Jest w tej krzyżówce mianowicie hasło STOLICA IRANU. Stolicą Iranu, jak wiadomo, jest Teheran. Jeśli jednak pozostaje hasło rozwiąże się prawidłowo, to wychodzi nam nie żaden Teheran, a...

B
A
G
D
A

Oj, obawiamy się, że przez tę krzyżówkę bliskowschodnia rozróża może się jeszcze zaostreć.

(Nadesłata: A. Marcinów)

O WACUSIU
- Falczakowa, jak tylko zobaczy na szosie znak mówiący o strefie szczególnego zagrożenia, natychmiast naciśka gaz do dechy, żeby jak najprędzej tę strefę opuścić.

FOTOGRAF PRZY TYM BYŁ...

W „Gazecie Tarnowskiej” z dnia 24-25 lutego zamieszczono zdjęcie z odpowiednim podpisem:



W tarnowskiej Prokuraturze Okręgowej rozpoczęło się śledztwo w sprawie finansowania kampanii wyborczej Mariana Krzaklewskiego przez PKN Orlen.
Na zdjęciu widzimy, jak dwaj panowie prokuratorowie zastanawiają się, jak też tryb nadać tej sprawie.

(Nadesłata: A. Gąciarz)

Ludwik Jerzy Kern

Z cyklu: „Imiona nadwiślańskie”

RENATA

Sporo ód
(Przez o z kreską!)
I sporo serenad
Powstało w ciągu wieków
Z miłości do Renat.
Taki był tych zabiegów
Efekt w rezultacie,
Ze zasady z zasady
Kruszały w Renacie
I razem z dlonią
Piewca dostawał Renatę
I stał się tym samym
Jakby poidenatem.



Nie mówią o tym w domu,
Ani w szkole zbiorczej,
Ze Renaty są z kobiet
Najbardziej zaboczne.
Eteryczne,
Liryczne,
(Do chwili zameścia).

Gdy za sobą już mają
Tę formalną próbę,
Tak potrafią przykręcić
Mażeńską śrubę,
Ze człowiek ledwo, ledwo
Oddycha. Ze szczęścia.

BAJONARIA

W Kielcach odbyła się prapremiera „Przedwiosnia”. W związku z tym małe cytat ze „Słowa Ludu” (z 20 lutego):

W studiu nie zabrakło m.in. wnuczki Anieli Rząszewskiej, z którą romansował młody Żeromski...
Żeromski nie był gapa. Wołał romansować z wnuczką niż z babcią.

(Nadesłata: W. Sieczko)

**Kacik
automobilisty**

„Głos Wielkopolski” 1 marca przypomniał miłośnikom, że:

Teraz światła mijania obowiązkowo trzeba mieć włączone od zmierzchu do zmroku...
Nareszcie ktoś precyzyjnie to określił! Bra-wo! Nieustannie brawo od świtu do brzasku.

(Nadesłata: B. Falkowski)

FRASZKA DUMNA

W malenkim naczynku fraszek
utrwała się czasów zapaszek.
(Stanisław Jerzy Lec)